

Mój najdroższy Remy!

Pamiętasz, kochany, te pierwsze lata, kiedy zostaliśmy dumnymi właścicielami Hotelu Marchand? Oboje marzyliśmy o tym, żeby stworzyć światowej klasy obiekt, w którym chętnie zatrzymywaliby się goście odwiedzający nasze piękne miasto. Ty dokonywałeś cudów w kuchni, starając się umieścić potrawy kajuńskie na mapie kulinarnej świata, a ja jeździłam po wyprzedazach w poszukiwaniu starych mebli przywodzących na myśl klimat minionych epok, w przerwach zaś między podróżami rodziłam kolejne córki. Byliśmy szczęśliwi, bo mieliśmy siebie i nasze marzenia.

Teraz, gdy hotel nękają coraz to inne problemy, często wracam myślami do tamtych czasów. Pocieszam się, że wtedy też nie było nam łatwo, a jednak sobie poradziliśmy. Od paru lat występuje u nas wspaniała piosenkarka jazzowa, Holly Carlyle. Kiedy słyszę jej pieśni o miłości, czuję, że jesteś przy mnie i że hotel, który razem zbudowaliśmy, przetrwa na wieki.

Twoja kochająca żona Anne

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uśmiechnąwszy się do swojego akompaniatora, Holly Carlyle oparła się o lśniące czarne pianino, odgarnęła z twarzy długie, rude'loki i pomalowanymi na czerwono paznokciami wystukała kilka ostatnich taktów.

- Tommy, było fantastycznie - powiedziała. Jeżeli zdołamy to

wieczorem powtórzyć, publiczność oszaleje.

Tommy Rayes westchnął cicho, po czym czule, jakby to było ciało kochanki, pogładził palcami klawisze. Na każdej ręce nosił po dwa srebrne sygnety. Gdy tak siedział przy pianinie, chudy, w czarnym garniturze, światło u sufitu padało na jego brązową twarz i poprzetykane siwymi nitkami kręcone czarne włosy.

Tommy twierdził, że na pianinie gra od kołyski. Może. Tak czy inaczej nikt w Nowym Orleanie nie czuł jazzu lepiej od niego.

Występowali razem od prawie czternastu lat, współpraca układała im się znakomicie. Holly nie mogła sobie wymarzyć lepszego partnera. W dodatku Tommy traktował ją jak córkę; cieszyło ją to, zważywszy że właściwie nie miała nikogo bliskiego. Tommy, jego żona Shana i ich dzieci stanowi li jej jedyną rodzinę. Bez nich jej życie nie miałoby sensu.

- Zdaje się, że masz wielbiciela - szepnął niskim głosem muzyk, raz po raz przebiegając palcami po klawiaturze.

- Co? Kogo?

Wskazał głową na koniec sali.

Przy stoliku pod ścianą siedział samotny mężczyzna, trzymając w ręku butelkę piwa. Mimo że światło tam nie docierało, Holly zauważyła, że człowiek ten ma posępną minę.

- Kto to?

- Z tej odległości nie widzę - odparł Tommy. - Shana mówi, że powinienem zmienić okulary.

Wprawdzie przez okno wpadały promienie słońca, lecz w środku panował półmrok. Przez całą długość sali ciągnął się mahoniowy bar, za którym na lustrzanych półkach odbijających światło stały butelki wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów. Przy ścianie okiennej ciągnęła się druga lada dla tych, którzy popijając drinka, lubili obserwować życie toczące się na zewnątrz. Większość gości jednak wolała siedzieć przy małych

okrągłych stolikach, ustawionych na ciemnej drewnianej podłodze.

- Nie wygląda na wielbiciela - oznajmiła cicho Holly, przenosząc spojrzenie z mężczyzny w rogu na Tommy'ego. - Raczej na smutasa, który szuka pocieszenia.

Muzyk wykrzywił wargi w uśmiechu i mrugnął do Holly.

- Smutasa? Szkoda, że nie zwróciłaś uwagi na jego twarz, kiedy śpiewałaś.

- Rm. - Oparła się łokciami o gładką, chłodną powierzchnię instrumentu. - Podobało mu się?

- Patrzył na ciebie jak pies w gnat.

- Ale z ciebie pochlebca! - Holly roześmiała się wesoło.

- Idź się przywitaj, zamień z człowiekiem słowo.

- Przyznaj, chcesz się mnie pozbyć?

- Zgadłaś. Każdy facet potrzebuje odrobiny samotności, a zwłaszcza taki, który ma tyle bab w domu coja.

To była jego stara śpiewka; lubił narzekać, jaki to on jest biedny - jeden mężczyzna w domu pełnym kobiet. Ktoś obcy nigdy by się nie domyślił, że Tommy do szaleństwa ubóstwa swoją żonę i trzy córki.

- Bo ja wiem? Może lepiej, żebym poćwiczyła z tobą otwierający numer?

Kąciki warg mu zadrgały.

- Nie musisz, kwiatuszku. Doskonale sam sobie poradzę.

- Pewnie tak - przyznała, mrużąc w zamyśleniu oczy. - Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo ci zależy, abym pogadała z jakimś obcym gościem.

Zazwyczaj Tommy był do przesady opiekuńczy wobec swoich "dziewczyn"; zachowywał się jak kotka, która pilnie strzeże nowo narodzonych kociąt.

- Nie każę ci brać z nim ślubu - rzekł, raz po raz przebiegając

palcami po klawiszach. - Powiedziałem tylko, że mogłabyś z człowiekiem porozmawiać. Powinnaś częściej bywać wśród ludzi.

- Masz na myśli ludzi płci męskiej, prawda?

- Uniosła pytająco brwi.

Tommy w milczeniu dokończył melodię, po czym pokręcił głową.

- Wcale nie chcę, żebyś zadawała się z jakimiś facetami. Ale Shana martwi się o ciebie.

Holly westchnęła. Od trzech lat żyła jak mniszka i bynajmniej z tego powodu nie cierpiała. Wychodziła ze słusznego założenia, że nic na siłę. Jednakże Shana Rayes nie potrafiła zrozumieć, dlaczego śliczna młoda kobieta marnuje sobie życie.

- Wiem. Ostatnio zagroziła mi, że jeśli tak dalej pójdzie, to umówi mnie na randkę w ciemno.

Tommy wzdrygnął się.

- To już lepiej pogadaj z tym gościem. Lepsze to niż randka z obcym.

- No dobra. - Wpatrując się w samotną postać przy stoliku, Holly wzięła głęboki oddech. Tak, przejście kilku metrów i krótka niezobowiązująca rozmowa są czymś zdecydowanie prostszym niż umawianie się na spacer, kolację lub kino.

Wolnym krokiem zeszła z podwyższenia, które służyło za scenę, i lawirując między pustymi stolikami, skierowała się w stronę pojedynczej postaci. - Rej, Leo, mógłbyś mi przynieść szklankę mrożonej herbaty? - zwróciła się do barmana.

- Jasne, Holly - odparł tęgawy jegomość krzątający się za ladą. - Za minutkę.

Siedzący w półmroku mężczyzna pochylił się lekko do przodu. Miał niebieskie oczy, którymi się w nią wpatrywał, falujące kruczoczarne włosy, które niesfornie opadały mu na czoło, oraz

opalone, umięśnione przedramiona, które opierał na blacie stołu. Parker James! Z miejsca go rozpoznała. Psiakrew! Nie powinna była słuchać Tommy'ego. Chyba już bardziej wolałaby iść na randkę w ciemno, niż przysiąść się do stolika akurat tego mężczyzny. Parker James należy do elity Nowego Orleanu. Do tutejszych wyższych sfer. Jego rodzina przybyła tu ... wieki temu.

O Parkerze często pisano w gazetach, ale to nie z artykułów prasowych Holly go znała. Dziesięć lat temu śpiewała na jego weselu. Było to jedno z jej pierwszych zleceń, toteż denerwowała się bardziej niż panna młoda.

Wróciła pamięcią do tamtego dnia. Nie, panna młoda w ogóle się nie denerwowała ...

W przededniu uroczystości ślubnych Holly udała się do położonego nad rzeką wspaniałego domu, w którym miało się odbyć wesele. Chciała sprawdzić system nagłaśniający i zostawić nuty organizatorce przyjęcia.

Było późno, większość przygotowań do uroczystości została już zakończona. Po załatwieniu swoich spraw Holly postanowiła wybrać się na krótki spacer po pogrążonym w ciszy ogrodzie.

Bujna roślinność zapierała dech w piersi. Powietrze wypełniał śpiew ptaków, cykanie świerszczy, chlupot wody zalewającej brzeg. Wędrując ścieżką, nagle Holly usłyszała przyciszone głosy. Zaciekawiona, ruszyła w ich kierunku. Podejrzewała, że po ogrodzie kręci się służba, sprawdzając, czy wszystko zapięte jest na ostatni guzik.

. Zbliżyła się do krzaków magnolii otaczających kamienny taras, na którym stały przygotowane na jutro stoły i krzesła, kiedy tuż obok rozległo się ciche westchnienie, a po nim przytłumiony jęk rozkoszy.

Holly zamarła w bezruchu, ale było już za późno. Przed sobą ujrzała wyciągniętą na stole pannę młodą z zadartą spódnicą. Osobą, z którą Frannie LeBourdais się kochała, nie był jednak pan młody, lecz jej drużna.

Przez moment Holly obserwowała, jak Justine DuBois pięści obnażony brzuch i uda swojej przyjaciółki. Wreszcie, otrząsnąwszy się, wykonała krok do tyłu, zamierzając zniknąć niezauważenie, lecz niechcący potrąciła metalowe krzesło.

Frannie otworzyła oczy. Namiętność malującą się na jej twarzy zastąpiła dzika furia. Zepchnąwszy z siebie Justine, młoda kobieta poderwała się na nogi, wygładziła spódnicę i gniewnym krokiem podeszła do Holly, która wciąż stała oniemiała z wrażenia.

Nie, nie była osobą naiwną, którą gorszy wszystko, co odbiega od normy. Miała dwadzieścia lat, od czterech sama zarabiała na życie. Mieszkała w Nowym Orleanie, mieście rozpusty, i śmiało mogłaby powiedzieć: nic, co ludzkie, nie jest mi obce. A jednak była zdziwiona. Parker James wydawał się wymarzoną kandydatem na męża. Ale Frannie najwyraźniej nie zależało na mężu. Jeżeli jest lesbijką, po jakie licho zamierza poślubić Parkera?

- Do jasnej cholery, co tu robisz? - spytała Frannie, po czym nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: - Nieważne. Jeśli piśniesz Parkerowi choćby słówko o tym, co widziałaś, zamienię twoje życie w piekło. Rozumiesz?

Patrząc w ziejące nienawiścią niebieskie oczy, Holly wiedziała, że narzeczona Parkera nie żartuje. Że naprawdę gotowa jest spełnić swoją groźbę. W mieście, w którym liczyły się znajomości i dobre pochodzenie, Frannie bez trudu mogłaby sprawić, by ona, Holly, nie dostała żadnych więcej angaży, by nie mogła śpiewać na przyjęciach, w klubach, knajpach, nigdzie

...

Holly zerknęła na Justine. Na widok jadu w oczach przyjaciółki panny młodej zadrżała.

- Rozumiem - oznajmiła szeptem.

Złościło ją, że ulega szantażowi, ale nie miała wyjścia. Poza tym wiedziała, że jeśli chce zrealizować swoje marzenia, musi zaakceptować narzucone jej warunki.

- Niepotrzebnie mi grozisz - dodała, unosząc dumnie głowę. - To naprawdę nie moja sprawa, co robisz i z kim.

Przez chwilę Frannie przyglądała się jej w milczeniu, po czym skinęła głową.

- No właśnie. Radzę ci o tym pamiętać.

Ciekawa była, czy Parker James kiedykolwiek odkrył tajemnicę swojej żony. Może tak, skoro od pewnego czasu prasa rozpisywała się o jego rozwodzie.

- Dzień dobry - powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie do siedzącego przy stoliku mężczyzny. - Ma pan ochotę na towarzystwo?

Prawdę rzekłszy, Parker wstąpił do niemal całkiem pustego lokalu, by przez chw!ęle pobyć w samotności. Od samego rana wszystko szło nie po jego myśli. Chciał się odizolować, do nikogo nie odzywać. Zamówiwszy piwo, usiadł przy stoliku i zaczął słuchać kojącego śpiewu rudowłosej kobiety. Jej melodyjny głos przeniósł go w inny świat. Po raz pierwszy od dawna Parker przestał myśleć o swoich problemach i zabagnionym życiu.

Teraz właścicielka głosu stała na wprost niego, a on nie potrafił się zdobyć na to, by powiedzieć jej, że pragnie pobyć sam. Odchyliwszy się na krześle, skrzyżował ręce na piersi i wolno

zmierzył ją wzrokiem. Kobieta, która oczarowała go swym śpiewem, miała cudownie zaokrąglone kształty oraz przepiękne szare oczy. Ciekaw był, jak wyglądają w blasku świecy. Kilka złocistych piegów znaczyło jej mleczną cerę, a kiedy się uśmiechnęła, w prawym policzku pojawił się uroczy dołeczek.

- Podoba mi się pani głos.

- Cieszę się. - Wysunęła krzesło i usiadła. Po chwili barman postawił przed nią wysoką szklanę z mrożoną herbatą. -

Dzięki, Leo. - Uśmiech, jaki mu posłała, rozproszył mrok.

- Smacznego, złotko. - Leo zerknął na Parkera. - Będę przy barze, gdybyś czegoś potrzebowała.

Odszedł.

- Pani rycerz w srebrnej zbroi? - Parker uniósł pytająco brwi.

Holly upiła łyk herbaty.

- Leo to człowiek o złotym sercu. Pilnuje, żeby nikt mi nie wyrządził krzywdy.

- Sympatyczne zadanie.

- To komplement? Miło mi, dziękuję.

Podły humor, jaki towarzyszył mu od rana, nagle zniknął. Nic dziwnego; trudno się wściekać, kiedy patrzy się na tak uroczą istotę.

- Pewnie ciągle je pani słyszy?

- Komplementy? Owszem, dość często - przyznała. - Ale po raz pierwszy z ust Parkera Jamesa.

Uśmiech na jego twarzy zgasł.

- Wie pani, kim jestem?

Oczywiście, że wiedziała. Przez moment Parker łudził się, że trafił na osobę, która nie ogląda telewizji, nie czyta gazet i nie znajęgo twarzy. Ale to było marzenie ściętej głowy. Odkąd kilka miesięcy temu wniósł pozew rozwodowy, w miejscowej prasie codziennie ukazywały się wiadomości, plotki i kłamstwa na jego

temat.

Roześmiewszy się wesoło, Holly zamieszała herbatę przezroczystą słomką.

- Niech pan nie żartuje. Każdy w Nowym Orleanie zna pana twarz. Wyskakuje pan z niemal każdej gazety.
- Zwłaszcza w ostatnim czasie - mruknął smętnie.

- Ale nie tylko z gazet pana znam - dodała z błyskiem w oku. - Już się kiedyś spotkaliśmy. A konkretnie, dziesięć lat temu.

Zmarszczył czoło, jakby usiłował cofnąć się pamięcią w czasie. Po chwili sobie przypomniał. Patrząc na promienny uśmiech Holly, zdziwił się, jak mógł ją zapomnieć. Tym bardziej że dziesięć lat temu również wywarła na nim ogromne wrażenie. No cóż, wchodząc dziś do bani, nie zauważył jej nazwiska na tablicy przy drzwiach, a od ich ostatniego spotkania Holly trochę się zmieniła.

- Tak, pamiętam ...

- Śpiewałam na pańskim przyjęciu weselnym.

Skrzywił się w duchu. Nigdy nie powinien był się żenić z Frannie.

- Holly Cadyle. Jedyne jasne punkty programu. Zmieniłaś się - rzekł, przechodząc na "ty".

- Naprawdę? - Ściskając w palcach słomkę, leniwie mieszała złocisty płyn w szklance.

Nagle Parkera zalała fala ciepła. Z najwyższym trudem zachował spokój. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś wzbudził w nim tak wielkie pożądanie. Żona nigdy go nie podniecała. Od początku dała mu wyraźnie do zrozumienia, że

erotyka jej nie interesuje. A kochanie się z kobietą, która wykazuje w łóżku tyle entuzjazmu co sople lodu, jakoś nie sprawiało mu przyjemności.

Chociaż byli małżeństwem od dziesięciu lat, od niemal siedmiu żyli każde własnym życiem. Parker nie występował wcześniej o rozwód, bo papiery rozwodowe nie były mu do niczego potrzebne. Bądź co bądź nie zamierzał się znów żenić. Frannie skutecznie zniechęciła go do kobiet.

Teraz, spoglądając na kobietę siedzącą naprzeciwko, poczuł dreszcz podniecenia. Był spragniony jak wędrowiec, który przebył długą drogę przez spaloną słońcem pustynię. Holly była niczym tchnienie wiatru. Niczym łyk wody. Przypomnił sobie jej długie nogi opięte czarnymi dżinsami, kiedy wolnym krokiem, kołysząc zmysłowo biodrami, zbliżała się do jego stolika ...

Wciąż bawiła się słomką. Nagle wyobraził sobie, jak pomalowanymi na czerwono paznokciami gładzi go po plecach. Z trudem się powstrzymał, by nie chwycić jej za rękę.

- Jesteś o wiele ładniejsza niż dawniej.
- Dziękuję. Chyba dziękuję ... - Wzruszyła lekko ramionami, po czym oparłszy się wygodnie, przez chwilę przyglądała mu się z uwagą. - No dobrze, Parker. Powiedz mi, co cię sprowadza do Hotelu Marchand w samym środku dnia?
- Twój głos.
- Kolejny komplement?
- Uwielbiam jazz. A ty świetnie czujesz bluesa.
- No cóż, od lat śpiewaniem zarabiam na chleb.
- Od dawna pracujesz w tym hotelu?

- Dwa ... nie, trzy lata - odparła, przesuwając palce po wilgotnej szklance. - Codziennie po południu ćwiczę z Tommym.

Występuję cztery wieczory w tygodniu, a w pozostałe dni staram się o zastępstwa w różnych klubach w mieście.

- Zajęta z ciebie kobieta.

- Męczy mnie beczyność. - Uśmiechnęła się szeroko. Nagle coś sobie przypomniała. - Kilka przecnic stąd zauważyłam kiedyś będący w trakcie remontu lokal o nazwie Grota Parkera.

T o twój?

- Mój.

Na samą myśl o swoim nowym przedsięwzięciu zrobiło mu się lekko na duszy. Całe życie marzył o tym, by otworzyć kawiarnię, w której przy dźwiękach nowoorleańskiego jazzu goście popijaliby pyszną aromatyczną kawę, od pokoleń sprowadzaną przez rodzinę Jamesów do Stanów.

- Z zewnątrz wygląda bardzo ciekawie. Kiedy otwarcie?

- Jak dobrze pójdzie, to za kilka dni. A wtedy wreszcie nie będę musiał... - Urwał.

Do diabła, nie przyszedł tu, by rozmawiać o swoich problemach. Wręcz przeciwnie, choć na parę godzin pragnął o nich zapomnieć.

- Nie będziesz musiał...? - spytała cicho Holly.

- To nudne. Nie chciałybyś o tym wiedzieć.

- Gdybym nie chciała, tobym nie pytała.

Przyjrzał się jej badawczo, po czym skinął głową. Podniósłszy ze stolika butelkę zimnego piwa, przejechał palcem po etykiecie z nazwą browaru. W stąpił do baru w Hotelu Marchand, by oczyścić głowę, uwolnić się od trosk, od nieustannych intryg swojej już wkrótce byłej zony, od uciążliwych obowiązków związanych z prowadzeniem rodzinnej firmy. Nagle poczuł, że ze wszystkiego chce się Holly zwierzyć, opowiedzieć jej o

swoich kłopotach.

- Miałem spotkanie z szefem kuchni tego hotelu, Robertem LeSoeurem - rzekł, na moment milknąc, by pociągnąć łyk piwa.

- Były ostatnio problemy z terminową dostawą kawy przez należącą do mojej rodziny firmę i LeSoeur groził zerwaniem kontraktu.

- To niedobrze.

- Na szczęście do tego nie doszło - przyznał z uśmiechem Parker. - Zdołałem go przekonać, żeby dał nam jeszcze jedną szansę.

- Świetnie. Ale skoro tak, to dlaczego siedzisz z nosem na kwintę?

Parsknął śmiechem.

- Na pewno masz ochotę tego słuchać? Wzruszyła ramionami.

- Właśnie skończyłam próbę. Do wieczora jestem wolna. Nie wiedział, dlaczego ta wiadomość go ucieszyła.

- W porządku, sama chciałaś ... Zapewne obilo ci się o uszy, że się rozwodzę?

- Owszem. Cały Nowy Orlean o tym trąbi.

- Niestety. - Po chwili kontynuował cicho: - W umowie przedmałżeńskiej zobowiązałem się, że w razie rozwodu Frannie otrzyma mój udział w rodzinnym biznesie. Jednakże opłaty za import kawy wzrosły i Frannie czuje się poszkodowana. 'Uważa, że dostałaby za mało pieniędzy. Twierdzi, że sabotuję własną firmę, żeby pozbawić ją należnej jej fortuny.

- To bez sensu. - Holly zmarszczyła z namysłem czoło. - Sabotując firmę, działałbyś na niekorzyść wszystkich udziałowców.

Uniósł butelkę w takim geście, jakby miał zamiar wypić zdrowie Holly.

- No widzisz, ty to rozumiesz, a Frannie nie. W każdym razie firmę nękają kłopoty. Zamówiony towar dociera z opóźnieniem, a czasem ginie po drodze. Nie dałbym głowy, czy za tym wszystkim nie stoi moja małżonka, która w ten sposób chce się na mnie zemścić.

- Na złość babci odmrozę sobie uszy? - Nie spuszczać oczu z Parkera, Holly ponownie zamieszała herbatę.

- Niezbyt to mądre ... Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - przyznał. - Mieliśmy wielkie plany. Chcieliśmy razem z rodziną Marchandów wprowadzić Kawy Jamesów do stałej sprzedaży w restauracji i barze hotelowym, ale teraz, kiedy szef kuchni jest wściekły ... Czeka mnie nie lada zadanie, żeby sprawę sfinalizować. - Wypuścił z płuc powietrze, po czym wziął głęboki oddech. - Skoro są tak poważne kłopoty z dostawami, może byłoby lepiej, gdybym się w ogóle ze wszystkiego wycofał. Wtedy Frannie nie miałyby powodu działać na szkodę firmy.

Kiedy przestał mówić, w sali zaległa cisza jak makiem zasiał. Po chwili Parker zorientował się, że ławka przy pianinie jest pusta; muzyk akompaniujący Holly wyszedł tylnymi drzwiami. Poza nimi i barmanem w lokalu nie było żywej duszy.

- Zamierzasz się poddać?

Głos Holly wyrwał go z zadumy. - Słucham?

- Poddać. No wiesz, zrezygnować z walki. Skapitulować.

- Nie bardzo widzę, co mógłbym zrobić ...

- Zawsze coś można zrobić - oznajmiła stanowczo Holly. - A ty chcesz oddać punkty walkowerem.

- Tak myślisz?

- A co mam myśleć? Sam powiedziałeś, że nie zdołasz wprowadzić swoich kaw do stałej sprzedaży w Hotelu Marchand ...

- Nieprawda. Powiedziałem, że czeka mnie nie lada zadanie, żeby tę sprawę sfinalizować.
- Poza tym z powodu żony gotów jesteś wycofać się z rodzinnego biznesu ...
- Owszem, bo wtedy nie będzie mogła ...
- Na twoim miejscu bym walczyła. Starła się ją pokonać.
- Tak? - Zacisnął mocniej dłoń na butelce piwa. - Rozważyłaś wszystkie za i przeciw po zaledwie trzech lub czterech minut rozmowy?
- Niczego nie rozważałam. Po prostu słucham swojej intuicji. To dobrze robi, wiesz?

ROZDZIAŁ DRUGI

Intuicja. Jej własna kilka razy ją zawiodła, ale na ogół Holly lepiej wychodziła, kiedy kierowała się intuicją, niż gdy ją lekceważyła. Jakiś wewnętrzny głos od dawna jej mówił, by nie angażowała się w żaden nowy związek. Nie wolno się spieszyć; trzeba czekać, aż dawne rany się zagoją.

Teraz jednak ten głos radził jej wyciągnąć pomocną dłoń do Parkera Jamesa. Intuicyjnie czuła, że są sobie bliscy. Zdumiało ją to, gdyż dotąd tak kiepsko układało się jej z mężczyznami, że od kilku lat wolała trzymać się od nich na dystans.

Do Parkera Jamesa coś ją jednak ciągnęło. Może chodzi o ten błysk w jego niebieskich oczach, kiedy opowiadał o klubie jazzowym, który zamierzał wkrótce otworzyć. Może o to, że wydawał się spragniony kogoś, kto by go wysłuchał. A może o to, co wiedziała na temat kobiety, którą dziesięć lat temu poślubił.

Zaczęła się nerwowo zastanawiać, czy powinna mu wyjawić, co widziała tamtego dnia przed laty. Czy informacja ta pomoże mu wygrać bitwę rozwodową? Czy nie pomoże, a jedynie sprawi

mu ból?

Wpatrując się w niebieskie oczy mężczyzny, w których widziała z trudem skrywane oznaki cierpienia, postanowiła milczeć. Przynajmniej na razie.

- A więc powinniśmy się słuchać intuicji, tak? - spytał po chwili Z lekką drwiną w głosie. - Może masz słuszość. Gdybym jej posłuchał, nie ożeniłbym się z Frannie.

- A dlaczego nie posłuchałeś?

Często w ciągu tych dziesięciu lat dumiała nad tym, jak układa się ich małżeństwo. Ciekawa była, czy Parker zdaje sobie sprawę, że kobieta, którą kocha, nie bardzo się nim interesuje. Przez pierwsze dwa lata po ślubie miejscowe gazety ciągle o nich pisały. Zdjęcia Parkera i Frannie bez przerwy trafiały do kronik towarzyskich. Potem zdarzało się to coraz rzadziej, aż wreszcie przestali pojawiać się w prasie.

- To znaczy, dlaczego się ożeniłeś?

- To długa historia. Nie mam ochoty jej opowiadać.

Miała wrażenie, jakby zatrzasnął przed nią drzwi. Jakby zamknął się w sobie, zabarykadował. Szkoda. Ta krótka rozmowa pozwoliła jej odrobinę lepiej poznać człowieka, który od dawna ją fascynował. Którego była ciekawa, odkąd śpiewała na jego weselu, a nawet wcześniej, odkąd w dzień poprzedzający jego ślub widziała, jak narzeczona go zdradza. Od tamtej pory czuła z nim więź. Może to dziwne, ale tak było.

- Przepraszam - szepnęła. .

Rozmowa z Parkerem sprawiała jej przyjemność; żałowała, że nagle wzniosł mur, który ich od siebie oddzielał, może nie fizycznie, ale emocjonalnie.

Wzruszył ramionami. Więź, która ich na moment połączyła, znikła, rozplynęła się. Parker skrzyżował ręce na piersi, jakby bronił do siebie dostępu. W powietrzu pojawiło się napięcie.

- No cóż ... - Podnosząc szklanę z herbatą, Holly odsunęła krzesło od stołu. - Miło mi się z tobą gawędziło.

- Mnie z tobą również.

- Pewnie się jeszcze kiedyś spotkamy ... ?

Nie chciała się rozstawać. Stała przy stoliku, spoglądając na Parkera i marząc o tym, aby poprosił ją, żeby usiadła jeszcze na kilka minut.

- Pewnie tak - rzekł, również wstając.

Był sporo od niej wyższy, ale nic dziwnego, skoro miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Rozpięta pod szyją niebieska koszula odsłaniała kawałek opalonego torsu. Nagle Holly zapragnęła ujrzeć cały tors. Oj, niedobrze, pomyślała; lepiej trzymaj się od niego z daleka.

Kiedy uściśnął jej wyciągniętą na pożegnanie dłoń, poczuła, jak od czubków palców aż po koniec ramienia przebiega ją prąd. Po chwili całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przez moment nie mogła złapać tchu. Wyszarpnąwszy rękę, obdzieliła Parkera promiennym uśmiechem. Miała nadzieję, że nie zauważył, co się z nią dzieje.

- Pora na mnie.

Odwróciła się, by odejść.

Póki jeszcze może.

Parker szedł ulicą Royal, usiłując odgadnąć, co takiego przydarzyło mu się w barze. Od lat nie mówił tyle, co w obecności Holly Carlyle. Przeczesał ręką włosy, pokręcił w zadumie głową. Niesamowite, pomyślał. Obca kobieta, która zafascynowała go swoim śpiewem, wiedziała więcej o jego małżeństwie niż ojciec czy matka. Należał do ludzi skrytych, którzy nie zwierają się nawet najbliższym, a dziś stało się coś dziwnego ...

Czy to była kwestia śpiewu Holly? Jej łagodnego spojrzenia?
Przyjaznego uśmiechu?

- Diabli wiedzą - mruknął pod nosem, obchodząc grupkę tUrystów podziwiających tyły katedry świętego Ludwika.

Skręcił w prawo w Sto Ann, odgajając się od rzeki i placu Jacksona. Ponieważ nie spieszył się z powrotem do pracy, postanowił zajrzeć do swojego nowego klubu, w którym ekipa budowlana wykonywała ostatnie prace remontowe.

Przechodząc na drugą stronę ulicy, znów zaczął rozmyślać o Holly. Nie zwracał uwagi na trąbiące samochody ani gniewne okrzyki kierowców. Lawirując między snującymi się po Bourbon Street turystami, wędrował przed siebie.

Nie patrzył na mijane po drodze wystawy. Nie miał czasu, by wstępować gdziekolwiek na kolejne piwo, a ponieważ mieszkał w Nowym Orleanie od urodzenia, nie kusiły go tutaj sze pamiątki.

W Nowym Orleanie nie istnieje coś takiego jak "sezon turystyczny". Turysty przyjeżdżają przez cały rok, choć może najczęściej ich widać w okresie karnawału Mardi Gras. Zwiedzają, przesiadują w knajpkach, słuchają muzyki, robią zdjęcia i, co ważne dla miejscowej gospodarki, wydają mnóstwo pieniędzy. Słynna Dzielnica Francuska oraz piękna, reprezentacyjna Garden District właściwie nigdy nie są puste.

Po huraganie Katrina, który spowodował ogromne zniszczenia, wszyscy się zastanawiali, czy Nowy Orlean kiedykolwiek odzyska dawny urok. Parker nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. To piękne stare miasto nad rzeką Missisipi jest niezniszczalne. Domy i drzewa mogły ucierpieć na skutek żywiołu; silne wiatry, wzrastający poziom wody, przerwane wały przeciwpowodziowe mogły narobić wiele szkód, ale ducha miasta nic nie potrafi zniszczyć.

Nagle uświadomił sobie, że otwarcie Groty przypadnie na szczytowy okres Mardi Gras. Większość ludzi sądzi, że Mardi Gras odnosi się do "tłustego wtorku", dnia przed środą popielcową. Ale każdy tubylec wie, że co najmniej dwa lub trzy tygodnie poprzedzające post wypełnione są pochodami i szaloną zabawą, której kulminacja następuje w nocy z poniedziałku na wtorek.

W tym roku on, Parker, również powita karnawałowych gości, sprawi, by przez kilka dni czuli się jak u siebie w domu. Uśmiechając się w duchu, wydobył z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął kilka klawiszy.

- Dzień dobry, Kawy Jamesów - usłyszał w słuchawce przyjemny głos recepcjonistki.

- Cześć, Marge - powiedział, obserwując rzeszę ludzi. - Zastałem ojca?

- Niestety. Twoi rodzice wyszli na wczesny lunch.

Przed oczami stanął mu obraz ojca i matki. Przebywając razem, zawsze trzymali się za ręce. Mimo tylu lat po ślubie wciąż byli w sobie zakochani. Nie ma co, wysoko ustawili poprzeczkę. Kiedyś wierzył, że jemu również uda się odnaleźć szczęście w małżeństwie.

Co prawda, pobrali się z Frannie bardziej z rozsądku niż z miłości, ale Frannie była cudowną dziewczyną, dlatego dałby sobie rękę uciąć, że z czasem się pokochają, że będą mieli dzieci, że doczekają się wnuków. Niestety, marzenie to się nie spełniło. Małżeństwo okazało się niewypałem. Nie przypuszczał, że w nieudanym związku można być aż tak

nieszczęśliwym.

Z zadumy wyrwał go głos Marge:

- Wyjaśniłeś wszystko z szefem kuchni w Marchandzie?

- Myślę, że dojdziemy do porozumienia. Muszę go jeszcze trochę ponaciskać, ale wierzę, że sprawa zakończy się pomyślnie - dodał, nie zamierzając zaakceptować porażki. - Przekaż to mojemu ojcu.

- Na pewno się ucieszy - stwierdziła recepcjonistka. - Wracasz do firmy?

- Będę najwcześniej za godzinę - odparł. - Mam jeszcze kilka rzeczy do załatwienia.

- W porządku, nie spieszy się. Przekażę twojemu ojcu wiadomość.

Rozłączywszy się, skręcił w prawo, w stronę Dauphine i St. Peter. Chodniki zastawione tu były roślinami w donicach, a żelazne pręty balkonów na piętrach oplatały zwisające ze skrzynek barwne kwiaty, których balsamiczny aromat wypełniał rześkie popołudniowe powietrze.

Z uchylonego okna wypływały dźwięki jazzu, które wiatr niósł w stronę rzeki.

Na samym rogu, na lśniącej w blasku słońca szybie, widniał napis wykonany dużymi złotymi literami: Grota Parkera. Szeroko otwarte drzwi zachęcały do wejścia.

Stary budynek dzielnie oparł się Katrinie. Stał na tyle daleko od rzeki, że nie zalała go wylewająca się z brzegów woda, wiatr też nie zdołał poczynić w nim większych zniszczeń. Parker wiedział, że dopisało mu szczęście. Tak duża część miasta została totalnie zdewastowana! Wiele osób zginęło, wiele straciło dobytek całego życia .

Podobnie jak nowy klub Parkera, również rodzinna firma Jamesów zbytnio nie ucierpiała. Owszem, biura wymagały solidnego remontu. Poza tym stracili majątek w towarze, który trzymali w magazynach na terenie portu. Ale zważywszy na to, czego doświadczyli inni, Jamesowie mogli uważać się za szczęściarzy.

Parker wszedł do chłodnego wnętrza i przystanął, czekając, aż oczy przywykną mu do panującego w środku półmroku. Dźwięki wyjących pił mieszały się z głosami pracujących mężczyzn. Skinieniem głowy pozdrowił dwóch stojących najbliżej, po czym ruszył na obchód swojego królestwa.

Różnica w wysokości między podłogą a znajdującą się na końcu sali sceną wynosiła około dwudziestu centymetrów. To dobrze. Zależało mu, aby muzycy byli dobrze widoczni, a jednocześnie, by nie czuli dystansu między sobą a gośćmi.

Ściana od ulicy składała się prawie z samych okien, w dodatku sięgających od podłogi niemal do sufitu. James miał nadzieję, że przechodnie będą zaintrygowani nie tylko wydobywającymi się na zewnątrz dźwiękami, ale również widokiem występującego na scenie zespołu i bawiących się gości.

Na ścianie po przeciwnej stronie stał rząd starych mosiężnych ekspresów do kawy. Metalowe elementy lśniły w blasku zawieszonych u sufitu lamp. Okrągłe drewniane stoliki, na których stały do góry nogami drewniane krzesła, wypełniały środek sali.

Jeszcze kilka dni do wielkiego otwarcia. Parker poczuł ucisk w piersi. Marzył o takim klubie od niepamiętnych czasów, ale teraz, gdy marzenie to się miało spełnić, z trudem panował nad zdenerwowaniem .. A jeśli całe przedsięwzięcie okaże się klapą? Jeśli w mieście jest już dostatecznie dużo klubów jazzowych i kolejny nie wzbudzi większego zainteresowania? Albo ...

- Nie denerwuj się - mruknął ochryple, z roztargnieniem przeczesując ręką włosy. - Tylko spokój może cię uratować.

Nie ma sensu martwić się na zapas. A poza tym wiedział, że klub odniesie sukces. Po prostu czuł to. Oczami wyobraźni widział zajęte stoliki. Goście tłoczą się przy barze. W powietrzu unoszą się dźwięki trąbki, a towarzyszy im niski, jedwabisty głos Holly.

Znów zaczął myśleć o ślicznej rudowłosej wokalistce. Wywarła na nim wrażenie. Wsunął ręce do kieszeni dzinsów. W ciągu trwającej kilka minut rozmowy Holly Carlyle zburzyła mur, za którym krył się od wielu lat.

Pamiętał jej promienny uśmiech, łagodne szare oczy, wdzięk, z jakim się poruszała, skupienie, z jakim mieszała mrożoną herbatę. Zaintrygowała go.

Psiakość, wcale tego nie chciał! Nie chciał znaleźć się pod urokiem tej ani jakiegokolwiek innej kobiety. Frannie za bardzo załazła mu za skórę.

Wprawdzie Holly w niczym nie przypominała Frannie, ale to nie ma znaczenia. Obie były kobietami, a jedno, czego się nauczył w ciągu ostatnich dziesięciu lat, to fakt, że obdarzenie kobiety zaufaniem kończy się bólem i gorzkim rozczarowaniem. A jednak na samo wspomnienie zmysłowego śpiewu Holly poczuł dziwny ucisk w trzewiach. To właśnie jej głos sprawił, że zamiast po rozmowie z LeSoeurem opuścić hotel, postanowił na chwilę zajrzeć do baru. A potem słuchał jak zahipnotyzowany. Nawet gdy już skończyła próbę, nie potrafił wstać od stolika i wyjść.

- Parker?

Miała w sobie coś urzekającego. Coś, czego podświadomie szukał. Coś, czego pragnął. Czego, psia krewo, pragnął wbrew zdrowemu rozsądkowi. - Rej, Parker!

Wyrwany z zadumy obrócił się i naprzeciw siebie ujrzał szefa ekipy budowlanej. Joe Billet, potężny facet o szerokiej klatce piersiowej i dłoniach wielkości rakiet do pingponga, patrzył na niego ze zniecierpliwieniem w oczach.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- A sądząc po twojej minie, nie były to wesołe myśli.

- To prawda. O co chodzi, Joe?

- O damską toaletę - odparł mężczyzna, wskazując na zaplecze. - Zgodnie z poleceniem zamontowaliśmy te wszystkie mosiężne elementy. Może chcesz na to zerknąć?

- Jasne.

Lepiej skupić się na remoncie klubu niż na głosie i oczach ślicznej Holly, uznał Parker.

Rozmyślanie o jej walorach może mu tylko przysporzyć kolejnych kłopotów. Więc ignorując obraz, którego nie umiał się pozbyć, poszedł pośpiesznie za majstrem budowlanym.

Popołudniowe słońce wpadało ukosem przez okna do kuchni Rayesów, nadając pomalowanym na seledynowy kolor ścianom ciepły, łagodny odcień. Holly wciągnęła w nozdrza zapach wydobywający się z wielkiego rondla, po czym wzięła drewnianą łyżkę i zamieszała bulgoczące na ogniu gęste gumbo z krewetkami.

- Mmm - westchnęła błogo. - Shano, jesteś najlepszą kucharką w całym Nowym Orleanie.

Stojąca przy zlewie kobieta przerzuciła przez ramię ścierkę i roześmiała się wesoło.

- Łatwo cię zadowolić, skarbie.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Holly.

Odsunawszy się od kuchenki, usiadła przy okrągłym stole i rozejrzała po znajomym wnętrzu. Białe szafki pod ścianą, na środku wyspa, nad nią potężna żelazna konstrukcja, z której zwisały mosiężne patelnie i garnki. Lśniące czystością granitowe blaty, na których stały jedynie rzeczy potrzebne do przygotowania dzisiejszej kolacji.

Shana Raye's nie lubiła bałaganu.

Holly skierowała wzrok na żonę Tommy'ego. Kobieta miała gładką, kakaową cerę pozbawioną zmarszczek oraz duże brązowe oczy, które iskrzyły się od śmiechu. Włosy krótko przycięte, w uszach grube złote kółka. Szczupła, wysoka, ubrana w czarną spódnicę oraz jasnożółtą bluzkę. Na nogach sandałki na obcasach, które stukwały o podłogę, ilekroć przechodziła od zlewu do kuchni i z powrotem do zlewu.

- Skoro nic nie robisz, może byś wyłuskała groszek?

- Tak jest, szefowo. - Holly przysunęła bliżej durszlak pełen świeżych zielonych strąków. - Spotkałam dziś w hotelu Paikera Jamesa.

- Wiem, Tommy mi mówił.

Z neutralnego tonu Shany Holly nie była w stanie nic wywnioskować.

- Tak?

Shana skinęła głową.

- Powiedział, że sprawialiście wrażenie bardzo zaaferowanych.

- Hm. - Holly przełknęła ślinę. Dziwne, ale czuła się jak nastolatka, którą po powrocie z randki przepytuje matka. Chociaż może nie było to takie dziwne. Właściwie od lat Shana zastępowała jej matkę, której tak naprawdę nigdy nie miała. - No cóż ...

- Zdradzę ci, że nie był z tego faktu zadowolony.

Holly parsknęła śmiechem.

- Przecież sam mi kazał podejść do stolika, przy którym Parker siedział, i się przywitać.

- Wiem. Ale zmienił zdanie, kiedy zorientował się, kim jest ów tajemniczy mężczyzna.

- Aha, czyli chciał, żebym się przywitała, ale nie chciał, żebym spędziła miły kwadrans na rozmowie.

- T o facet, skarbie, a faceci rzadko grzeszą rozsądkiem.

- Nic mi nie zrobił. Tommy naprawdę nie musi się niczego obawiać.

Swoją drogą, co Tommy'emu przeszkadzało, że usiadła na moment przy stoliku Parkera? Że chwilę rozmawiali? Skoro tak bardzo się o nią lękał, dlaczego nie interweniował?

- W porządku.

- Słowo honoru. Zamieniliśmy parę słów. To wszystko.

- Jesteś pewna?

Przekrzywiwszy na bok głowę, Holly przyjrzała się starszej kobiecie.

- Czy to nie ty mi ciągle powtarzasz, że powinnam częściej wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi, umawiać na randki ...

- Zgadza się, ale Parker James to nie twoja liga, skarbie. Nie powinnaś się z nim zadawać.

- Zadawać? Ależ ja się. z nikim nie "zadaję".

- Tommy twierdzi co innego.

Wygląda na to, że Tommy wszystko wie najlepiej. Holly westchnęła z rezygnacją.

- Wiesz - ciągnęła po chwili - Parker jest znacznie przystojniejszy w rzeczywistości niż na zdjęciach w prasie.

- Tak? - Shana odkręciła kran i napuściła do zlewu ciepłej wody.

- Sprawia j ednak wrażenie bardzo ... samotnego.

- Co ty powiesz?

Ściągnąwszy brwi, Holly wzięła w palce kolejny strąk i wsypała groszek do stojącej obok małej niebieskiej miski.

- Mówi, że jego żona próbuje zniszczyć należącą do rodziny firmę.

- Naprawdę? - Shana wlała do wody kilka kropli płynu do naczyń.

- Podoba mu się, jak śpiewam - mówiła dalej Holly.

Starsza kobieta wybuchnęła wesołym śmiechem.

- Nic dziwnego. Śpiewasz cudownie.

- E tam. Jesteś stronnicza, bo mnie kochasz.

- Owszem, kocham. - Shana obróciła się tyłem do zlewu i skrzyżowała ręce na piersi. - Widzę, że facet zawrócił ci w głowie.

- Bez przesady - zachnęła się Holly, choć od ich rozstania bez

przerwy o nim myślała. -: Poza wszystkim innym dopiero go poznałam ..

- Czasem wystarczy chwila - zauważyła Shana. - Ja spojrzałam na Tommy'ego i z miejsca zrozumiałam, że chcę być z nim do końca życia. - Ja niczego takiego nie doświadczyłam oznajmiła stanowczo Holly.

Parker miałby zawrócić jej w głowie? Zauroczyć ją swym wdziękiem? Nie, to śmieszne. Po prostu czuła się tak, jakby przeglądając kolorowe pismo, trafiła na zdjęcie przystojnego gwiazdora i przez moment próbowała sobie wyobrazić u jego boku siebie.

Parker James jest dla niej równie nieosiągalny jak aktorzy, o których rozpisują się gazety. Jego rodzina należy do elity Nowego Orleanu. A ona, Holly Carlyle, jest tu nikim.

Nawet nie zna swoich rodziców. Miała zaledwie dwa lata, kiedy zajęli się nią ludzie z opieki społecznej. Później, jako młoda kobieta, usiłowała dowiedzieć się czegoś o swojej matce i ojcu; bez powodzenia. Jedyne informacje, jakie uzyskała, sprowadzały się do tego; że ktoś porzucił ją na schodach przed komendą policji.

Przez kolejnych czternaście lat przenoszono ją z jednego sierocińca do drugiego. Kiedy miała sześć lat, przez niemal cały rok mieszkała w rodzinie zastępczej. Po raz pierwszy w życiu poznała uczucie przynależności. Ale potem ci mili państwo, którzy wzięli ją pod swoje skrzydła, oraz ich prawdziwe dzieci przenieśli się na Florydę, a ona znów została sama. Porzucona.

Od tamtej pory przestała żyć nadzieją, że jej los się odmieni. W wieku siedmiu lat nauczyła się polegać wyłącznie na sobie. Ludzie z opieki społecznej chcieli dobrze, ale mieli zbyt dużo dzieci, aby każdym zająć się z osobna. Każde dziecko wymagało czasu i uwagi. Holly uciekła z sierocińca, gdy tylko

uznała, że zdoła na siebie zarobić.

Wysypała do miski groszek z kolejnego strąka. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w niczym nie przypomina kobiet, wśród których obraca się Parker James. No ale w swoim środowisku nie znalazł szczęścia. Chyba nigdy nie spotkała tak samotnego i smutnego człowieka.

- Nie powiedziałam, że on mnie pociąga czy intryguje - dodała cicho.

- Nie szkodzi, skarbie - rzekła Shana. - W szystko masz wypisane na twarzy.

- Wspaniale - mruknęła Holly.

Opuściwszy głowę, przysunęła bliżej durszlak z zielonymi strąkami. Nie widziała Shany, ale słyszała stukot jej obcasów, gdy ta szła przez kuchnię. Po chwili żona Tommy'ego wyciągnęła krzesło, usiadła przy stole i poklepała Holly po ręce.

- Skarbie, wiesz, że cię kocham jak rodzoną córkę?

- Wiem. - Holly uśmiechnęła się na widok zatroskanej miny swojej przyjaciółki.

Hayesowie i ich dzieci byli jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miała. Tommy'ego poznała podczas swojego pierwszego profesjonalnego występu, kiedy śpiewała na balu dla absolwentów miejscowego college'u. Tommy akompaniował jej na fortepianie. Muzycznie "dogadywali" się świetnie, jakby współpracowali z sobą od lat.

Ten dzień należał do najszczęśliwszych w jej życiu. Była przerażoną dziewczyną w wieku szesnastu lat, która udawała, że niczego się nie boi i wszystko ma pod kontrolą. Ale Tommy na to się nie nabrał. Po skończonym występie zabrał ją do siebie na solidną kolację.

I już tam została.

Oczywiście miała dziś własne mieszkanie w Garden District, ale

stary dom na Fontainebleau Drive, dom Tommy'ego i Shany, na zawsze pozostanie jej domem. Jej miejscem na ziemi.

- Proszę cię tylko o jedno. - Oczy Shany przenikały ją na wylot.

- Żebyś miała się na baczności przy Parkerze.

- Ojej, przecież ja nie ...

- Daj mi dokończyć - Starsza kobieta posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Identycznie patrzyła na swoją piętnastoletnią córkę Kendrę, kiedy ta zbyt późno wracała do domu. - Nie wikłaj się w związek z facetem, który jest w trakcie rozwodu. To nie dla ciebie.

Holly poczuła, jak zalewa ją fala ciepła. Podejrzewała, że rumieni się jak dziesięciolatka przyłapana na pocałunku z kolegą.

- A kto mówi o związku? O wikłaniu się? Shano ...

- Skarbie, nie jestem ślepa. Wszystko masz wypisane na twarzy. Zadurzyłaś się.

Holly pokręciła ze śmiechem głową.

- Zadurzyłam? Chyba żartujesz?

- Nie, kochanie - oznajmiła z powagą Shana. - Mówię jak najbardziej serio. Parker James jest człowiekiem z problemami. Trzymaj się od niego z daleka.

- Wcale nie zamierzam się z nim umawiać. Powiedziałam tylko, że jest przystojny ...

- Wiem, że tak powiedziałaś. Ale w głębi duszy liczysz na ... - Shana urwała i odwróciła się w stronę holu. - T.J.? To ty?

Holly odetchnęła z ulgą, wdzięczna za niespodziewany powrót któregoś z domowników.

- Tak, mam, to ja. Cześć, Holly. - Dwudziestoletnia żeńska kopia Tommy'ego zajrzała do kuchni, uśmiechając się szeroko. Włosy, zaplecione w dziesiątki ozdobionych koralikami

warkoczyków, sterczały jej wokół głowy. - Kolacja gotowa?
- Jeszcze kwadrans. Powiedz siostrze.
- Dobra. Tata jest w domu?
- Nie, ale wróci lada chwila. Idź umyj ręce - poleciła córce Shana.

Kiedy zostały same w kuchni, wstała od stołu i popatrzyła na Holly, zaciskając rękę na jej ramieniu.
- Pamiętaj, co ci powiedziałam.
- Rozkaz, szefowo.

Holly ponownie skupiła się na pracy. Durszlak pustoszał, podczas gdy miska zapełniała się ziarenkami groszku. Sięgając po kolejne strąki, Holly . rozmyślała nad przestroga przyjaciółki.

Shana niepotrzebnie się martwi. Między nią a Parkerem nigdy do niczego nie dojdzie. Ale raz na jakiś czas miło sobie pomarzyć.

W marzeniach nie ma przecież nic złego, prawda? Nikomu krzywdy się nie wyrządza.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz po południu Holly uświadomiła sobie, że już od dwudziestu czterech godzin przywołuje się w myślach do porządku. Jak dotąd ten wewnętrzny monolog nie odniósł większego skutku.

Wysiadła z tramwaju przy Canal i skręciła w Bourbon Street, przy końcu której znajdował się Rotel Marchand. Szybciej dotarłaby na miejsce taksówką, ale lubiła jeżdżące wzdłuż St. Charles zabytkowe tramwaje, które wozily tubylców do pracy, a

turystów zabierały na zwiedzanie pięknych rezydencji sprzed wojny secesyjnej stojących wśród bujnych ogrodów.

Słońce grzało ją w plecy. Wkrótce nadejdzie lato, pomyślała. Wysoka temperatura oraz ogromna wilgotność powietrza sprawiają, że w lipcu i sierpniu trudno tu wytrzymać. Ale na razie pogoda jest idealna.

Holly wędrowała przed siebie, a rytmiczny stukot obcasów dotrzymywał jej towarzystwa. Starła się skupić na dźwiękach miasta, ale nie potrafiła. Mimo wczorajszej rozmowy z Shaną nie mogła przestać myśleć o Parkerze.

Nie chodzi o to, że był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakiego kiedykolwiek widziała. W końcu przystojnych mężczyzn wszędzie można spotkać. Chodziło o coś innego: o smutek bijący z jego oczu.

To ten smutek nie dawał jej spokoju.

- Problem w tym - szepnęła do siebie, usuwając się pośpiesznie z drogi dwójce turystów pozującej do zdjęcia przed sklepem z pamiątkami - że za dużo o nim wiesz.

Może za dużo nie wiedziała, ale była świadoma faktu, dlaczego jego małżeństwo kończy się rozwodem. Wielokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, nie informując Parkera o zdarzeniu, którego była mimowolnym świadkiem. No ale jak o czymś takim powiedzieć człowiekowi, którego się nie zna?

- Nie, nie. - Potrząsnęła energicznie głową. - Dobrze zrobiłaś. Ta sprawa nie dotyczyła cię w najmniejszym stopniu, ani wtedy, ani dziś.

Obok śmignął chłopak na deskorolce. Holly odruchowo zacisnęła rękę na torebce. W okresie Mardi Gras w mieście grasuje więcej niż zwykle złodziejasków, wykorzystujących roztargnienie turystów.

Po chwili znów wróciła myślami do Parkera Jamesa. I znów poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się fala ciepła. Podobał się jej ten żar. Wiele czasu minęło, odkąd jakikolwiek mężczyzna przyprawił ją o dreszcze.

Przyśpieszając kroku, uśmiechnęła się w duchu. Jeśli spóźni się na próbę, Tommy będzie jej to wypominał co najmniej przez kilka dni. A poza tym ... poza tym może Parker dziś również zajrzy do baru.

Zbliżając się do hotelu, czuła się jak dziecko, które nie może się doczekać prezentu od Świętego Mikołaja. Zdawała sobie sprawę, że to bez sensu. Śpiewała w hotelu kilka lat, Parkera widziała tam wczoraj po raz pierwszy. Nie miała powodu przypuszczać, że dziś lub jutro znów go zobaczy, ale kto wie ...

- Dzień dobry, panno Holly.

- Cześć, Sam.

Skinęła głową portierowi, który rozmawiał z jednym ze swoich młodszych podwładnych. Sam Manoy, niebieskooki, siwowłosa, barczysty mężczyzna niemal dwumetrowego wzrostu, prezentował się niezwykle dostojnie w czerwono-złotym mundurze. Kiedy młodszy z mężczyzn podszedł do czarnej limuzyny, która zatrzymała się przed hotelem, Sam skierował się pośpiesznie do drzwi.

- Proszę, panno Holly - powiedział, otwierając je na oścież.

Podziękowawszy mu, weszła do chłodnego holu, w którym panował łagodny półmrok. Mimo eleganckiego, nieco staromodnego wystroju hotel sprawiał wrażenie przyjaznego i przytulnego.

W drodze do baru Holly zerknęła na piękne, biegnące łukiem schody. Tuż za nimi znajdowały się przeszklone drzwi, przez które Wychodziło się do ukwieconego ogrodu. Do ogrodu można było również wejść przez bar oraz restaurację. -

W recepcji dyżurował Luc Carter, który pełnił funkcję animatora wolnego czasu. Wysoki, niebieskooki blondyn o ciepłym, promiennym uśmiechu, był nie tylko przystojny, ale i czarujący. Uśmiechem i wdziękiem potrafił zdziałać cuda.

W ciągu paru ostatnich miesięcy Holly widziała, jak udobruchał parę naburmuszonych ponuraków i jak uspokajał zdenerwowaną starszą panią, która była pewna, że ktoś ukradł jej z pokoju naszyjnik z brylantem. Oczywiście okazało się, że bezcenny naszyjnik straciła za toaletkę ... W każdym razie Luc zaopiekował się roztrzęsioną staruszką, która wpadła do holu, żądając, by natychmiast wezwano policję, a jeszcze lepiej FBI.

- Spóźniłam się, co? - spytała Holly, przystając na moment przy ladzie recepcji. - Pewnie Tommy już przyszedł?

Luc mrugnął do niej porozumiewawczo. - Rozgrzewa się od dwudziestu minut. Holly przewróciła oczami.

- O kurczę! Do wieczora będzie mi głowę suszył, jaka to jestem nieodpowiedzialna. Ten człowiek zawsze zjawia się o czasie. Nie byłby sobą, gdyby się spóźnił.

- Dziwne, wiesz? - odrzekł Luc, wyrównując stos mapek Nowego Orleanu. - Bo on to samo powiedział o tobie. Że nie byłabyś sobą, gdybyś się nie spóźniła.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Ciekawe, z kim trzymasz? Z Tommym czy ze mną?

- Zawsze biorę stronę pięknej kobiety - oznajmił szarmancko Luc.

- Cóż za ujmujący młody człowiek - stwierdziła ze śmiechem Holly.

Po chwili spoważniała. Uderzając palcami o blat, przez moment uważnie obserwowała Luca.

- Słuchaj, dobrze się czujesz? Wydajesz się ... przygnębiony.

- Ja? Przygnębiony? - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Chyba coś ci się przywidziało.
- Na pewno wszystko w porządku?
- Słowo honoru. - Uniósł rękę, jakby składał przysięgę.
- No dobrze. Do zobaczenia. - Holly pośpiesznie ruszyła w stronę baru, gdzie czekał na nią Tommy Hayes.

Patrząc za oddalającą się piosenkarką, Luc skarcił się w duchu. Psiakrew! Powinien mieć się na baczności. Chociaż w ostatnim czasie zaprzyjaźnili się z Holly, postanowił, że jednak musi zwiększyć między nimi dystans. Dla własnego bezpieczeństwa. Holly bowiem ma znakomitą intuicję. Potrafi wyczuwać ludzi, ich nastroje. To jest niebezpieczne. Nie może pozwolić, aby odgadła, co on knuje.

Wiele ich łączyło. Oboje musieli pokonać mnóstwo przeszkód, aby cokolwiek w życiu osiągnąć. Oczywiście sytuacja Holly była znacznie gorsza. On przynajmniej miał kochającą matkę, -która go wspierała.

Czasem zastanawiał się, jak by się ułożyło jego życie, gdyby ojciec nie opuścił rodziny, kiedy on, Luc, był małym dzieckiem. Albo gdyby Pierre wrócił do Nowego Orleanu i zawalczył o swoją własność - część rodzinnej fortuny.

Luc rozejrzał się tęsknie po eleganckim holu, nie czuł już jednak tego ślepego gniewu i chęci zemsty co dawniej. Odkąd zaczął pracować u Marchandów, coraz trudniej było mu uwierzyć, że siostrajego ojca Anne i jej córki są takimi potworami, za jakie je z początku uważał. Dlatego miał coraz większe opory przed tym, co zamierzał zrobić.

- Witam pana serdecznie.

Wyjął z przegródki na korespondencję kilka złożonych kartek i podał je gościowi. Po chwili znów został sam ze swoimi myślami.

A te wcale mu się nie podobały.

Kilka miesięcy temu, gdy zgłosili się do niego Richard i Daniel Corbinowie, którzy chcieli zmusić Anne Marchand do sprzedaży hotelu, wszystko wydawało się takie proste.

Luc ucieszył się, że ma okazję zemścić się na rodzinie ojca za to, że wyrzuciła go z domu, kiedy ten miał zaledwie osiemnaście lat. Był przekonany, że Anne Marchand świadomie odwróciła się od brata, chociaż ojciec powiedział mu, że to nieprawda: właśnie Anne mu pomagała, a wszystkiemu winna była ich matka, Celeste Robichaux. To Celeste zniszczyła swojego syna, pozbawiła go dumy i pewności siebie, zmusiła do włóczęgostwa i hazardu.

Kiedy Luc o tym rozmyślał, jakiś wewnętrzny głos tłumaczył mu, że każdy jest kowalem swego losu, każdy podejmuje własne decyzje. To samo dotyczy Pierre'a. Zniknął z życia swojego syna, chociaż wcale nie musiał. Miał żonę, dziecko. Mógł zostać i podjąć próbę zapewnienia im szczęśliwego życia.

Psiakrew! Luc zmarszczył czoło. Skoro zgodził się na współpracę z Richardem i Danielem, dwoma hotelarzami o wątpliwej reputacji, których poznał w Tajlandii, nie powinien odczuwać tych wszystkich wątpliwości. Powinien szaleć z radości, że może zemścić się na rodzinie ojca. Ale jedynym złoczyńcą jest Celeste, jego babka, a ona z hotelem nie ma nic

wspólnego.

Hotel Marchand to owoc ciężkiej pracy i spełnione marzenie Anne oraz jej świętej pamięci męża Remy' ego.

Niestety, teraz jest już za późno. On, Luc, zawarł pakt z diabłem i znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Czuł się jak zwierzę schwyte w sidła, z których nie potrafi się wyplątać.

Jeżeli przyzna się swojej ciotce Anne, że problemy, jakie w ostatnim czasie nękały hotel i powodowały ogromne straty finansowe - zepsuty generator, nieterminowe dostawy, malejąca liczba rezerwacji - to jego sprawka, ciotka przypuszczalnie wyrzuci go z pracy i może nawet każe aresztować. Z kolei jeżeli spróbuje wycofać się z obietnicy danej Corbinom, spotka go jeszcze surowsza kara.

Ostry dźwięk telefonu wyrwał go z zadumy.

Luc ucieszył się, że choć na moment może zająć myśli czymś innym.

- Hotel Marchand, recepcja - powiedział uprzejmie do słuchawki. - Czym mogę służyć?

Nie powinienem był tu wracać, pomyślał Parker. Tym bardziej że miał mnóstwo innych spraw na głowie, którymi należałoby się zająć.

Kiedy jednak wszedł do baru i usiadł przy tym samym stoliku co wczoraj, nie wyobrażał sobie, by tego popołudnia mógł być gdziekolwiek indziej. Docierający ze sceny głos omywał go, przenikał, pieścił; sprawiał, że kłopoty zniknęły, że przepełniał go błogi spokój.

Miał wrażenie, że Holly nie spuszcza z niego wzroku. Stojąc na scenie, kołysała się zmysłowo, a jej długie rude włosy lśniły w

blasku pojedynczego reflektora. Parker słuchał jak urzeczony. Niski., lekko ochryply głos kobiety przejmował go dreszczem. Czuł, że między nim a Holly Carlyle wytwarza się tajemnicza więź. Coś go do niej ciągnęło, jakaś potężna, magnetyczna siła, której nie potrafił się oprzeć. I nagle, kiedy siedział zasłuchany, ogarnęło go pożądanie. Mięśnie mu się napięły, myśli się rozprzeczły. Wszystko wokół się rozplynęło, została tylko ona - bogini, która kręci ponętnie biodrami i przemawia do niego słodkim, aksamitnym głosem.

Serce zaczęło walić mu jak oszalałe. Wiedział, że musi wziąć się w garść, odzyskać kontrolę nad emocjami. Jest przecież opanowany, rozsądny, trzeźwo stąpa po ziemi. Nie działa pochopnie, pod wpływem impulsu. Przed pojęciem decyzji zawsze wszystko dokładnie analizuje, rozpatruje plusy i minusy, starannie wybiera najlepszą opcję.

Teraz jednak. .. nie chciał nic analizować, rozpatrywać, badać. Chciał wstać od stolika, przejść przez salę, porwać Holly w ramiona i zaszyć się z nią na bezludnej wyspie. Chciał...

Piosenka dobiegła końca, chociaż w powietrzu długo jeszcze dźwięczała ostatnia nuta. Parker wpatrywał się w niedużą scenę. Widział, jak Holly pochyła się nad pianistą i szepcze mu coś do ucha. Mężczyzna skrzywił się, łypnął okiem na Parkera, po czym ponownie utkwiał spojrzenie w Holly. Chyba nie spodobało jej się to, co powiedział, bo lekko zeszywniała. Po chwili jednak pocałowała muzyka w policzek, zeszła ze sceny i ruszyła w stronę Parkera.

W stał, gdy zbliżyła się do stolika. Modlił się w duchu, aby panujący w sali półmrok skrył jego podniecenie. Tylko tego brakowało, żeby Holly zobaczyła, jak działa na niego sam jej widok.

- Wróciłeś ... - powiedziała cicho.

- Nie mogłem się powstrzymać - oznajmił, choć nie zamierzał się do tego przyznawać. - Cieszę się.

Ponad jej ramieniem popatrzył na scenę.

- W przeciwieństwie do twojego przyjaciela.

Wzdychając ciężko, Holly obejrzała się za siebie.

- On ... się trochę niepokoi.

- O mnie?

- Nie. - Roześmiała się. - O mnie. Tommy uważa, że powinnam się trzymać od ciebie z daleka.

- A ty co uważasz? - spytał.

- Dzieli nas niecały metr.

- Faktycznie. - Starał się nie patrzeć na ciemnoskórego muzyka przy pianinie. - Byłaś świetna, wiesz?

- Dziękuję. Ale łatwo dać dobry występ, kiedy ma się doskonałą muzykę i znakomity tekst.

Potrząsnął głową.

- Nieprawda. Do śpiewania j azzu potrzeba czegoś więcej. Serca. Duszy. W twoim głosie ona pobrzmiwa cały czas.

Kąciki jej ust zadrżały.

- To chyba najładniejszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam. - Wskazała ręką stół. - Może byśmy usiedli? Napili się czegoś?

- Ja ... - Parker zerknął na scenę. Gdyby spojrzenie mogło zabić, podejrzewał, że już by nie żył.

- Bardzo chętnie. Ale wolałbym gdzie indziej.

W lot pojęła, o co mu chodzi.

- Dobrze. Co proponujesz?

- Mały spacer?

Przechyliwszy w bok głowę, przez moment bacznie mu się przyglądała.

- Rm, wydajesz się człowiekiem godnym zaufania.

- Miło mi to słyszeć. Nawet jeśli musiałaś się chwilę nad tym zastanowić.

- Ostrożności nigdy' hie za wiele.

- Zeszłym razem mówiłaś, że trzeba kierować się intuicją ...

- Bo trzeba. Ale jedno nie wyklucza drugiego.

Uśmiechnął się.

- Nie bój się. Nic ci z mojej stHolly nie grozi. - Skinął na pożegnanie muzykowi. - Wierz mi, nie chciałbym się narazić na złość twojego kumpla. - Słusznie. - Pomachała do Tommy'ego ręką.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co muszą przechodzić potencjalni narzeczeni jego córek.

Parker podał Holly rękę. Kiedy ją wzięła, poczuł, jak po jego ciele rozplywa się żar. Może to lepiej, przemknęło mu przez myśl, że nad Rołły czuwa wielki, groźny anioł stróż.

- To dokąd idziemy? - spytała, przystając za drzwiami.

- Chcę ci coś pokazać.

Wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, że od początku o tym marzył - żeby pochwalić się Rołły swoim nowym klubem. I namówić ją, by zgoaziła się tam występować.

Dlaczego wczoraj nie wpadł na ten pomysł? Przecież to genialne. Przed oczami stanął mu obraz Holly, która z niedużej sceny czaruje gości swoim niezwykłym głosem. Stały mu przed oczami również inne obrazy. Zobaczył siebie, jak się nad nią pochyla, jak ją całuje, pieści ...

- Masz taki tajemniczy błysk w oczach - powiedziała, biorąc go pod rękę. - No chodź. Zaintrygowałeś mnie.

Wędrowali wolno, jak turyści, to przystając przed wystawą, to

omijając grupę przechodniów. Wtem natknęli się na zorganizowaną wycieczkę z przewodnikiem, chudym, bladym mężczyzną, który wyglądał jak statysta w filmie kręconym na podstawie jednej z książek Anne Rice.

Przez kilka minut szli za wycieczką, słuchając informacji na temat obdarzonej niezwykłą mocą królowej wudu, Marie Laveau, która, żyła w Nowym Orleanie ponad sto lat temu. Rozproszeni wycieczkowicze zajęci byli robieniem zdjęć i w przeciwieństwie do Holly nie zwracali większej uwagi na to, co przewodnik mówi.

Kiedy grupa skręciła w boczną ulicę, Holly popatrzyła na Parkera.

- Sądysz, że Marie Laveau wiedziała, że za sto lat ludzie wciąż będą o niej opowiadać?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - odparł Parker. - Podobno umiała przewidywać przyszłość.

- Miło być pamiętanym. Zazdroszczę jej.

- Królowa wudu ... Rm, to chyba wątpliwy powód do chwały. Większość ludzi wolałaby pozostać w pamięci potomnych z innych powodów.

- Bo ja wiem? - Holly zamyśliła się. - Marie miała ogromne wpływy w czasach, kiedy większość innych kobiet nie miała nawet prawa głosu. Poza tym zajmowała się nie tylko praktykami wuduo Opiekowała się setkami chorych podczas epidemii żółtej febry. Na skutek zarazy straciła siedmioro własnych dzieci. Pomagała żołnierzom rannym w bitwie pod Nowym Orleanem, a potem w ważnych sprawach wywierała nacisk na osoby. rządzące miastem.

- Sporo o niej wiesz - zauważył Parker. Wzruszyła ramionami.

- To fascynująca postać. Wydaje mi się, że te wszystkie plotki o

jej okrucieństwie rozpuszczali mężczyźni, którzy zazdrościli' jej siły.

- Całkiem możliwe - przyznał Parker.

- A ona naprawdę przysłużyła się miastu i jego mieszkańcom.

Dlatego ponad sto lat po jej śmierci wciąż się o niej pamięta. To niemałe osiągnięcie.

- Masz rację. - Przytrzymał Holly za łokieć, by nie wpadła na kobietę robiącą zdjęcie swojemu mężowi. - A ty? Chciałabyś, żeby cię zapamiętano?

Roześmiała się.

- Każdy by chyba chciał.

- Każdy? Bo ja wiem?

- W każdym razie ja bym chciała. - Na moment zamilkła. - Ale rozumiem, dlaczego ciebie to nie interesuje.

- Ciekawe - mruknął.

- Nie denerwuj się. Nie chciałam nic złego powiedzieć. Po prostu rodzina Jamesów już się wpisała w historię Nowego Orleanu. Za sto lat wasze nazwisko nadal będzie znane.

Parker zmarszczył czoło. Kochał swoich bliskich, ale tak z ręką na sercu, to nigdy nie pociągał go rodzinny interes. Jego ojciec cały swój czas poświęcał firmie zajmującej się importem oraz eksportem kawy, którą w 1806 roku założył Jedediah James. Gdyby mógł, nie wychodziłby z pracy. Parker podziwiał ojca, cieszył się, że pod jego kierownictwem firma tak wspaniale się rozrosła, ale nie podzielał jego entuzjazmu. Nie chciał do końca życia handlować kawą. Pragnął czegoś innego, czegoś własnego, co od początku stworzyłby sam, bez pomocy rodziny.

Pracował dla ojca, bo tego po nim oczekiwano, ale pracował bez zapału, bez przekonania. Był posłusznym synem. A nawet

ożenił się dlatego, że rodzina tego oczekiwała. Zarówno Jamesom, jak i LeBourdaisom zależało na małżeństwie ich dzieci. Wszyscy wiele sobie po nim obiecywali, ajednak małżeństwo się rozpadło.

Dziś Parker ze wstydem myślał o tym, jak beztrosko wstąpił w związek małżeński. Jak niedojrzale do tego podszedł. Frannie była piękna i pełna wdzięku. Uwierzył, że są dla siebie stworzeni. Dlatego łatwo było mu podporządkować się woli rodziców, spełnić ich marzenie.

Zadumał się. Faktycznie, byli dla siebie stworzeni, ale przez bardzo krótki okres. Po ślubie wszystko się zmieniło. Frannie zaczęła stopniowo odsłaniać swoje prawdziwe oblicze, a on czuł się coraz bardziej samotny.

Nie nadawali się do wspólnego życia; małżeństwo się rozpadło. Nie chciał go ratować. Po co? Żeby się jeszcze bardziej unieszczęśliwić?

- Może masz rację - powiedział z namysłem. - Chyba ważna jest pamięć o człowieku. Nie o nim samym, ale o tym, czego w życiu dokonał i co po sobie zostawił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- O rany! - zawołała Holly. - Wygląda fantastycznie!

Przytknąwszy nos do szyby, na której widniał duży złoty napis Grota Parkera, usiłowała zajrzeć do środka.

- Nie musisz brudzić sobie nosa - powiedział ze śmiechem Parker. Ujmując ją za łokieć, pociągnął w stronę drzwi.

- To dobrze. Od dawna marzę o tym, żeby zobaczyć, jak jest w środku.

Minęła próg i przystanęła, z zaciekawieniem rozglądając się dookoła. Wzrok przykuwały oryginalnie oprawione zdjęcia i grafiki przedstawiające Nowy Orlean sprzed kilku dziesięcioleci. Pod ochronną warstwą folii lśniła piękna drewniana podłoga. Nad głową, na srebrnych łańcuchach, wisiały wykonane ze starych kół od powozów żyrandole i połyskiwały w blasku wpadających przez okno promieni słonecznych.

Uśmiechając się szeroko, Holly ruszyła w głąb sali. Po chwili, lawirując między stolikami, doszła do podwyższenia służącego za scenę. Ciekawa była, jak będzie prezentować się sala z miejsca, na którym występują muzycy. Powiodła wokół spojrzeniem, usiłując sobie wyobrazić tłumy gości przy stolikach.

- Wspaniale. - Westchnęła cicho.

- Dziękuję. Jesteśmy już prawie gotowi do otwarcia.

Na twarzy Parkera dojrzała wyraz głębokiej satysfakcji.

- Odniesiesz wielki sukces.

Nagle gdzieś zając plecami ktoś zaklął siarczyście, a chwilę później rozległ się potężny łoskot. Na ziemię upadło coś ciężkiego.

- Wszystko w porządku, Joe? - zawołał Parker.

- Tak! - odrzekł zdeglustowanym tonem schowany za ścianą człowiek. - Tylko te cholerne miedziane rury ciągle się staczają

...

Holly roześmiała się wesoło. Jej głos był świeży, rześki niczym poranny wietrzyk. Parker zacisnął dłonie w pięści. Chciał do niej podejść, objąć ją, przytulić. Powstrzymał się najwyższym wysiłkiem woli.

Nie, nigdy więcej nie da się oczarować pięknej kobiecie. Nawet takiej jak Holly, która sprawia wrażenie szczerzej, niewinnej, prostodusznej.

- Więc mówisz, że jesteście już gotowi do otwarcia?

Powtarzając w myślach, że musi być silny, że dla własnego zdrowia psychicznego nie może ulec kobiecym wdziękom, dołączył do Holly.

- Joe ma najlepszą ekipę remontową w mieście. Na pewno ze wszystkim zdąży.

- Zdąży? To znaczy? - spytała, ponownie omiatając wzrokiem wnętrze.

- Do soboty - odparł.

- Planujesz huczne przyjęcie?

Wetknął ręce do kieszeni dżinsów.

- I tak, i nie. - Kąciki ust mu zadrgały. - Nie zależy mi na głośnych nazwiskach. Wolę, żeby na otwarciu zagrali miejscowi muzycy.

Skinęła ze zrozumieniem głową. Zadowolony Parker mówił dalej:

- Mamy w Nowym Orleanie doskonałych jazzmanów. Większość z nich nigdy nie uzyska światowej sławy. Grają na urodzinach i weselach, występują na placach i rogach ulic. Zasługują na to, żeby choć raz w życiu zagrać w lokalu, dla

prawdziwej publiczności.

- Masz rację, zasługują - poparła go Holly.

Zeskoczyła ze sceny i usiadła na jej krawędzi. Opierając łokcie o kolana, wbiła oczy w Parkera. - Bardzo mi się podoba twoje podejście.

- Serio? - Usiadł przy niej.

- Serio. - Przechyliła się w bok, trącając go przyjaźnie ramieniem. - Pamiętam swoje pierwsze występy ... Boże, ile bym dała, żeby móc wystąpić w takim lokalu!

- Od dawna śpiewasz?

- Mam wrażenie, że od urodzenia. - Podniosła głowę i popatrzyła za zawieszzone nad sceną światła. - Ale mój oficjalny debiut? Hm, chyba miałam szesnaście lat, kiedy zaczęłam w ten sposób zarabiać na życie.

- Szesnaście?

Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć, co sam robił w wieku szesnastu lat. Na pewno nie musiał troszczyć się o zarabianie pieniędzy, bo pochodził z bogatego domu. A w wieku szesnastu lat. .. tak, uczęszczał do szkoły z internatem. W Anglii. Okropnie tęsknił za domem, ale w rodzinie Jamesów od wielu pokoleń wszyscy synowie kształcili się w Anglii. Nikt nie próbował złamać tej tradycji. . .

Nigdy nie zastanawiał się nad przywilejami, jakimi cieszył się z racji wysokiej pozycji społecznej swoich rodziców. Teraz, gdy o tym pomyślał, ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Ja w wieku szesnastu lat grywałem w krykieta na boisku

ekskluzywnej szkoły pod Londynem - oznajmił.
Holly uśmiechnęła się szeroko.

- Pod Londynem? Chciałabym tam kiedyś pojechać. - Na moment zamilkła. - Wiesz, swoją pierwszą pracę dostałam u Frenchy'ego na Bourbon Street.

- U Frenchy'ego? - Parker przeciągle gwizdnął. Trudno mu było wyobrazić sobie młodą, niewinnie wyglądającą dziewczynę pracującą w takiej spelunie. - Chryste! Znam dorosłych facetów, którzy boją się wejść do tego lokalu.

- Z początku też się bałam. Ale w sumie nie było tak źle. Frenchy pilnował, aby nikt mi nie wyrządził krzywdy. Poza tym pozwolił mi zamieszkać nad barem.

- Mieszkałaś sama? W tej dzielnicy?
Wzruszyła ramionami.

- Co za różnica, sama czy nie sama? Zresztą wszędzie byłabym sama. A mieszkanie na piętterku było tanie. Zresztą znałam już wtedy Tommy'ego i Shanę. Sporo czasu spędzałam u nich.

- Jesteś niesamowita.

- To miłe, co mówisz - rzekła, siląc się na lekki ton. - Ale przesadzasz. Poza wszystkim lepiej mieszkać samemu niż w sierocińcu.

- Przepraszam. Nie wiedziałem ...

- To stare dzieje. - Machnęła lekceważąco ręką. - Liczy się teraźniejszość.

- Ile miałaś lat, kiedy trafiłaś do ...

- Dwa. - Potarła dłońmi kolana. - Nie mam pojęcia, kim są moi biologiczni rodzice, ale kiedy byłam mała, wymyślałam sobie o nich niestworzone historie.

- Na przykład?
- Na przykład, że zginęli, ratując mnie z pożaru. Albo że rozbił się samolot, którym lecieli. Albo ...

- Biedne dziecko.

Zerknęła na niego spod oka.

- Błagam cię, nie roztkliwiaj się nade mną. Wyszłam na ludzi. Całkiem nieźle mi się powodzi. Lubię swoje życie i naprawdę niczego bym w nim nie zmieniła. Nie chcę litości.

- W porządku.

Był pod wrażeniem jej słów.,Wiele osób mających za sobą tak trudne dzieciństwo zachowywałyby się zupełnie odwrotnie i raczej próbowało wzbudzić współczucie.

Chociaż prosiła, by się nad nią nie roztkliwiać, nie potrafił usunąć sprzed oczu obrazu małej porzuconej dziewczynki.

Bolly wstała, wyciągnęła w bok ręce i uśmiechając się radośnie, obróciła się w koło.

- Powiedz, Parker; skąd ci przyszło do głowy, żeby mieć własny klub? Dlaczego to miejsce tak wiele dla ciebie znaczy?

Parker również podniósł się ze sceny.

- Pamiętasz, o czym wcześniej rozmawialiśmy? Że człowiek chce coś po sobie zostawić? Że pragnie, żeby o nim pamiętano?

- No?

- No więc może chce być zapamiętany nie tylko jako ten, który sprowadzał do Stanów doskonałą kawę.

- Świetnie cię rozumiem.

- Tak? - Uniósł pytająco brwi. - Czy to przypadkiem nie ty twierdziłaś, że nie powinienem rezygnować z rodzinnego interesu? Że powinienem zaprzeczyć się i wytrwać? Że nie wolno się poddawać?

- Owszem, ja - przyznała. - Ale wtedy nie wiedziałam o tym klubie. Nie wiedziałam, że masz marzenia i inny pomysł na

życie. Nie obraż się, po prostu sądziłam, że ... że tak zwyczajnie chcesz skapitulować.

- Co za różnica, zwyczajnie czy niezwykle?

- Ogromna. Człowiek powinien spełniać swoje marzenia.

- Czyli uważasz, że można się poddać, zrezygnować z tego, co się robiło, jeżeli ma się w życiu inny cel?

- Tak. Bo wówczas rezygnacja nie oznacza słabości. Jest początkiem czegoś nowego. Zmianą kierunku, a nie ucieczką. Parker uśmiechnął się smutno.

- Nie wiem, czy moi rodzice podzielają ten pogląd.

- Nie popierają twoich planów?

- Nie bardzo. Liczą na to, że pomysł klubu wywietrzeje mi z głowy i skupię się ponownie na prawdziwej pracy ..

- Spełnisz ich oczekiwania?

- Nie. - Wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił z płuc powietrze. - Zbyt długo marzyłem o własnym lokalu, zbyt długo się do niego przymierzałem, aby w przededniu otwarcia zrezygnować. - Powiódł wzrokiem po ogromnych oknach, po stojących pod ścianą staroświeckich ekspresach do kawy, po scenie. - Właśnie to chcę robić. Prowadzić klub. Może czasem przyłączyć się do muzyków na scenie.

- Śpiewasz? - spytała zdumiona.

- A skądże! - zawołał ze śmiechem. -. Ale grywam na saksofonie.

- Chętnie bym cię kiedyś posłuchała.

- Myślę, że to się da załatwić.

- Podoba mi się błysk w twoich oczach, kiedy mówisz o tym miejscu.

- A mnie w twoich - rzekł, napotykać jej spojrzenie.

Przez kilka sekund stali bez ruchu, bacznie się sobie przypatrując. Mieli wrażenie, jakby wszystko wkoło znikło;

rozpłynęło się. Parker widział jedynie oczy Holly, szare jak mgła rozpościerająca się nad oceanem, marzycielskie, a zarazem przenikliwe. Oczy, które kuszą, obiecują ...

Wiedział, że to niebezpieczne. Nerozsądne i niebezpieczne. Powinien przerwać to patrzenie w oczy Holly, odsunąć się; zacząć rozmowę na inny temat.

Ale od Holly trudno było odwrócić wzrok.

Nie oddychała. Stała nieruchomo. Czowała, że coś się wydarzyło, że coś między nimi zaiskrzyło. Bała się, że jeśli odetchnie albo wykona krok, czar pryśnie.

Z tyłu głowy słyszała brzęczenie dzwonka znamionujące niebezpieczeństwo. Zignorowała je.

Parker uniósł dłoń i pogładził ją po policzku. Po jej ciele rozeszło się ciepło. Powoli wciągnęła w płuca powietrze. Miała nadzieję, że to ją uspokoi. Tak jednak się nie stało. .

Zza ściany docierały przytłumione hałasy, ale ekipa remontowa równie dobrze mogłaby pracować na Marsie. Holly czowała się tak, jakby ona i Parker byli jedynymi ludźmi na Ziemi. Zadrzała. Nogi miała jak z waty, serce jej dudniło.

Wiedziała, czego potrzebuje: kąpieli w lodowatej wodzie, by ugasić ogień, który trawi ją od wewnątrz! Musi się bronić. Nie może ulec pragnieniom. Już raz dostała nauczkę: zaufała, uległa, a potem gorzko tego żałowała. Musi okazać siłę, niezłomność ...

Powtarzała to w myślach. Rozum mówił jedno, a serce ... Nie potrafiła się opanować. Wpatrywała się intensywnie w wargi Parkera, zastanawiając się, jaki mają dotyk i smak.

Zaschło jej w gardle.

- Czy ... - Oblizwała spierzchnięte usta. - Parker, czy masz zamiar mnie pocałować? - spytała ochryłym głosem, przeciągając słowa w typowy dla mieszkańców Południa sposób.

Po twarzy Parkera przemknął cień uśmiechu. - Rozważam to.

Jak myślisz? Powinienem? Czy powinien? Miała wrażenie, jakby w jej

żyłach płynęła rozgrzana do czerwoności lawa. Nigdy w życiu nie czuła takiego napięcia, takiego podniecenia.

Nie odrywała oczu od twarzy Parkera. Tak, z całej siły pragnęła, by ją pocałował. I robił rzeczy, jakich jeszcze z nikim nie robiła. Żeby kochał się z nią nieprzytomnie i namiętnie ...

Z trudem przełknęła ślinę, po czym wolno uniosła obie ręce i przycisnęła je do klatki piersiowej Parkera. Cholera jasna, wiedziała, że źle robi. Że nie powinna. Ale nie umiała się powstrzymać.

- Myślę - powiedziała cicho - że zamiast się zastanawiać, powinienes natychmiast przystąpić do działania.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Dostrzegła dołeczki w jego policzkach.

- Tata mi zawsze powtarza, że nieładnie jest odmawiać kobiecie. Zbliżyła się do niego i westchnęła błogo, kiedy objął ją w pasie.

- Twój tata to bardzo mądry człowiek.

- Gaduła z ciebie ...

- Nie wiesz, jak mnie uciszyć?

- Wiem.

Zacisnął wargi na jej ustach. Zakręciło się jej w głowie. Była pewna, że świat zadrżał w posadach. A może faktycznie tak się stało? Parker również to poczuł, bo przytulił ją do siebie mocniej. Z jego gardła wydobył się niski pomruk zadowolenia.

Bolly zamknęła oczy. Oszołomiona, ledwo zachowując równowagę, z żarem odwzajemniała pocałunki. Nigdy w życiu się tak nie całowała, z taką pasją i namiętnością. Nigdy nie była tak bliska omdlenia. Nigdy nie miała tak wielkiej ochoty po prostu wtopić się w mężczyznę, połączyć z nim fizycznie, emocjonalnie. Nawet nie przypuszczała, że jest zdolna do tak

silnych odczuć.

Jego dłonie gładziły ją po plecach, palce uciskały talię, biodra. Objęła go mocno za szyję, namiętnie reagując na każdy dotyk, pieszczotę, pocałunek. Była głodna i spragniona, jak piechur, który po wielu tygodniach, może miesiącach męczącej wędrówki wreszcie dotarł do celu. Chciała więcej czuć, więcej brać i dawać. Chciała, aby zdarł z niej ubranie i się z nią połączył.

Chciała wyć z rozkoszy, chciała ...

Za dużo chce!

Kiedy to sobie uświadomiła, odskoczyła jak oparzona. Parker patrzył na nią zdumiony. Dzielili ich pół metra. Wciąż czuła na języku smak jego ust, wciąż wciągała w nozdrza jego zapach. I dygotała na całym ciele.

- Dlaczego? - spytał, odruchowo wyciągając do niej rękę. Jego oczy płonęły namiętnością.

- Nie mogę - wyszeptała, z trudem łapiąc oddech. Była przekonana, że za moment serce jej eksploduje. - To dla mnie za szybkie tempo. Zbyt intensywne. Nie potrafię tak ...

Pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym nabrał w płuca powietrza. Po chwili je wypuścił. Nie pomogło. Przez kilkanaście sekund oboje ciężko dyszeli. Wreszcie przeczesał ręką włosy.

- W porządku, tempo faktycznie było szybkie - oznajmił, wzrokiem nakazując jej, by milczała. - Ale nie ma w tym nic złego. Nie trzeba się buntować czy sprzeciwiać.

- Ja ... ja tak nie potrafię - rzekła Holly, marząc o tym, aby znów znaleźć się w jego ramionach.

Ależ jej było w nich dobrze!

Do Parkera ciągnęła ją jakaś magnetyczna siła. Ale już raz to przeżyła, a potem cierpiała. Wprawdzie tamto nie było tak intensywne, ale też straciła głowę i dała się ponieść fali. Bała się

kolejnej porażki, ponownego bólu.

- Intuicja każe ci się wycofać? Roześmiała się cicho.

- Wprost przeciwnie. Intuicja mówi mi: wracaj! Ciesz się życiem!

- A więc ... ? - Uniósł pytająco brwi. Wzięła głęboki oddech.

- Jeśli chodzi o uczucia, jestem dziś znacznie bardziej ostrożna niż dawniej - oznajmiła, zastanawiając się, dlaczego mu o tym mówi. - Widzisz, kilka lat temu byłam zakochana. Przynajmniej tak mi się wydawało. On ... był podobny do ciebie.

Parker zmrużył oczy.

- Podobny do mnie? To znaczy?

- To znaczy, że pochodził z wyższych sfer. Należał do elity Nowego Orleanu. Jego rodzina pewnie była równie bogata jak twoja. Mieliśmy z sobą tyle samo wspólnego, co ja z dworem królowej angielskiej.

- Holly, na miłość bos ...

- Poczekaj, daj mi dokończyć. - Uniosła rękę, prosząc, by jej nie przerywał, i wzięła kolejny głęboki oddech. Po chwili kontynuowała: - Byłam święcie przekonana, że go kocham. Czulałam dreszcze, sam jego widok przyprawiał mnie o zawrót głowy. Rozkwitałam, kiedy się pojawiał, i wiedłam, kiedy odchodził. Wierzyłam, że on mnie również kocha. Okazało się jednak, że po prostu się nudził, że umiłał sobie czas.

Parker postąpił krok w jej stronę. Holly się cofnęła.

- Nie, nie podchodź - poprosiła. - Opowiadam ci o tym, żebyś wiedział, dlaczego zachowuję się tak, a nie inaczej. Dlaczego nie ufam mężczyznom.

- Dobrze. Słucham.

- Właściwie niewiele już zostało do opowiedzenia.

Na samo wspomnienie przeszłości poczuła ukłucie bólu. Na szczęście ból zdążył już nieco stępieć.

- Tego dnia, kiedy się przed nim otworzyłam, kiedy wyznałam mu miłość, mój ukochany wsiadł w samolot i uciekł z Nowego Orleanu. Uciekł daleko, żebym przypadkiem go nie odnalazła. Do Europy. Podobno wciąż mieszka w Paryżu.

- Co za kretyn.

- Owszem, kretyn - zgodziła się Holly.

Zacisnęła powieki. Nie można bezkarnie bujać w obłokach, pomyślała. Wtedy, przed laty, była zaślepiona. Nie chciała widzieć prawdy. Gdyby otworzyła oczy, nie przeżyłaby później takiego zawodu. Oznaki, że Jeff jej nie kocha, że traktuje ją jak zabawkę, były widoczne od samego początku.

Ani razu nie zaprosił jej do domu, nie przedstawił rodzicom, przyjaciołom. Zawsze spotykali się u niej w mieszkaniu. Kolacje jadali w małych knajpkach w Dzielnicy Francuskiej, dokąd raczej nie zapuszczali się ludzie z jego środowiska. Ryzyko, że wpadną na jego znajomych, którzy zaczną się zastanawiać, co łączy go z jakąś młodą piosenkarką jazzową, było znikome.

Tłumaczyła sobie, że Jeff pragnie ją inieć wyłącznie dla siebie, że z nikim nie chce się nią dzielić. Głęboko w to wierzyła. Chciała wreszcie do kogoś należeć. Być dla tej osoby kimś ważnym. Za długo była sierotą, przybłądą.

Więc kto tak naprawdę był kretynem? Jeff? Czy może jednak ona?

- Częściowo ja też ponoszę za to winę - dodała po chwili. - Może nawet większą niż on. Nie zwracałam uwagi na dzielące nas różnice. Totalnie ignorowałam fakt, że nasze światy do siebie nie przystają. Ja nie pasowałam do świata elit, który jest i twoim światem. Źle oceniłam sytuację; wzięłam namiętność za miłość. Pieszczoty traktowałam jako dowód uczucia. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Nie mogę i nie chcę.

Znów postąpił krok w jej stronę, a ona znów się cofnęła. Lecz tym razem Parker się nie zatrzymał. Przysunąwszy się bliżej, zacisnął ręce na jej ramionach.

- Żadne z nas nie mówi o miłości, Holly. A ja niczego od ciebie nie żądam.

- Nie twierdzę, że żądasz. - Uniosła brodę i popatrzyła mu dumnie w twarz. Musi udowodnić, jeśli nie jemu, to przynajmniej sobie, że jest silna i potrafi powiedzieć: nie. - Po prostu chcę, abyś wiedział, że nie zamierzam ulegać požądaniu. Nie pozwolę, aby rządziła mną namiętność. Nie interesuje mnie romans, o którym od początku wiem, że do niczego nie doprowadzi.

- Innymi słowy, boisz się być ze mną sam na sam? Nie ufasz sobie?

- Co takiego? - zapytała oburzona. I nagle dojrzała błysk wesołości w jego oczach. - Proszę bardzo. Jak chcesz, możesz się ze mnie wyśmiewać. W filmach to ładnie wygląda: bogaty chłopiec z dobrego domu spotyka biedną dziewczynę. W życiu jednak ten scenariusz się nie sprawdza. W każdym razie mnie on nie interesuje. Nie chcę być czyjąś wstydliwą tajemnicą, urozmaiceniem życia lub rozrywką, której mężczyzna się

oddaje, kiedy nie ma nic ciekawszego do roboty.

- Uważasz, że tak cię traktuję? Jak wstydliwą tajemnicę, urozmaicenie lub rozrywkę? - Przyciągnął ją do siebie bliżej. - Jesteś inteligentną kobietą, Holly, ale marnym sędzią ludzkich charakterów.

- Tak?

- Tak. - Zmiażdżył jej usta w pocałunku, po czym cofnął ręce. - Przeszkadza ci bogactwo mojej rodziny? Więc to ty zadzierasza nosa, nie ja.

Parsknęła śmiechem.

- Ja? Chyba zwariowałeś! Mam za mało forsy, żeby zadzierać nosa.

- A kto przerwał pocałunek, żeby porównać stan naszych kont?

- Wcale nie porównywałam stanu naszych kont - zaprot, estowała z oburzeniem.

Zrobiło się jej przykro. Przecież nie miała nic, złego na myśli; po prostii chciała, by od początku wszystko było jasne, żeby nie było żadnych niedomówień. To, że Parker jej się podoba i wzbudza jej pożądanie, nie znaczy, że gotowa jest stracić dla niego głowę.

- Porównywałeś - powiedział, wsuwając ręce do kieszeni spodni. - O mnie w ogóle nie myślałeś.

Ze zdziwienia otworzyła usta. Nie myślała o nim? A o kim?

- Coś ci się chyba pomyliło.

- Nie sędzę. Wrzuciłaś mnie do jednego worka z tym durniem, który uciekł do Francji. Patrząc na mnie, nie widzisz Parkera Jamesa, lecz ...

- Widzę cię, widzę - przerwała mu. - W tym tkwi problem.

- Nie, widzisz moją rodzinę, klan Jamesów, a nie mnie, nie pojedynczego człowieka. Nie wypieram się swojego nazwiska, jestem częścią tamtego świata, do którego masz tyle zastrzeżeń.

Ale jestem również sobą. Parkerem.

- Dlaczego wszystko tak bardzo komplikujesz?

- Nie ja zacząłem.

- Wiem. Chciałam tylko, żebyś wiedział, na czym stoisz. Że ja nie ...

- Może nie warto tyle mówić? Może lepiej poczekać i zobaczyć, czy ...

- Nic z tego nie będzie, Parker.

- Nie będzie? Moim zdaniem już jest. Dlatego się wystraszyłaś.

- Na miłość boską, niczego się nie wystraszyłam. - A zatem szczerłość nie zawsze popłaca, pomyślała kwaśno. Oddychając głęboko, policzyła do pięciu, żeby spowolnić bicie serca. - Prawie się nie znamy, Parker. Starłam się jedynie być z tobą szczerą. Ostrzec cię, że ja ...

- W porządku. Czuję się ostrzeżony .

. - Nie chciałam się kłócić. - To tak niechcący wyszło?

Wzruszyła ramionami.

- Widać mam dar do wzniecania sprzeczek.

- Niełatwo cię rozgryźć, Holly.

- Podobno.

Pokręcił znużony głową. Wyciągnąwszy rękę z kieszeni, skierował się do drzwi. Otworzył je, po czym obejrzał się za siebie.

- Zróbmy tak. Odprowadzę cię z powrotem do hotelu, a ty się zastanowisz, które z nas zadziera nosa: bogaty chłopiec czy biedna dziewczyna. I któremu z nas tak naprawdę przeszkadza pozycja społeczna drugiej strony.

Uświadomiwszy sobie, że może Parker ma rację, zacisnęła gniewnie usta i energicznym krokiem opuściła Grotę.

Na zewnątrz przystanąła i łypnęła okiem na swego towarzysza.

- Wiesz, Parker, stanowisz dla mnie zagadkę.
 - Nie mniejszą, niż ty dla mnie.
 - Może. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Ale coś ci zdradzę.
Warto znaleźć do mnie klucz.
- Złość, która w nim kipiała, znikła jak ręką odjął.
- Kto wie, może mi się uda.
 - Jeśli ci dopisze szczęście.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Poczekaj na mnie, Jonathanie. - Wysiadając z samochodu, Frannie LeBourdais James przytrzymała się ręki, którą podał jej kierowca. Odgarnąwszy z twarzy krótkie, idealnie przystryżone jasne włosy uśmiechnęła się, po czym włożyła na nos drogie okulary słoneczne z najnowszej kolekcji jednego ze słynnych projektantów mody. - Postaram się wszystko załatwić jak najszybciej.

W ogóle nie musiałaby się tu fatygować, gdyby Parker wykazał odrobinę zdrowego rozsądku. Co mu odbiło? Jest jego żoną od dziesięciu lat, a jemu nagle zachciewa się rozwodu? Dlaczego?' Musi istnieć jakiś powód, była tego pewna.

Spojrzała na cienki, wysadiany brylancikami złoty zegarek, który zdobił przegub jej lewej ręki, następnie wygładziła szare, doskonale podkreślające figurę spodnie. Starannie wybrała dzisiejszy strój. Elegancka bluzka z granatowego jedwabiu nie tylko zmysłowo opina biust, lecz także sprawia, że niebieskie oczy wyglądają jak tafla morza w porannym blasku słońca. Czubkiem języka Frannie oblizwała pociągnięte jasnoróżową szminką wargi, aby ponętnie lśniły.

To jest ważne spotkanie, wiele sobie po nim obiecywała.

Dlatego zależało jej, by wyrzucić na Parkerze jak najlepsze wrażenie: olśnić go swą urodą, wdziękiem, seksapilem.

Wiedziała, że istnieje tylko jeden sposób na zdobycie mężczyzny: sprawić, aby umierał z pożądania. A potem nie pozwolić mu się do siebie zbliżyć.

Ileż to czasu minęło, odkąd dzieliła z Parkerem łóżko! Skrzywiła się na wspomnienie pierwszych dwóch lat małżeństwa, kiedy sypiała z mężem. Aż się wzdrygnęła. z niesmakiem.

Nie o to chodzi, że Parker jest nieatrakcyjny. Przeciwnie, jest niezwykle przystojny. Ona, Frannie, nigdy w życiu nie wyszłaby za paskudę czy brzydala, nawet gdyby miał potężne konto bankowe. Po prostu Parker jej nie pociągał. Nie pragnęła go. Ale nie widziała najmniejszego powodu, dlaczego miałyby przestać być jej mężem.

Jej rodzice, na przykład, zawarli między sobą dogodne porozumienie, w którym trwają od ponad czterdziestu lat. Każde z nich żyje po swojemu, robi, co chce, ale oboje zachowują się w sposób bardzo dyskretny, nie przynosząc ujmy lub wstydu partnerowi.

Oczywiście, pomyślała, czekając na zielone światło, na samym początku małżeństwa popełniła błąd. Powinna była zająć się ciążą. Wtedy miałyby więcej do powiedzenia, a Parker więcej do stracenia. Pomysł rozwodu pewnie nie przyszedłby mu do głowy. Gdyby miał dziecko, zwłaszcza płci męskiej, które kontynuowałoby linię rodu, byłby szczęśliwy i nie myślałby o rozwiązaniu małżeństwa.

- Idiotka! - mruknęła pod nosem.

To takie proste! Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Nigdy nie rozumiała kobiet, które z własnej nieprzymuszonej

woli zgadzają się na to, aby przez kilka miesięcy mieć ohydne, zniekształcone ciało, a potem, przez diabli wiedzą jak długo, być uwiązaną do wiecznie marudzącego bachora. Ale gotowa była poświęcić się i urodzić dziecko, gdyby dzięki temu zdołała utrzymać męża i nie stracić udziału w rodzinnej fortunie Jamesów.

Jeszcze nie jest za późno. Uwiedzie Parkera - nie powinna mieć z tym najmniej sztych problemów, mężczyznami tak łatwo daje się manipulować. Tak, zaciągnie Parkera do łóżka, popieści go, pomruczy mu zmysłowo do ucha i pozwoli się zapłodnić. To ją połączy z Jamesami na zawsze.

A nigdzie nie jest powiedziane, że sama musi zająć się wychowaniem dziecka, prawda?

W końcu od czego są nianie? Od czego szkoły z internatem?

Zadowolona z siebie, uśmiechnęła się w duchu i starannie wypielęgnowanym palcem podrapała po brodzie. Tak, musi wkraść się z powrotem w łaski Parkera ... To powinno być dziecinnie proste.

Akurat w tym momencie światło zmieniło się z czerwonego na zielone. To dobry znak, uznała, schodząc z krawężnika.

Skierowała spojrzenie na dużą szybę ze złotym napisem Grota Parkera i nagle, zaskoczona, zamarła w pół kroku. Zamrugła kilka razy, by upewnić się, czy wzrok jej nie płata figla.

Oj, chyba nie.

Z lokalu - w ogóle co za kretyński pomysł, żeby zakładać klub jazzowy! - wyłonił się Parker w towarzystwie niewysokiej, ponętnie zaokrąglonej kobiety o ogniste rudych włosach.

Zmrużywszy oczy, Frannie dokładnie przyjrzała się tej parze. Zajęci sobą, nawet jej nie zauważyli.

Rudowłosą kobietę chyba już gdzieś widziała.

Ale gdzie? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Kobieta pochyliła się w stronę Parkera, a on się uśmiechnął. Psiakrew! W tak czarujący, tęskny sposób uśmiechał się do niej w pierwszym roku ich mał- . żeństwa!

Nie spuszczała oczu z męża. Niemal czuła napięcie erotyczne pomiędzy nim a towarzyszącą mu kobietą.

Ogarnięta wściekłością, miała wielką ochotę przebiec przez ulicę i odciągnąć tę dziwkę od swojego męża. Z trudem się powstrzymała. Zaciskając usta, cofnęła się na chodnik i wmieszała w tłum.

Nie chciała, by para przed klubem ją dostrzegła, ale sama nie mogła się pohamować, aby im się ponownie nie przyjrzeć. Ruda spoglądała na Parkera tak, jakby chciała go żywcem zjeść. Chryste! Frannie aż korciło, żeby spoliczkować ich oboje. Jakim prawem ta dziwka podrywa jej męża? A Parker? Co on wyprawia? Myśli, że wolno mu flirtować na środku ulicy z kobietą, która nie jest jego żoną?

Co z tego, że od wielu lat żyją w separacji?

Nadal są przecież małżeństwem. Ona, Frannie, nie pozwoli na to, żeby Parker ją upokarzał.

Oddech miała płytki, urywany. Czuła w żołądku bolesny ucisk. Dziesiątki myśli przelatywały jej przez głowę. Czyżby z powodu tej rudej zdziry Parker w końcu zdecydował się wystąpić o rozwód? Czy ta rudowłosa szmata zamierza pozbawić ją, Frannie, należnych jej pieniędzy?

Do diabła! Co to za jedna? Kim ona jest? Od jak dawna spotyka się z Parkerem?

Co ich łączy? Jak daleko posunął się ich romans? Wreszcie Parker z rudą odeszli, a Frannie wypuściła z sykiem powietrze. Co za dureń! Czy on sądzi, że tak łatwo się jej pozbędzie? Że ~dola wywrócić życie swojej żony do góry nogami tylko dlatego, że nagle zachciało mu się jakiejś innej baby?

No to się zdziwi! Czeką go duża niespodzianka.

Ona, Frannie, nie da sobą pomiatać. Wciąż gotując się w środku, ruszyła z powrotem do stojącego nieopodal l~niącego czarnego samochodu. Jonathan natychmiast otworzył drzwi. Zatrzasnął je, kiedy zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, po czym bez słowa usiadł za kierownicą.

- Do Caf6 du Monde -poleciała Frannie.

- Dobrze, proszę pani. - Po chwili samochód włączył się w ruch.

Ignorując obecność szofera, Frannie wyciągnęła telefon komórkowy i wcisnęła pojedynczy przycisk. Po kilku sekundach' na drugim końcu linii odezwał się znajomy głos.

- Justine, to ja, Frannie - oznajmiła do słuchawki. - Nie uwierzysz, co dziś widziałam!

Justine zaczęła zgadywać, Frannie jednak przerwała jej w pół słowa.

- Opowiem ci, jak się zobaczymy. Przyjeźdź za kwadrans do Caf6 du Monde.

Nie czekając na odpowiedź przyjaciółki, która czasem była również jej kochanką, rozłączyła się. Oparta wygodnie o miękkie skórzane siedzenie, patrzyła z wściekłością na migające za oknem domy i skwery.

Resztę dnia Parker spędził w biurze.

Nie był z tego powodu najszczęśliwszy. O wiele bardziej wolałby być w klubie. Albo z Holly Carlyle. Prawdę mówiąc, wolałby być gdziekolwiek indziej niż w rodzinnej firmie.

Siedząc przy biurku, zastanawiał się, kiedy po raz pierwszy zaczął odczuwać niezadowolenie ze swojego życia. Właściwie od dziecka wiedział, że . któregoś dnia przejmie rodzinny interes. Do firmy przyszedł jako nastolatek. Jego praca polegała na sprzątaniu. Dobrze pamiętał, jak chodził z miotłą, ścierką i szufelką. Jego ojciec głęboko wierzył, że tylko ktoś, kto przeszedł przez wszystkie szczeble od najniższego do najwyższego, jest w stanie dobrze poprowadzić firmę.

Jako młody chłopak Parker nie oburzał się, że musi wykonywać pracę fizyczną. Kiedy po latach przydzielono mu własny gabinet, poczuł satysfakcję. Awansował nie dlatego, że był synem szefa, ale dlatego, że uczciwie na ten awans zasłużył.

Popatrzył z niechęcią na stos papierów leżących na biurku, po czym obrócił się w fotelu obitym lśniąca skórą w kolorze bordo i wyjrzał przez okno na port.

Dokerzy kręcili się po nabrzeżu, rozładowując ze statków worki z kawą przeznaczone dla Jamesów.

Nagle Parker uświadomił sobie, jak brzmi odpowiedź na pytanie, które nie dawało mu spokoju. Otóż pierwsze oznaki niezadowolenia z pracy i życia pojawiły się wraz z nowym gabinetem. Wtedy, gdy po raz pierwszy wyjrzał przez okno na port. Było to dziesięć lat temu, tuż przed ślubem z Frannie. Ojciec mianował go wiceprezesaD;l firmy i przydzielił mu ten wspaniały, narożny pokój.

Parker wszystko dokładnie pamiętał, zupełnie jakby to się wydarzyło wczoraj.

- Jestem z ciebie dumny, chłopcze - oznajmił ojciec, odrzucając na bok połę marynarki, by wsunąć ręce do kieszeni spodni. - Spisałeś się znakomicie. Swoją pracą i oddaniem jirmie zasłużyłeś na to stanowisko.

- Dzięki, tato.

Parker rozejrzał się z zaciekawieniem po swoim nowym gabinecie. Pod ścianą na prawo od drzwi stał dobrze zaopatrzony barek, pod ścianą na lewo niski stolik do kawy oraz dwie skórzane kanapy. Na wprost, pod oknem, z którego rozciągał się widok na zatokę, stało ogromne biurko. Lśniący w słońcu tafla wody sięgała aż po horyzont; gdzieś tam przecinały ją leniwie płynące statki.

- Twoja matka chciała tu wszystko pozmieniać - rzekł ojciec - ale uznałem, że urządzenie twojego gabinetu zostawimy Frannie. Na pewno sprawi jej to przyjemność.

Roześmiaawszy się cicho, Parker przytknął czoło do chłodnej szyby.

- Obawiam się, że dekoracja wnętrza nieszczególnie ją pociąga. Ale oczywiście spytam, czyby chciała.

- Synu, wiem, że żenisz się dla dobra rodziny. Mama i ja doceniamy twoje poświęcenie.

- W porządku, tato.

- Ale wiem również ... - ojciec zamilkł, czekając, aż Parker obróci się do niego i Warzą - że Frannie cię kocha. Kiedy jesteście razem, ledwo może utrzymać ręce przy sobie. Wiele par pobiera się z rozsądku, a potem tworzy naprawdę udane związki.

- Nie przejmuj się, tato. - Parker wzruszył ramionami. - Jestem pewien, że Frannie i ja będziemy szczęśliwi.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Twoja matka i ja też pobraliśmy się z rozsądku. - Starszy mężczyzna usiadł w

przeznaczonym dla gości fotelu. - Nasi ojcowie wszystko zaaranżowali. Uznali, że warto połączyć interes kawowy z firmą żeglugową. I jak widzisz, odnieśliśmy sukces zarówno na polu zawodowym, jak i osobistym.

- Tak, wiem.

Parker spoczął przy biurku, w fotelu, w którym miał spędzić resztę życia. Nagle te dwa słowa zaczęły mu dźwięczeć w głowie. Resztę życia, resztę . życia. Podczas gdy ojciec snuł wspomnienia, on { rozmyślał o tym, co go czeka: że właśnie tu spędzi 1"1 resztę życia.

W tym gabinecie. Przy tym biurku.

Będzie częścią rodzinnej jirmy. Przejmie pałecz kę. Będzie zajmował się tym, czym wcześniej zajmował się jego ojciec. Będzie przyjeżdżał do tego budynku i zasiadał przy tym biurku, póki starczy mu sil. Do samej śmierci. Będzie codziennie spoglądał przez okno na zatokę. Będzie patrzył, jak statki przyplływają do portu i wypływają w morze.

Dzień po dniu. Bez końca.

Poczuł się tak, jakby wokół piersi zacisnęła mu się zimna żelazna obręcz.

- W przyszłym roku twoja siostra przejmie dział marketingu, więc przyszłość jirmy jest zabezpieczona.

- Na to wygląda - rzekł ochryplym głosem Parker i poluzował krawat, który nagle zaczął go dusić.

I kiedy starszy James z rozmarzeniem w głosie snuł plany na przyszłość, młodszy starał się oddychać normalnie i nie ulec panice.

Przytknął czoło do szyby. W dole na nabrzeżu praca wrzała jak

zwykle. Tyle że on już nie czuł tej satysfakcji co dawniej. Zmienił się, stał się innym człowiekiem. Swoje odsłużył. Starał się. Naprawdę sumiennie wykonywał to, co niego należało. Nawet ożenił się z kobietą, którą rodzice dla niego wybrali. Ale jego małżeństwo okazało się niewypałem. Dłużej już tak nie mógł. Nie potrafił. Chciał się zająć czymś innym. O klubie jazzowym marzył od naj młodszych lat. Wiedział, że dla własnego dobra, dla zdrowia psychicznego, musi zejść z drogi, którą obrali i którą podążali jego przodkowie. Podjął decyzję. Teraz pozostało mu jedynie powiadomić o niej ojca.

O dziesiątej wieczorem wszystkie wolne miejsca w hotelowym barze były zajęte. Zgromadzona w sali publiczność żywo reagowała na płynącą ze sceny muzykę. Holly czuła bijącą od ludzi energię. Palce Tommy'ego śmigały po klawiaturze, nakontrabasie akompaniowała mu córka Tommie.

Trzymając w ręce bezprzewodowy mikrofon, Holly zeszła ze sceny i zaczęła krążyć między stolikami. Od czasu do czasu przystawała, pochylała się nad gościem i patrząc mu w oczy, śpiewała tylko dla niego. Potem uśmiechając się zalotnie, odchodziła, by po minucie czy dwóch znów przystanąć i znów zanucić komuś do ucha.

Muzyka omywała ją niczym falą, każda nuta była jak czuły dotyk kochanka. W sali panował łagodny półmrok, tylko Holly znajdowała się świetle reflektora; jego ciepły blask wydawał się jej niemal bardziej naturalny niż ciepło promieni słonecznych.

Napotkała wzrok barmana; Leo mrugnął do niej przyjaźnie. Wędrowała dalej. Po chwili zatrzymała się przy parze

siedemdziesięciokilkulatków, którzy obchodzili pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Przytulili się do siebie, wdzięczni za skierowane do nich słowa piosenki o miłości.

Jedna melodia płynnie przechodziła w drugą. Tę część wieczoru, kiedy mogła zejść ze sceny i wmieszać się w tłum, Holly lubiła najbardziej. Kołysząc się w rytm muzyki, krążyła wśród gości, skinieniem głowy pozdrawiała bywalców, uśmiechem witała nieznanym.

Słysząc było ściszone rozmowy, brzęk szklanek i kieliszków. Tak, tu był jej dom. Tu czuła się w swoim żywiole. Ludzie ją kochali, a ona potrafiła wprowadzić ich w doskonały humor. Swoją osobowością i śpiewem tworzyła taką atmosferę, że nikt nie chciał wychodzić i każdy bawił się znakomicie.

Mimo tylu wpatrzonych w nią twarzy bezbłędnie, i to ze sporej odległości, rozpoznała tę jedną, której nie spodziewała się dziś ujrzeć. Parker James siedział z tyłu sali, przy tym samym stoliku co zawsze.

I wodził za nią spojrzeniem.

Kiedy go spostrzegła, serce zabiło jej mocniej, ale głos nawet nie zadrżał. Ruszyła w jego stronę.

Zmysłowo kołysząc biodrami, przesuwając leniwie rękę po talii, po udzie, jakby wygładzała materiał obcisłej czerwonej sukienki, którą miała na sobie. Cały czas towarzyszył jej blask reflektorów, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Przeciskała się między stolikami, świadoma jedynie świdrujących ją oczu Parkera.

Chociaż dwa razy obserwował Holly podczas prób, dziś po raz pierwszy widział ją na żywo przed publicznością. Wrażenie było niesamowite.

Sukienka, w której występowała, wyglądała tak, jakby była

namalowana bezpośrednio na jej ciele. Głęboki dekolt podkreślał piękny kształt piersi. Parker nie mógł oderwać od niej oczu. Siedział jak zahipnotyzowany. Nie słyszał muzyki, która wypełniała salę; słyszał jedynie głos Holly, ciepły, powabny, przyprawiający o dreszcze.

Stanąwszy przy jego stoliku, uśmiechnęła się zalotnie. Parker nie zareagował. Serce waliło mu jak młotem. Urzeczony jej spojrzeniem, barwą głosu i kołysaniem bioder, miał ochotę złapać ją za rękę i nie puścić.

Jakby czytając w jego myślach, Holly leciutko oblizała wargi i pomalowanym na czerwono paznokciem delikatnie przesunęła po jego policzku. Parker miał wrażenie, że czas się zatrzymał, że powietrze stało się naelektryzowane, że oddech pali mu trzewia. Po jego ciele rozszedł się żar.

Ona też to czuła, tę niesamowitą siłę przyciągania. Widział to po zdumieniu, jakie odmalowało się na jej twarzy. Po chwili Holly skierowała się z powrotem ku scenie. Odprowadzając ją wzrokiem, musiał przyznać, że z tyłu wyglądała równie kusząco co z przodu.

Nie potrafił przestać o niej myśleć. W ciągu zaledwie kilku dni Holly Carlyle zburzyła mur ochronny, który tak mozolnie wznosił od dziesięciu lat.

Przestraszył się. Nie był masochistą, nie chciał przeżywać kolejnych tortur, zawodów i rozczarowań. Poczul, jak ogień, który w nim płonie, na moment przygasa. Dobrze mu było w pojedynkę. Nie szukał miłości. A jednak nie mógł się oprzeć pokusie, by nie wpaść dziś do hotelowego baru. Po prostu musiał ją znów zobaczyć.

Zobaczyć, jak śpiewa. .

Teraz wiedział, że jej obraz na zawsze z nim zostanie. Uśmiechem przywoływała go do siebie. Głosem przemawiała

do jego serca i duszy.

Pragnął jej, zarówno jako mężczyzna, jak i właściciel klubu: pragnął, by śpiewała w jego nowym lokalu.

Był świetnym biznesmenem i miał nosa do interesów. Uświadomił sobie, że osoba z talentem i osobowością Holly z łatwością przyciągnie klientów, sprawi, że klub szybko zdobędzie popularność. Jej głos będzie wabił przechodniów niczym syreni śpiew. A zatem ... zatem musi przekonać Holly, by przyjęła jego propozycję.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie o blat stołu i zamówiwszy u kelnerki szklankę piwa, uzbroił się w cierpliwość. Poczeka, aż Holly zakończy występ, potem z nią porozmawia. Zresztą nie potrafiłby wstać i wyjść, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

- Naprawdę nie musisz mnie odwozić - powiedziała, chyba po raz piętnasty w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Siedział ze wzrokiem utkwionym w jezdnię i dłońmi zaciśniętymi na kierownicy. Czarny kabriolet mknął w stronę Garden District. W powietrzu unosiły się dźwięki i zapachy Nowego Orleanu.

Z otwartych okien i drzwi mijanych po drodze klubów wydobywało się na zewnątrz brzmienie trąbki lub saksofonu. Światła neonów zlewały się, tworząc długą jaskrawą tęczę. W oddali nad zatoką słychać było huk piorunów.

- Żaden kłopot. Zresztą to blisko - rzekł, wciąż patrząc przed siebie.

Chociaż się przebrała - obcisłą czerwoną sukienkę zamieniła na spodnie w kolorze khaki i prostą bluzkę koszulową - nadal wyglądała niezwykle pięknie. Rude loki fruwały jej wokół twarzy. Wzdychając głośno, zgarnęła je w węzeł i przytrzymała

na karku.

- Zdziwiłeś mnie, pojawiając się w barze.

Wzruszył ramionami. .

- Chciałem zobaczyć twój występ.

- I co? Podobało ci się?

- Ogromnie. - Wciąż na nią nie patrzył. - Jesteś fantastyczna.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Dopiero gdy stanęli na czerwonym świetle I Parker obrócił się do niej twarzą.

- Taki talent jak twój zdarza się raz na piętnaście, dwadzieścia lat. Mogłabyś zrobić dużą karierę. Serio. Powiedz, dlaczego nie wyjechałaś? Co cię trzyma w tych klubach?

Nie najlepiej widział, bo było ciemno, ale głowę by dał, że Holly zaczerwieniła się po uszy. Coraz bardziej mu się podobała, jako kobieta, jako piosenkarka.

- Pochlebiasz mi.

- Nie, mówię prawdę.

Uśmiech rozjaśnił jej oczy.

- Tak? No to się cieszę. A co do twojego pytania ... - Rozejrzała się wkoło, chłonąc zmysłami barwy, zapachy i dźwięki miasta. - Kocham Nowy Orlean. Kocham jego mieszkańców. Tu jest mój dom. Nie sądzę, abym gdziekolwiek indziej była szczęśliwa.

- Ale mieszkając tu, też mogłabyś nagrać płytę. - Po co? To mi do niczego nie jest potrzebne.

- Nie rozumiem. Mogłabyś być sławna.

Pokręciła głową.

- Nie interesuje mnie sława.

- Ani pieniądze?

Wybuchnęła śmiechem.

- Całkiem nieźle sobie radzę. Już prawie mam wystarczającą sumę na ...

- Na co?

Zacisnęła wargi.

- Ja też mam plany i marzenia. Ale na razie nie chcę o nich mówić. - Wskazała przed siebie ręką. - Zielone.

- Faktycznie. - Parker. wcisnął pedał gazu.

Śluchając instrukcji udzielanych przez Holly, skręcał to w prawo, to w lewo. Przez cały czas jednak zastanawiał się nad tym, co powiedziała, kiedy stali na światłach. O czym ona marzy? Jakie ma plany? Co by chciała w życiu osiągnąć?

W porównaniu z hałaśliwą, pełną zgiełku Dzielnicą Francuską elegancka Garden District tchnęła powagą i spokojem. W oknach nie paliły się światła; tu mieszkańcy grzecznie spali.

Przez rozłożyste gałęzie drzew z trudem przedzierał się blask księżyca.

Panującą dookoła ciszę przerwało szczekanie psa oraz brzęk otwieranej w pobliżu bramy. Powietrze wypełniał słodki, intensywny zapach kwitnących nocą kwiatów.

Parker zgasił silnik. Obszedłszy samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i podał Holly rękę, żeby pomóc jej wysiąść. Wysiadając, niechcący się o niego otarła. Objął ją w pasie, jakby nie chciał, by mu znikła:

- Tu mieszkam.

Uwalniając się z jego objęć, wskazała stojący na rogu ponadstuletni piętrowy dom pomalowany na jasnobrzoskwiniowy kolor. Żelazne, finezyjnie wygięte pręty przy balkonach nadawały całości nieco staromodny charakter.

- Ładna chałupa - powiedział Parker, chowając ręce do kieszeni, ponieważ korciło go, by ponownie objąć RoBy. - Wygląda na to, że nie ucierpiała podczas huraganu.

- Nie, zbytnio nie ucierpiała. A ponieważ zajmuję piętro, to miałam jeszcze mniej problemów niż inni. - Ruszyła w stronę czarnej metalowej bramy. - Zaprosiłabym cię, ale ...

Pokiwał głową.

- Ale to nie najlepszy pomysł?

- No właśnie.

- Poczekam, aż wejdiesz do środka. - Oparł się odach samochodu..

- Nic mi nie grozi, Parker. Od lat sama się siebie troszczę.

- Nie szkodzi. Poczekam. Przyjrzała mu się

badawczo. - Ciekawe, jak długo?

Oboje wiedzieli, że jej pytanie nie jest jednoznaczne.

- To się okaże, prawda?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Noce były jeszcze chłodne, ale wyczuwało się, że już wkrótce nadejdą tak typowe dla Nowego Orleanu upały. Przez wiele godzin po odjeździe Parkera RoBy siedziała na balkonie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i opartymi na żelaznej balustradzie.

Popijając wyjęte z lodówki białe wino, wpatrywała się w niebo. Tuż obok domu rosło duże drzewo. Ciszę wypełniał szelest poruszanych lekkim wiatrem liści. Trochę przypominało to szum deszczu. Na sąsiedniej ulicy zaszczekał niemrawo pies; po chwili przestał.

Miała wrażenie, że wszyscy wokół śpią. Że jest sama jedna na świecie. Na ogół lubiła to uczucie. Była nocnym markiem; budziła się do życia wtedy, gdy inni kończyli pracę i udawali się do domu na odpoczynek. Uwielbiała siadywać wieczorami na swoim malutkim balkonie, wsłuchiwać się w ciszę, w szelest liści, patrzeć na niewyraźne cienie przesuwane się po znajomej ulicy, wystawiać twarz na pieszczoty wiatru.

Zawsze o tej porze panował cudowny spokój, a ona potrzebowała przed snem wyciszenia. Tu na balkonie

relaksowała się, czekała, aż emocje z niej opadną. Ale dziś była za bardzo nabuzowana. Dziesiątki myśli kołatały jej po głowie, a większość z nich dotyczyła Parkera Jamesa.

Zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, nie zapraszając go do środka. Rozsądek mówił jej, że tak. Że to była mądra decyzja. Boże, nienawidziła rozsądku! Nie chciała być mądra; chciała być szczęśliwa, czuć się spełniona. Zamiast w piękną księżycową noc siedzieć samotnie na balkonie i wpatrywać się w niebo, znacznie bardziej wolałaby całować się z Parkerem.

Westchnąwszy cicho, przeczesła ręką włosy.

- Och, ty niemądra babo ... - szepnęła, uświadomiwszy sobie, że żadnego mężczyzny tak nie pragnęła od czasu ... - No widzisz?

Właśnie dlatego go tu nie ma. Dlatego nie zaprosiłaś go na górę.

- Pociągnęła łyk wina. - Jeśli musisz popełniać błędy, przynajmniej popełniaj nowe. .

Mężczyzna, przez którego cierpiała w przeszłości, Jeffrey St. Pierre, pochodził z takiej samej rodziny i takiego samego środowiska jak Parker. Jego przodkowie osiedlili się w Nowym Orleanie ze sto pięćdziesiąt lat temu, jeśli nie dawniej. Kolejne pokolenia pomnażały rodzinną fortunę. Ojciec z matką, a także wujowie i kuzyni, nie byliby zadowoleni, gdyby odkryli, że potomek rodu zadaje się z wokalistką jazzową.

Jeff oszukiwał ją od samego początku ich znajomości. Dziś wstydziała się własnej naiwności; nie mieściło się jej w głowie, że mogła być aż tak

łatwowierna. Idiotka! Sądziła, że" mu na niej autentycznie zależy, że nie chodzi mu tylko o sprawy łóżkowe. Była przekonana, że czeka ich wspólna przyszłość. Opowiedziała Jeffowi o swoim smutnym dzieciństwie, a także zwierzyła mu się z marzeń oraz planów. Poza Shaną i Tommym nigdy

nikomu o nich nie mówiła, a nawet Hayesowie znali jej plany jedynie w bardzo ogólnym zarysie.

Otworzyła przed nim serce. Zaufała mu. Dlatego tak bardzo bolało, kiedy się nią znudził. Ilekroć o tym myślała, czuła ostry, przenikliwy ból. Rozstanie zawsze boli, złamane serce zawsze krwawi. Ale cierpienie jest nieporównywalnie większe, kiedy człowiek niczego złego się nie spodziewa.

Wypiła kolejny łyk wina. Lepiej nie wracać myślami do przeszłości. Od rozstania z Jeffem minęły trzy lata. Dużo się w tym czasie nauczyła, między innymi, że nie potrzebuje mężczyzny u boku, aby być szczęśliwa. Sama potrafi zadbać o swoje dobre samopoczucie.

Nie zamierzała żyć w świecie marzeń, które nie mają szansy się spełnić.

Jeden raz jej wystarczy.

- Ale pocałunki Parkera ... - szepnęła, zaciskając mocniej palce na nóżce kryształowego kieliszka. - Boże, jakie on ma cudowne usta!

Zamknęła oczy. Przez moment niemal czuła na wargach smak ust Parkera, czuła jego oddech na policzku, słyszała bicie jego serca. Krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach, ucisk w żołądku się nasilił. Psiakość! Ona chce Parkera! Chce, by jego dłonie pieściły jej ciało, a usta ją całowały. Chciała, by rzucił ją na łóżko i się z nią połączył. Chciała, aby jej ciałem wstrząsnął orgazm.

Czy byłoby to mądre? Rozsądne? Raczej nie. Ale, tłumaczyła sobie, póki nie jest zaangażowana emocjonalnie, żadna krzywda jej nie spotka. Może pójść z Parkerem do łóżka, przeżyć kilka przyjemnych chwil. W końcu w seksie nie ma nic złego.

Uśmiechając się pod nosem, opróżniła kieliszek, po czym do melodii, którą nuciła w myślach, zaczęła wystukiwać palcami

rytm.

Nazajutrz po południu Parker otworzył drzwi i zdusił w ustach przekleństwo.

- Co się stało, kochanie? - Frannie wspięła się na palce i cmoknęła męża w polic~ek. - Nie cieszysz się z mojej wizyty?

Minąwszy Parkera, weszła do środka i skierowała się prosto do salonu. Przejechała dłonią po długim niskim stole, sprawdzając, czy nie osiadł na nim kurz. Kurzu nie znalazła, mimo to spojrzała na swoją rękę z niesmakiem, jakby była czarna od brudu.

- Ładnie tu - powiedziała, choć jej ton sugerował, że wystrój wnętrza wcale jej się nie podoba.

Parkera ogarnęła irytacja, kiedy podążał za żoną do salonu. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie otrzyma rozwód. Bez słowa patrzył, jak Frannie, ubrana w jedwabną sukienkę oblepiającą ciało kończącą się wysoko nad kolanem, dokładnie się wszystkim przygląda.

Kiedy wyprowadził się z domu, który wspólnie zajmowali, i zamieszkał sam, urządził swoje nowe królestwo według własnego gustu. Kupił duże, obite brązową skórą kanapy oraz półtorametrowej wysokości półki na książki, które ustawił wzdłuż ścian. Z dywanów zrezygnował. Jasne sosnowe deski na podłodze błyszcząły złościście w promieniach słońca.

Tu mieszka. Tu jest jego dom. Frannie nie ma tutaj nic do gadania.

- Czego chcesz? - spytał ostro.

- Czego chcę? Ależ, kochanie, jestem twoją żoną. - Usiadła na jednej z dwóch kanap i założyła nogę na nogę.

- Byłą żoną.

- Wciąż aktualną. - Oparłszy się wygodnie, przejechała ręką po

miękkim skórzanym obiciu. - Hm, nie przepadam za skórą.
Latem klei się do ciała.

Parker zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. - Na szczęście to nie twoje zmartwienie.

- Ależ kochanie ... - Uśmiechając się kokieteryjnie, wstała z kanapy i ruszyła w jego stronę. - Nie ma powodu, żebyś tak wrogo mnie traktował. Tyle nas przecież łączy.

Prychnął pogardliwie.

- Łączy? Kogo próbujesz oszukać, Frannie? Jedyna rzecz, jaka nas łączy, to nazwisko.

Lekko naburmuszona, popatrzyła na męża spod półprzymkniętych powiek.

- Misiu, każde małżeństwo przeżywa wzloty i upadki, lepsze i gorsze chwile.

W nozdrza wdzierał mu się zapach jej perfum, cierpki, drażniący jak ona sama. Parker stał niewzruszony, odporny zarówno na jego działania, jak i na kłamstwa żony. Zastanawiał się, co ona knuje.

- Lepsze i gorsze chwile? - powtórzył z niedowierzaniem. - Zapomniałaś, Frannie? My od lat żyjemy w separacji.

- Wiem, kochanie. Ale nadal jesteśmy małżeństwem.

Uniosła lewą rękę i poruszyła palcami. Promienie słońca padły na trzykaratowy brylant; migoczące iskierki rozświetliły pokój.

Uwielbiała biżuterię. Im większa broszka czy pierścionek, im bardziej błyszczała i rzucała się w oczy, tym Frannie była szczęśliwsza.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - rzekł Parker. - Chciałbym wiedzieć; co cię tu sprowadza. - Cofnął się, by odetchnąć powietrzem Illliej przesiąkniętym zapachem perfum.

- Mamy się spotkać za godzinę w kancelarii prawnej.

Machając lekceważąco dłonią, Frannie podeszła do barku, w

którym stały kryształowe karafki z wódką, koniakiem i whisky. Podniosła karafkę z wódką, nalała sobie pół kieliszka i wypła mały łyk.

- Odwołałam spotkanie.

- Po kiego ... ?

Uśmiechnęła się przymilnie.

- Misiu, naprawdę nie ma potrzeby, żebyśmy się spotykali w obecności prawników. Możemy sami rozwiązać nasze problemy.

- Tak sądzisz?

Stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrzył, jak kobieta, którą poślubił przed dziesięcioma laty, kieruje się z kieliszkiem w stronę kanapy. Coś wyraźnie knuje. Tylko co?

- Oczywiście. Nie ma ich znów tak wiele.

To prawda. Wszystko już było gotowe; tragiczna farsa, w którą przekształciło się ich małżeństwo, byłaby bliska zakończenia, gdyby nagle Frannie nie uznała, że powinna otrzymać znacznie hojniejsze odszkodowanie niż to, na jakie opiewała umowa przedmałżeńska.

- Jest tylko jeden. Twoja zachłanność. Wydęła wargi w sposób, który wydawał się jej niezwykle zmysłowy. Pewnie zresztą taki był. Dziesięć lat temu Parker nabrał się tę sztuczkę. Ale dziś już wiedział, że za kuszącym uśmiechem i ponętym szeptem kryje się koszmarna wiedźma. Barakuda.

- Ale Parker, kochanie, chyba musisz przyznać, że umowa, którą podpisaliśmy przed laty, jest dziś po prostu śmieszna. - Oparła się wygodnie o kanapę. - Cło, które przyjdzie mi zapłacić, jest astronomiczne.

- Nie moja wina, że wprowadzono nowe przepisy. Dostaniesz taki udział w firmie, na jaki się zgodziłaś. I to wszystko, Frannie. Na nic więcej nie licz. - Usiadł na drugiej kanapie. -

Jestem splukany.

Była zaniepokojona, nawet zdenerwowana. Parker wydawał się dziwnie obojętny, nieobecny myślami. Dawniej, nawet w najgorszym okresie, potrafiła go udobruchać; wystarczyło parę uśmiechów, czasem parę łez. A teraz ku swemu przerażeniu zobaczyła, że jest całkowicie odporny na jej czary i wdzięki. Cholera jasna! Nie może pozwolić, żeby się jej wymknął. Żeby pozbawił ją swoich pieniędzy i nazwiska. Sama też pochodziła ze starej i szanowanej rodziny, ale fortuna LeBourdaisów mocno skurczyła się w ciągu ostatniego półwiecza. Kiedy więc Frannie poślubiła Parkera, z dnia na dzień poprawił się poziom jej życia.

Od ślubu minęło dziesięć lat. Przyzwyczała się do bogactwa, a także do prestiżu, jaki wiązał się z nazwiskiem Jamesów. Dzięki pieniądzom męża nie musiała niczego sobie odmawiać, mogła żyć tak, jak chciała. Była niesłychanie dyskretna. Pilnowała, aby nie plotkowano o jej romansach i żeby nikt nie dowiedział się o jej preferencjach seksualnych. Gdyby usłyszał o tym jej bogobojny ojciec, na pewno by ją wydziedziczył. Tak, uznałby ją za grzesznicę i bezlitośnie wyrzuciłby na bruk, nie pozostawiając jej w spadku ani grosza. Separacja z mężem nie miała najmniejszego wpływu na jej życie. Ale rozwód ... hm, z powodu rozwodu niechybnie straciłaby swoją uprzywilejowaną pozycję w nowoorleańskiej socjocie. A z tym nie potrafiłaby się pogodzić.

Psiakrew! Co Parkerowi odbiło? Dlaczego nagie chce oficjalnie rozwiązać małżeństwo? Dotychczas był zadowolony? separacji. Co sprawiło, że ni stąd, ni zowąd zmienił zdanie? Dlaczego postanowił walczyć o swoją wolność? Czy za jego decyzją stoi ta ruda wywłoka?

Wszystko jedno. Ona, Frannie, nie zamierza poddać się bez walki. Ba, nie zamierza przegrać.

Parker należy do niej. Dziesięć lat temu jakoś zdołała go oszukać. Wmówiła mu, że go kocha. Skoro wtedy się jej udało, to uda się ponownie. Prawda?

Pociągnęła łyk z kieliszka, oblizwała górną wargę, po czym pochyliła się do przodu, tak by Parker zobaczył różowy koronkowy stanik, który dziś włożyła.

- Jak byś zareagował, gdybym ci powiedziała, że nie interesuje mnie wyciągnięcie od ciebie większej sumy pieniędzy?

Skrzywił się.

- Zacząłem się zastanawiać, co knujesz. Uśmiechnęła się mimo obelgi i odstawivszy kieliszek, podniosła się z kanapy. Obeszła stół i usiadła koło Parkera. Opuszkami palców przejechała w górę i w dół jego ramienia.

- Wiesz, kochanie ... im bliższy jest termin rozwodu, tym częściej myślę ... o nas.

- Frannie ...

- Nie, daj mi dokończyć. Nic nie mów, dobrze? Po prostu słuchaj.

Jej palce cały czas były w ruchu; wędrowały po ramieniu Parkera, po jego karku, po klatce piersiowej. Wsunęła je pod kołnierzyk koszuli i wolno zaczęła gładzić męża po gołej skórze.

Parker poruszył się niespokojnie.

Uśmiechnęła się w duchu. Faceci! Jak łatwo jest nimi manipulować.

- Uważam, skarbie, że powinniśmy jeszcze raz spróbować. Dać sobie jeszcze jedną szansę. Co ty na to? Hm?

Parsknął śmiechem i chwycił ją za rękę.

- Szansę, Frannie? Jeszcze jedną szansę? Pobraliśmy się dziesięć lat temu. Chyba było dość czasu na próby i szansę, nie sądzisz?

Wydeła wargi. Ileż to razy, pomyślał Parker, patrząc obojętnie na jej naburmuszoną minę, stosowała tę sztuczkę, by coś na nim wymóc. Żeby owinać go sobie wokół palca. Tym razem się jej . nie udało.

- Och, nie bądź taki uparty ... - Przysunęła się bliżej.

Jej ciepły oddech łaskotał go w szyję. Po chwili przycisnęła usta do jego policzka.

Czul... Nie, nic nie czuł. Nie czuł absolutnie nic.

- Moglibyśmy zacząć wszystko od początku. Zapomnieć o przeszłości. Byłabym dobrą żoną ...

- Może byś była. - Przekręcił głowę, tak by popatrzeć Frannie prosto w oczy. I dojrzał w nich prawdę. Że go nie kocha, nie pragnie, nie potrzebuje. - Ale nie moją.

- Kochanie, zachowujesz się bardzo nierozsądnie. - Wygładziła na udach sukienkę, po czym podciągnęła ją odTobinę wyżej.

- Frannie, już pół roku po ślubie zaczęliśmy sypiać w oddzielnych łóżkach.

- Teraz byśmy spali w jednym.

- Dlaczego? Co się zmieniło?

- Ja się zmieniłam.

- Nie zauważyłem.

- Dlaczego mnie obrażasz?

- Nie obrażam. - Zmęczyła go ta bezcelowa dyskusja. - Po prostu mówię ci, że naszego małżeństwa nie da się już uratować. To koniec. Musimy sobie odpuścić.

- Nie chcę. Nie mogę.

Przyłożyła dłoń do policzka męża, obróciła go do siebie, po

czym przywarła ustami do jego ust. Powinien był wstać, odejść, ale zaskoczony przez moment się nie ruszał. Odruchowo zaczął porównywać ten pocałunek z kilkoma pocałunkami, jakie wymienił z Holly. Całując się z Holly, czuł, jak przebiega przez niego przyjemny dreszcz. Całując się z Frannie, czuł niechęć i irytację.

Po chwili się odsunął.

- Przestań, Frannie. Nie rób tego. Po co masz się później wstydzić?

Zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Wstydzić? Ja? - Wstała i oparła ręce na biodrach. - To ty powinieneś się wstydzić, Parker. Twoja żona, której przysięgałeś miłość, wierność i uczciwość małżeńską, pragnie ci się oddać, a ty siedzisz niewzruszony, zimny jak sopel lodu. Straciłeś zainteresowanie seksem, kobietami? Czy wprost przeciwnie, oszalałeś na punkcie swojej rudej przyjaciółki i najzwyczajniej w świecie przestałeś zwracać uwagę na żonę?

Zmrużył powieki. Kiedy Frannie wpada w złość, nie bawi się w podchody; po prostu wygarnia prawdę.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Widziałam was wczoraj! - Potrząsnęła głową, po czym niedbałym ruchem poprawiła fryzurę. - Przed tym twoim nowym klubem.

Miał wrażenie, że krew przestaje mu krążyć w żyłach.

- Co tam robiłaś?

- Ależ, kochanie, jesteś moim mężem - przypomniała mu chłodnym tonem. - Dlaczego miałabym nie obejrzeć miejsca, w którym będziesz spędzał większość wolnego czasu? - Na moment zamilkła. - A przy okazji obejrzałam sobie twoją przyjaciółkę. Myślałam, Parker, że masz lepszy gust. Naprawdę mogłeś znaleźć kogoś z klasą.

- Nie mieszaj do tego Holly - warknął.

- Holly? - Roześmiała się ironicznie. - Co za głupie imię.

Parker zacisnął zęby; nie zamierzał dać Się wciągnąć w gierki tej kobiety.

Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

- A twój nowy biznes ... Chryste, Parker! Klub jazzowy? Czyś ty zwariował? Wyobrażam sobie, jaki szczęśliwy musi być twój ojciec!

Wstał z kanapy i popatrzył jej w twarz.

- Opuść sobie, Frannie. To naprawdę nie twoja sprawa, czym się będę w przyszłości zajmował.

- Mylisz się, kochany. Właśnie zemoja. - Długim, starannie pomalowanym paznokciem dźgnęła go w pierś. - Bo nie chcę rozwodu i uczynię wszystko, abyś go nie otrzymał.

- Nie jesteś w stanie temu zapobiec.

- Tak sądzisz?

Miał dość. Zawsze starał się postępować uczciwie i sprawiedliwie, ale Frannie nie wierzyła w sprawiedliwość. Uważała, że wszystko musi dziać się po jej myśli. Jak mógł tyle lat pozostawać w związku małżeńskim z kobietą, która jest taką egoistką? No co liczył? Gdzie miał rozum?

Powinien był wystąpić z pozwem rozwodowym zaraz po pierwszych sześciu miesiącach wspólnego życia. Nie wystąpił, bo po prostu łatwiej było nic nie robić. Co nim powodowało? Po części lenistwo, po części wstyd: nie chciał się przyznać do błędu, który popełnił. Nie był jednak mnichem, a tym bardziej świętym. Więc od czasu do czasu, kiedy nadarzała się okazja, korzystał z uroków niezobowiązującego seksu. Wolałby nie zdradzać żony, ale ponieważ ona nie wykazywała nim jako mężczyzną żadnego zainteresowania, nie czuł wyrzutów sumienia, które w innej sytuacji na pewno by go dręczyły.

Małżeństwo z Frannie od początku skazane było na niepowodzenie. Sam był sobie winien. Nie należało się na nie godzić.

- Frannie, wyświadczy nam obojgu przysługę i wracaj do siebie - powiedział znużonym tonem.

- Żebyś nie pożałował swojej decyzji!

Mimo zmęczenia Parker wybuchnął śmiechem.

- Cała ty! Lepiej znasz się na groźbach, Frannie, niż na uwodzeniu.

Zasznurowała gniewnie usta.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic.

Ujął ją za łokieć i ruszył przez salon do holu. Chciał się jej pozbyć ze swojego domu, ze swojego życia. Najchętniej wysłałby ją na drugi koniec świata.

- Przestań! Puść mnie! - wołała, bezskutecznie próbując się oswobodzić. - Parker. .. !

Nie słuchał. Doszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz, ciągnąc ją za sobą. Dopiero tam rozluźnił uścisk.

Wyszarpnąwszy się, z wściekłością popatrzyła mu w twarz.

- Pożałujesz, Parker. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Do widzenia, Frannie.

Skrzyżował ręce na piersi. Widział furję w oczach żony, ale nic sobie z tego nie robił. Zamknął ten rozdział swojego życia.

- Nie zamierzam zostać z tobą ani minuty dłużej - dodał. - I nie myśl, że pozwolę ci się ograbić. Dostaniesz tylko tyle, ile ci się należy. Ani grosza więcej.

Kilka kolejnych dni minęło błyskawicznie. Parker spędzał w klubie każdą wolną chwilę. Był perfekcjonistą i chciał, by wszystko było dopięte na ostatni guzik. Gdyby od niego

zależało, tkwiłby w Grocie od rana do wieczora, ale miał też obowiązki w rodzinnej firmie. Wiedział, że wkrótce musi odbyć poważną rozmowę z ojcem.

. Na razie myślał tylko o jednym: żeby otwarcie się udało. Żeby muzyka i atmosfera pozostawiły na gościach niezatarte wrażenie. Żeby lokal odniósł sukces. Chciał udowodnić sobie oraz swoim bliskim, że prowadzenie klubu traktuje poważnie, że nie jest to jakieś widzimi się.

Harował więc bez wytchnienia, doglądając wszystkiego i w firmie, i w klubie. A po południu zostawiał pracę i na godzinę wyrywał się do Hotelu Marchand. Jakaś potężna siła ciągnęła go do Holly. Musiał choć chwilę z nią pobyc, popatrzeć na nią, posłuchać jej.

Po nieoczekiwanej wizycie, jaką przed paroma dniami złożyła mu Frannie, tym bardziej doceniał szczerść i bezpretensjonalność Holly. Jej promienny uśmiech, otwartość i serdeczność działały na niego kojąco; były jak balsam na jego zbolalą duszę.

Uświadomił sobie, że Holly jest mu coraz bardziej potrzebna do życia. Trochę to go niepokoiło; ale nie potrafił odmówić sobie przyjemności zoba-

czema Się z mą.

- Stajesz się naszym regularnym bywalcem - powiedziała, dosiadając się do niego po próbie.

- Na to wygląda. - Pokiwał z uśmiechem głową. - Kiedy dziś przyszedłem, Leo nawet nie czekał na zamówienie. Sam przyniósł moje ulubione piwo.

Podniosła do ust butelkę i upiła łyk.

- Nie tylko Leo zauważa twoje przyjście.

- Całe szczęście. Może on uchodzi za przystojniaka, ale nie

bardzo jest w moim guście.

- Tak? A kto jest?

- Znasz odpowiedź.

- Może znam. Ale i tak chdałabym ją usłyszeć.

- No dobrze. Więc przepadam za wysokimi brunetkami, które pięknie fałszują.

Kąciki jej ust zadrgały.

- Rozumiem.

- Oczywiście rude ślicznotki o szarych oczach i niskich, zmysłowych głosach też mają swój urok.

- Dzięki Bogu.

Leo postawił na stoliku szklanę herbaty, po czym odszedł do swoich zajęć przy barze.

- Podobno dogadałeś się z Robertem LeSoeurem w sprawie kawy?

- Tak. - Parker oparł się wygodnie. - Trwało to tydzień, ale w końcu doszliśmy do porozumienia. Interes powinien być opłacalny i dla firmy Jamesów, i dla Hotelu Marchand.

Szef kuchni mocno się targował, Parkerowi jednak udało się doprowadzić do umowy satysfakcjonującej obie strony. Powinien bardziej cieszyć się z osiągniętego sukcesu i pewnie tak by było, gdyby nie stracił serca do tej roboty. No ale zawsze milej opuszczać firmę po sukcesie niż po porażce.

- Jak tam twój klub? - spytała Holly.

O klubie mógł rozmawiać bez końca. To było jego marzenie, jego pasja.

- Wszystko gotowe. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jutro wielkie otwarcie.

- Bardzo się denerwujesz?

- Trochę - przyznał. - Zamówiłem miejscowy zespół. Będzie grał przez pierwsze dwie godziny. Powinien przyciągnąć ludzi.

- Miejscowy zespół? - spytała z ciekawością. - Kogo?
- Trio Hansonów.
- Dobry wybór. - Holly zamieszała słomką mrożoną herbatę. - Są znani i bardzo lubiani.
- Wiem. - Przyglądając się jej uważnie, po chwili kontynuował:
- Potem, kiedy oni skończą, marzy mi się solówka. Występ osoby z klasą, która swoim głosem zdoła wszystkich oczarować. Przechyliła na bok głowę. Włosy opadły jej na oczy, zasłaniając pół twarzy.
- Masz kogoś upatrzonego?
- Właściwie to ...
- Znam tę osobę?

Rozciągnął usta w uśmiechu. Tak łatwo się z nią rozmawiało, bez aluzji, bez gier. Tak łatwo obcowało.

- To jak, Holly? Zgodzisz się?

Pociągnawszy łyk herbaty, zmarszczyła czoło.

- Tommy nie będzie mógł mi akompaniować.

Obiecał swojej żonie, że wyjadą razem na weekend.

- Zapewnię ci dobrego pianistę. Może nie tak doskonałego jak Tommy, ale ...

- W porządku. .

Zacisnął rękę na jej dłoni.

- Zgadzasz się? Zaśpiewasz?

- Z największą przyjemnością.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Otwarcie Groty okazało się wielkim sukcesem, większym niż Parker mógł sobie wymarzyć.

Stał pod ścianą na końcu sali, leniwie prześlizgując się

wzrokiem po gościach. Kelnerzy uwijali się między stolikami, roznosząc duże, beżowe kubki z naj różniej przyrządzoną kawą. Latte, mocha, cappuccino, kawa mrożona, kawa z lodami, z bitą śmietaną, z syropem karmelowym i długimi las- karni cynamonu do mieszania.

Ci, którzy woleli coś odrobinę mocniejszego, mogli wybierać pośród najlepszych krajowych win białych oraz czerwonych.

Unoszący się w powietrzu intensywny zapach kawy mieszał się z aromatem świeżo pieczonego chleba, bułek i przyrządzanych na ciepło kanapek. W sali panował romantyczny półmrok. Na stolikach paliły się świece, jasno oświetlona była tylko scena, na której występowało Trio Hanso-

. nów. Ludzie dwukrotnie podrywali się na nogi, żeby nagrodzić muzyków rzęsy brawami.

Kiedy owacyjnie żegnany zespół zaczął zbierać swoje instrumenty, Parker ponownie powiódł spojrzeniem po sali. Miał wrażenie, że na otwarciu pojawili się inni ludzie niż ci, którzy zwykle odwiedzają bary w Dzielnicy Francuskiej. Owszem, było trochę turystów, ale większość klienteli stanowili tubylcy, którzy potrafią docenić dobry Jazz.

Właśnie na to liczył. Wprawdzie turyści zostawiają więcej pieniędzy, ale żeby klub cieszył się powodzeniem, musi zyskać uznanie wśród nowoorleańczyków. Ludzie potrzebują miejsca z dala od awanturujących się pijaków, miejsca, w którym można spotkać się z przyjaciółmi, posłuchać dobrej muzyki, pośmiać się, napić doskonałej kawy.

Poczuł, jak rozpiera go duma.

Praca w rodzinnej firmie nigdy nie sprawiała mu tak olbrzymiej satysfakcji. Wiedział dlaczego: po prostu klub był jego dzieckiem, pomysłem, który udało mu się zrealizować, spełnionym marzeniem. Zrozumiał, że nie *mot e płużej* zwlekać;

musi porozmawiać z ojcem, wyjaśnić mu, że tu jest jego miejsce. Na samą myśl o gabinecie z widokiem na port, o dzwoniących telefonach i rozbrzmiewającym wkoło klikaniu w komputer zrobiło mu się niedobrze.

To jest świat jego ojca. On, Parker, już do niego nie pasuje. Zresztą może nigdy nie pasował.

Resztę życia chce spędzić tu. W swym królestwie.

- Wspaniale się wszyscy bawią.

Obrócił się twarzą do Holly. Oczy jej lśniły, a na ustach gościł ciepły, radosny uśmiech.

Jak dobrze móc dzielić tę chwilę z kimś bliskim, pomyślał Parker. Z kimś, kto dobrze mu życzy. Z kimś, kto wie, ile ten klub dla niego znaczy.

- Tak, jest lepiej, niż myślałem.

Podobnie jak on, Holly rozejrzała się po sali i pokiwała z uznaniem głową. Cieszyła się, że zespół wzbudził tak duży aplauz.

- Jaka szkoda, że nie mogłam przyjechać wcześniej. Chętnie bym posłuchała, jak chłopaki grają.

Uwielbiam ich. . .

- Może jutro ci się uda. W niedzielę nie pracujesz u

Marchandów?

Pokręciła głową. Chłonęła atmosferę wszystkimi zmysłami.

Przez duże wychodzące na ulicę okna Parker widział spacerujących na zewnątrz ludzi. Niemal wszyscy przystawali i z zaciekawieniem zaglądali do środka. W pewnym momencie któryś ze spacerowiczów nie wytrzymał; pchnął drzwi i wszedł do

. klubu.

- Zdaje się, że masz kolejnego gościa - powiedziała Holly.

- Cały wieczór tak się dzieje. To miejsce wsysa przechodniów. A wessie ich jeszcze więcej, kiedy zobaczą na scenie ciebie.

- Poczęstowałbyś mnie najpierw filiżanką kawy?

- Myślę, że to się da załatwić - odparł z uśmiechem. - Przy okazji moglibyśmy pogadać o tym, czy zgodziłabyś się na regularne występy w Grocie. Dobrze płacę - dodał dla zachęty.

~ Mam wolne niedziele, poniedziałki i wtorki - oznajmiła. - A dodatkowe pieniądze bardzo by mi się przydały.

- Co, lubisz drogie zakupy?

- Można tak powiedzieć.

Najwyraźniej nie zamierzała mu zdradzić, na co potrzebuje pieniędzy. Poczul się lekko urażony. Sekrety nie prowadzą do niczego dobrego. Jednego się nauczył podczas lat spędzonych z Frannie: kobiecie mającej tajemnice przed partnerem nie wolno ufać. Może przesadnie zareagował na skrytość Holly. W końcu dlaczego miałyby mu cokolwiek o sobie mówić? Niewiele ponad tydzień temu po raz pierwszy zamienili z sobą słowo. Ale ... po prostu była mu dziwnie bliska.

Psiakość, miał wrażenie, jakby się znali całe. życie.

Chciał wiedzieć o niej absohitriie wszystko. To go przerażało, a jednocześnie zdumiewało i intrygowało.

- To co? Zafundujesz mi kawę?

- Oczywiście.

Poprowadził ją w stronę baru z ekspresem, po czym skinął głową na jednego z kelnerów.

Frannie krążyła na zewnątrz, od czasu do czasu zaglądając do środka. Pilnowała się, aby przypadkiem Parker jej nie dostrzegł.

Rozwścieczona wyrazem radości, jaki na widok rudej dziwki zagościł na twarzy Parkera, w ostatniej chwili zauważyła kałużę na chodniku, ale było już za późno. Zimna woda - w której na

pewno pływały jakieś paskudne zarazki! - wlała się do jej pantofla z krokodylej skóry. Frannie wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Chryste Panie! - Przytrzymując się ściany budynku, wytrząsnęła z buta wodę. - Do czego to doszło? Żebym ja, Frannie LeBourdais, podglądała własnego męża? Tó'ponizające! Wciąż czuła się upokorzona po ostatniej wizycie, jaką mu złożyła w domu. Parker beczelnie ją odtrącił, w sposób jednoznaczny dał do zrozumienia, że próba uwiedzenia go na pewno się jej nie uda. Powinna była się obrazić, nie zawracać sobie nim głowy, ale ... po prostu chciała zobaczyć na własne oczy tę nową inwestycję Parkera.

Klub jazzowy! Doprawdy, Parker upadł na głowę! Tak jakby Nowy Orlean cierpiał na brak miejsc, gdzie można posłuchać jazzu. Jakby w mieście było za mało lokali, w których można napić się dobrej kawy ..

Zirytowana, ponownie przysunęła nos do szyby i zerknęła do środka. Ludzie siedzieli przy małych stolikach w półmroku łagodnie rozświetlonym blaskiem świec.

Miała ochotę na nich nakrzyczeć, zwymyślać ich od palantów, zetrzeć kretyńskie uśmiechy z ich rozpromienionych gąb!

Gdyby ludzie nie stawili się tak tłumnie na otwarcie Groty, gdyby nie zamawiali kawy, nie pili wina, nie chcieli słuchać muzyki, może Parker zrezygnowałby ze swojego durnego pomysłu. Może zrozumiałby, że popełnił błąd. Że popełnił wiele błędów, i to nie tylko w sprawach zawodowych.

Może wtedy poświęciłby więcej czasu swojej żonie, może pomyślałby o tym, czego ona pragnie.

Ale on koniecznie chciał spróbować czegoś nowego. Pocieszała

się, że gościom znudzi się Grot. Przyszli, bo ciekawi byli nowego klubu. Lecz wkrótce pójdą do innego. Tak to już jest. Na razie jednak to jej humoru nie poprawiło.

Postanowiła zastosować się do rady, jakiej udzieliła jej Justine: zdobyć jak najwięcej informacji o rudej.

A potem pokazać Parkerowi, że żaden facet nie ma prawa porzucać Frannie LeBourdais.

Holly uśmiechnęła się ciepło do pianisty. Parker miał rację: facet może nie był tak utalentowany jak Tommy, ale niewiele od niego odstawał. Doskonale się z nim pracowało; gładko, bez zgrzytów. Po prostu dobrze się rozumieli.

Ściskając w prawej dłoni mikrofon, chodziła po niedużej scenie. Muzyka przenikała ją na wskroś. Zawsze gdy rozlegały się dźwięki pianina, klarnetu, saksofonu, miała wrażenie, że ożywa. W blasku reflektorów rozkwitała niczym kwiat, na który pada światło słoneczne.

Tu, w nowoorleańskich klubach i barach, była u siebie. Lubiała patrzeć ze sceny na zadowolone twarze gości, którzy doceniali jej talent.

O tym, że ma znakomity głos, przekonała się w bardzo młodym wieku. Codziennie dziękowała Bogu za ten dar. Uwielbiała zatracać się w muzyce, w słowach piosenki, w emocjach, jakie ją zalewały. To była istna magia; inaczej nie sposób określić tego, co się dzieje z człowiekiem, kiedy słucha jazzu. Muzyka trafia prosto do serca, do serca słuchacza i wykonawcy.

Nucąc starą bluesową pieśń, Holly wbiła wzrok w mężczyznę stojącego z tyłu sali. W Parkera Jamesa. Tkwił bez ruchu, poważny, skupiony, jakby usiłował zajrzeć w głąb jej duszy.

Zadumała się: a gdyby to było możliwe? Gdyby zdołał przedrzeć się przez warstwy ochronne? Co by zobaczył? Jej przeszłość? A może plany na przyszłość?

Nie przerywając śpiewu, zaczęła rozmyślać o przyszłości. O swoich marzeniach. O domu, który chciała wypełnić dziećmi adoptowanymi lub wziętymi na wychowanie. Takim dzieciakom, samotnym i zagubionym jak ona kiedyś, pragnęła dać szansę na lepsze życie.

Tego by jednak Parker nie zrozumiał. Raczej zobaczyłby co innego: że bardzo się od siebie różnią. Że jedyne, co ich łączy, to wzajemne pożądanie.

Z drugiej strony, czy to coś złego?

. Po zamknięciu klubu Parker odwiózł ją do domu.

Wmawiał w siebie, że tego wymaga zwykła uprzejmość. Że w ten sposób pragnie Holly podziękować za to, że zgodziła się wystąpić u niego na otwarciu. Ale to nie była prawda.

I oboje mieli tego świadomość.

Parkera rozpierało pożądanie, i to od chwili, gdy stojąc na drugim końcu zatłoczonej sali, napotkał spojrzenie swej nowej wokalistki. Wydawało mu się, że śpiewa wyłącznie dla niego. Powietrze było naelektryzowane. Patrząc na Holly, nie zdziwiłby się, gdyby nagle zaczęły strzelać błyskawice.

Teraz, w drodze do domu, mięśnie miał napięte, głowę pustą, a serce waliło mu jak nastolatкови, który marzy o tym, aby

pieścić się z dziewczyną na tylnym siedzeniu ojcowskiego samochodu.

Głos Holly przerwał ciszę.

- Spędziłam cudowny wieczór.

- Byłaś fantastyczna - powiedział, na moment odrywając wzrok od jezdni, by spojrzeć na nieruchomy profil swojej pasażerki.

- Dziękuję. Lubię śpiewać.

- Słuchaj ... - Od wielu godzin chciał ją o to spytać, ale nie potrafił się zdobyć na rozmowę o interesach. Dopiero teraz się przemógł. - W spomniałaś, że czasem występujesz również w innych miejscach ...

- Owszem. - Zamrugła powiekami.

Skręcił w lewo, w wąską uliczkę, na której stały stare latarnie rzucające dość słabe światło. Okna w domach były ciemne; mieszkańcy najwyraźniej już spali.

- Chciałbym, żebyś śpiewała w Grocie. Na stałe.

- Parker, ja ...

- Przemyśl sobie moją propozycję. - Zatrzymawszy samochód przed jej domem, zgasił światła, przekręcił kluczyk w stacyjce i zaciągnął hamulec. Po czym odpiął pas, tak by mieć swobodę ruchu. - Cztery wieczory w tygodniu pracujesz w Marchandzie. A to znaczy, że pozostałe trzy masz wolne.

- Tak, ale ...

- Powiedziałaś, że przyjmujesz różne zlecenia, jakie ci się trafiają. Że potrzebujesz dodatkowych pieniędzy.

- To prawda ...

- Więc te trzy pozostałe wieczory śpiewaj w Grocie.

Holly również odpięła pas i obróciła się twarzą do Parkera. W samochodzie było tak ciemno, że nic nie potrafił wyczytać z jej spojrzenia.

- Dlaczego?

- Słucham?
- To proste pytanie, Parker. Dlaczego chcesz mnie zatrudnić?
- Bo masz olbrzymi talent.
- I...?
- I będziesz przyciągać tłumy. Dziś ludzie walili oknami i drzwiami, żeby cię posłuchać.
- I...?

Przejechał ręką włosy. Słyszał oddech Holly, szybki, urywany. Poczł, jak serce mu wali. Ciasne wnętrze samochodu wypełniał zapach perfum, lekki, kwiatowy, z nutą korzenną. Parker pochylił się w stronę Holly; zalała go fala ciepła.

- Co chcesz, żebym powiedział?
- Prawdę. A prawda jest taka, że bardziej niż na moich występach w Grocie zależy ci na przespaniu Się ze mną.
- Wcale nie - zaprotestował.
- Tak się składa - kontynuowała, jakby nie słyszała jego protestu
- że mnie też całkiem podoba się pomysł przespania się z tobą. Więc nie musisz mnie urabiać komplementami ani, kusić ofertą pracy. Pragnę cię.

Zacisnąwszy ręce na jej ramionach, przyciągnął ją do siebie. Odchyliła do tyłu głowę i napotkała jego roziskrzony wzrok.

- Nie urabiam - oznajmił cicho. - Naprawdę chcę, żebyś śpiewała w klubie. Każdego wieczoru, . kiedy tylko będziesz mogła. Chcę słuchać twojego głosu, patrzeć, jak się ruszasz, czuć na sobie twoje spojrzenie, twój uśmiech.
- Parker. ..
- Ale jedno nie wyklucza drugiego. Bardzo też chciałbym się z tobą kochać.

Nawet w półmroku była olśniewająco piękna. Zacisnął mocniej ręce na jej ramionach. Gładząc jej gołą skórę, czuł, jak rozpira go pożądanie. Był niczym tygrys w klatce szykujący się do skoku.

Zadrżała; koniuszkiem języka zwilżyła wargę.

- Ja z tobą też.

- Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy. - Rozluźnił nieco uścisk, ale nie zabrał rąk. Nie potrafił; pragnął jej dotykać, pieścić ją.. - To co? Będiesz śpiewać w Grocie czy nie?

Uśmiechnęła się.

- A ty? Pocałujesz mnie w końcu, czy nie?

Przywarł ustami do jej ust. Wzdychając z ulgą, objęła go za szyję. Rozpoczął się taniec erotyczny: ich języki spotykały się, odpychały, dotykały.

Parker przyciągnął Holly do siebie i aż jęknął, gdy spoczęła na jego udach. Miał wrażenie, że cały płonie. Że trawi go ogień. Boże, jak dawno nie było mu tak dobrze!

Pragnął jej do bólu. Była wszystkim, czego potrzebował do szczęścia i do życia. Wszystkim, czego chciał.

Zatracony w zmysłowych doznaniach, o niczym innym nie myślał. Żył chwilą. Błądził rękami po ciele Holly. Stanik, mimo że cieniutki, stanowił zbędną barierę. Nie przerywając pocałunku, Parker odnalazł zapięcie i jednym ruchem pozbył się przeszkody. Holly westchnęła z błogością, gdy zakrył dłońmi jej piersi. Odrzuciwszy w tył głowę, powtarzała szeptem jego imię. Jej szept jeszcze bardziej go podniecał.

- Muszę cię jakoś przemycić do domu - powiedziała.

- Nie puszcze cię. - Przycisnął rękę do jej brzucha.

- Parker ... - Oblizwała wargi. Po chwili uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. - Jeśli natychmiast nie wejdziemy do środka, możemy zostać aresztowani za uprawianie seksu w samochodzie.

- To kuszące. - Uśmiechnął się, widząc głód wyzierający z jej oczu.

- Masz rację, bardzo kuszące. - Uniosła lekko biodra i potarła się o niego niczym kocica złąkniona pieszczot. - Ale przyjemność będzie znacznie większa, jeśli całkiem pozbedziemy się ubrań.

- Słusznie.

Zabrała ręce z szyi Parkera i zapięła stanik, po czym pochyliła się i pocałowała Parkera w usta.

- Chodźmy.

Zsunęła się zjegokolan. Jęknął niezadowolony. Nie podobało mu się to puste miejsce. Psiakrew, naprawdę jej pragnął. Jak nigdy nikogo dotąd.

Myślał o niej bez przerwy.

Kiedy spał, pojawiała się w jego snach.

Kiedy pracował, nagle stawała mu przed oczami.

Holly otworzyła drzwi, wysiadła i chwyciwszy z podłogi torebkę, obejrzała się przez ramię.

- Idziesz?

- No pewnie.

Truchtem pokonała wąską kamienną ścieżkę i przekręciła klucz z zamku, zanim jeszcze Parker wszedł na ganek. Po chwili byli w środku. Zasunęła zasuwę i pobiegła na piętro.

Kolejne drzwi.

Parker przestępował nerwowo z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mógł wziąć Holly w ramiona. Wreszcie.

Wpadli do mieszkania, które przypominało letni ogród: seledynowe ściany, ogromne kanapy obite kwiecistą tkaniną. Ciepło i przytulnie. I bardzo kobieco. Parker wciągnął w nozdrza powietrze. Tak, wewnątrz unosi się zapach Holly. Kwiatowy i korzenny.

Rzuciła torebkę na stojący pod ścianą stół, obok położyła klucze, po czym obróciła się twarzą do Parkera. Obejmując go za szyję, przyciągnęła go do siebie i pocałowała z taką żarliwością, jakby od tego zależało jej życie.

Zakręciło mu się w głowie. Niewiele się namyślając, przerwał pocałunek, następnie ściągnął, Holly bluzkę przez głowę i ponownie rozpiął stanik.

- Boże, ale jesteś piękna - szepnął, gładząc jej piersi.

- Mmm, jak im dobrze - zamruczała. - Ale ty masz na sobie zdecydowanie za dużo.

- Zdecydowanie. - przyznał.

Rozpięła Parkerowi koszulę, zsunęła mu ją z ramion, po czym delikatnie przejechała palcami po jego nagim torsie. Płonął z pożądania. Chciał kochać się z Holly do nieprzytomności, ale na razie wystarczył mu jej dotyk oraz świadomość tego, że ona również go pragnie.

- Potrzebuję cię - szepnęła. - Teraz ... już Pociągnęła go za rękę w stronę ciemnego korytarzyka, na którego końcu znajdowały się przymknięte drzwi. Pchnęła je i nacisnęła kontakt. Stojąca na stoliku lampa z amarantowym kloszem oświetliła pokój. Wzrok Parkera padł na duże metalowe łóżko zarzucone kolorowymi poduszkami.

Holly pozbyła się sandałków, następnie ściągnęła spodnie. Rzuciła je na fotel. Parkerowi zaschło w gardle. Miała na sobie tylko czarny koronkowy trójkącik przytrzymywany na biodrach dwiema cieniutkimi gumkami.

- Zaraz dostanę przez ciebie zawału - mruknął.

- Błagam, nie rób mi tego - powiedziała ze śmiechem, po czym skierowała się do komody stojącej po lewej stronie łóżka.

Może coś jeszcze powiedziała, ale jej nie słuchał. Stał jak urzeczony, podziwiając wspaniały widok jej pleców i bioder. Dodatkową podniecię stanowiła naturalność Holly, to, że się nie wstydzi własnego ciała, że nie nalega na półmrok. Ucieszył się, bo chciał na nią patrzeć.

Wsunęła rękę do górnej szuflady, a po chwili uniosła ją, pokazując mu, co trzyma w dłoni: garść jaskrawo opakowanych prezerwatyw.

- Dobrze, że przynajmniej jedno z nas jest przygotowane - oznajmił pogodnie Parker.

Ostatni raz nosił prezerwatywy w portfelu, kiedy miał osiemnaście lat i gorąco liczył na to, że mu się wreszcie poszczęści.

Ruszyła z powrotem. Szła wolno, zmysłowo kołysząc biodrami. Świadomość tego, że Parker pozerają wzrokiem, sprawiała jej przyjemność. Zatrzymawszy się przednim, uśmiechnęła się i odgarnęła włosy do tyłu.

- Wciąż masz za dużo na sobie, Parker.

- Za minutę czy dwie też będę goły.

- Za minutę? A po co ta zwłoka? - zażartowała.

- Tak bardzo ci się spieszy?

Ponownie zakrył dłońmi jej piersi. Opuszkami palców gładził ciepłą, jedwabistą skórę. Bardzo pragnął się z Holly kochać, ale pragnął również nacieszyć się jej bliskością, łagodnym

dotykem, zapachem.

- Mmm, jakie to miłe.

Położywszy prezerwatywy na szafce nocnej, Holly pochyliła się nad łóżkiem i odrzuciła na bok kilka poduszek. Na widok ponętnie wypiętej pupy Parker nie wytrzymał.

- Zostaw te poduszki - jęknął, obejmując ją w pasie.

- Poduszki? - zapytała szeptem, rozchylając uda. - Jakie poduszki?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Pachniesz bosko ... - szepnął. Jego usta wędrowały po jej szyi, ręce po plecach.

Chwyliła go za ramiona, by nie stracić równowagi, po czym opadła na materac. Przestała myśleć o czymkolwiek. Po raz pierwszy w życiu nie analizowała, nie zastanawiała się, czy słusznie postępuje. Dziś nie miało to znaczenia. Dziś po prostu chciała czuć, doznawać, doświadczać, rozkoszować się dotykiem, pieszczotą, seksem. Zbyt długo żyła jak mniszka.

Pociągnęła go za pasek od spodni. Zrozumiał. Migiem pozbył się swojego ubrania, a potem czarnego koronkowego trójkącika, który bronił mu dostępu do niej.

- Pragnę cię od pierwszego dnia ...

- Ja ciebie też. - Wsunęła rękę w jego gęste włosy. - Och, Parker. ...

Całował ją namiętnie. Wszędzie. A ona wyginała plecy w łuk, unosiła biodra, aby być bliżej jego ust. I nagle, niespodziewanie, poczuła, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz.

- Niesamowite - szepnął Parker, przyglądając się jej z zafascynowaniem.

- Tak, niesamowite - przyznała. Przyciągnęła go do siebie, pocałowała raz, drugi, trzeci, a potem uśmiechając się nieśmiało, oznajmiła: - Poproszę o Jeszcze.

- Dobrze, moja słodka.

Sięgnął za siebie po prezerwatywę i wyjął ją z opakowania.

- Chodź, Parker. .. Błagam - jęknęła Holly, obejmując go nogami w pasie.

I zapomnieli o całym świecie.

Godzinę później siedzieli na łóżku, każde z kieliszkiem w dłoni, popijając doskonale czerwone WillO.

- Co za noc.

- Odlotowa.

Holly uśmiechnęła się promiennie.

- Masz rację. Odlotowa.

Parker dolał wina do obu kieliszków, po czym odstawił na szafkę pustą butelkę.'

- Pamiętaj, Holly, że to, co nas łączy tu, w sypialni, nie ma wpływu na sprawy zawodowe.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Wiem, Parker.

- To dobrze. Bo naprawdę podziwiam twój talent.

Posłała mu figlarny uśmiech.

- Talent wokalny - sprecyzował ze śmiechem. Bardzo chciałbym, żebyś śpiewała w moim klubie.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywała mu się w oczy, po czym odstawiła na bok kieliszek. Wcześniej, gdy złożył jej propozycję występów w Grocie, wahała się. Ale teraz nie miała

już żadnych wątpliwości. Zależy jej na tej pracy. Każdy dodatkowy dolar, jaki udało się jej zarobić, szedł na specjalne konto. Może dzięki pracy u Parkera szybciej zrealizuje swoje marzenia?

- Dobrze.

- Dobrze? To znaczy, zgadzasz się?

- Dlaczego się dziwisz? - Uśmiechnęła się. - Powinnam się opierać?

- Nie. Po prostu sądziłem, że będziesz chciała przemyśleć ...

- Co przemyśleć? Zaproponowałeś, żebym występowała trzy wieczory w tygodniu. Podoba mi się twój klub. Ty mi się podobasz ... - Urwała. - Nie miej tak przerażonej miny Parker.

- Wcale nie...

- Nie kłam. Wszystko widzę w twoich oczach. Boisz się, że zaraz wyznam ci miłość.

- Nie. - Pociągnął łyk wina. - Nie o to chodzi. Ja ...

- Nie przejmuj się.

Specjalnie mówiła lekkim tonem, by go nie wystraszyć. Od początku zdawała sobie sprawę, że pochodzą z dwóch różnych światów. To, że Parker może nie chcieć, aby jakaś nieznana wokalistka wodziła za nim rozmarzonym wzrokiem, było całkiem zrozumiałe.

- Holly ... - Ujął ją za rękę. - Akurat jestem w trakcie rozwodu. Moje małżeństwo było koszmarem.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ponownie zaczęła się zastanawiać, czy zdradzić Parkerowi, czego przed laty dowiedziała się o jego żonie. Nie była jednak pewna, czy informacja ta mu pomoże, czy też sprawi przykrość.

Postanowiła milczeć na ten temat i skoncentrować się na przyszłości. Na swojej przyszłości.

Od najmłodszych lat marzyła o stworzeniu ciepłego domu dla

kilkorga dzieci. Opiekowałyby się nimi, darzyła je miłością, której sarna była tak bardzo spragniona w dzieciństwie, a kiedy wychodziłaby do pracy, stery przejmowałaby zatrudniona na stałe gospośia.

W te plany nie zamierzała wtajemniczać Parkera. Bo i po co?

- Nie martw się, Parker. Naprawdę niczego od ciebie nie oczekuję - powiedziała łagodnie, splatając palce z jego palcami.

- Jesteśmy dorośli. Potrafimy oddzielić przyjemność od pracy. Ty potrzebujesz wokalistki, a mnie, jak ci już wspomniałam, przyda się dodatkowa forsa.

Uśmiechnął się.

- Masz jakieś plany?

- Tak.

- Opowiesz mi o nich?

Zawahała się. Nawet Tornmy z Shaną nie do końca je znali. O swoich marzeniach opowiedziała dotąd tylko jednej osobie, Jeffowi, lecz on zdradził

jej zaufanie. Oczywiście Hayesowie różnią się od Jeffa, wierzy im w stu procentach, ale kto się raz sparzył... Po prostu najpierw wolałaby zrealizować swój plan. Bała się, że inaczej może wszystko zapeszyć. Niby nie była przesądna, ale wolała nie ryzykować.

Oczami wyobraźni widziała piękny stary dom z wieloma pokojami. Dookoła ogród pełen drzew. Oraz dzieci. Mnóstwo dzieci. Tyle, ile wygodnie mogłoby się w nim pomieścić.

Sama przez wiele lat mieszkała w sierocińcu. Z doświadczenia wiedziała, jak to jest, kiedy nie ma się prawdziwego domu.

Owszem, czasem dziecko ma szczęście i trafia do kochającej rodziny zastępczej, często jednak zdarza się, że zastępczy rodzice wcale się nie troszczą o dzieci przyjęte pod swój dach.

Ona zamierzała być dobrą mamą, taką, o jakiej sama marzyła,

kiedy była małą dziewczynką złąknioną uczuć rodzicielskich. Teraz, dzięki pracy w Hotelu Marchand oraz dodatkowym pieniądzom zarobionym u Parkera, będzie miała szansę szybciej spełnić swoje marzenia.

- Wolisz zachować je w tajemnicy? - spytał cicho Parker, opuszkami palców obrysowując jej brodę.

Zamrugła oczami.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Nad tymi planami, o których nie chcesz mówić?

- Tak. - Popatrzyła na niego, uśmiechem próbując złagodzić następne słowa. - To, że przeżyliśmy fantastyczny seks, nie znaczy, że mamy zacząć się sobie zwierzać. Przed chwilą to uzgodniliśmy, prawda?

Pokiwał z zadumą głową.

- Jesteś wyjątkowo intrygującą kobietą, Holly.

- Cieszę się, że tak uważasz, Parker. - Wyjęła mu z ręki kieliszek, postawiła obok swojego na szafce nocnej, po czym obróciła się do Parkera przodem i usiadła na nim.

- Hm, nowy plan? - spytał, zaciskając ręce na jej biodrach.

- Zgadłeś. W dodatku taki, z którego realizacją nie ma sensu dłużej czekać. - Zaczęła delikatnie drapać go po klatce piersiowej. - I o którym mogę ci śmiało opowiedzieć. Lub - dodała z szelmowskim uśmiechem - ci go zademonstrować.

Przytrzymując Hólly jedną ręką, by przypadkiem mu nie uciekła, drugą sięgnął za siebie po kolejne opakowanie z prezerwatywą.

- Hm, na razie ten twój nowy plan bardzo mi się podoba.

- Tak? - Pochyliwszy się, przygryzła mu lekko dolną wargę. -
Wiesz, mnie również.

Po chwili wyjęła mu z dłoni szeleszczące opakowanie,
rozerwała je, po czym ...

- Holly ...

- Daj, ja to zrobię ...

Wolnymi, zmysłowymi ruchami naciągnęła prezerwatywę na
miejsce. Pieszcząc Parkera, obserwowała go spod zmrużonych
powiek. Widziała, jak zamyka oczy, jak zaciska wargi ...

Zadrżała z podniecenia. Wprost nie mogła uwierzyć, że znów go
pragnie. Minęło przecież zaledwie kilka minut.

Wybrała pozycję na jeźdźca. Tym razem ona nadawała tempo,
ona zwalniała i przyspieszała, sprawiała, że ogień na moment
przygasał, a potem wybuchał ze wzmożoną siłą.

Nawet gdyby od tego zależało jego życie, nie zdołałby oderwać
od niej oczu. Była stuprocentową kobietą. Idealem kobiety.
Piękna, namiętna, olśniewająca.

Raz po raz zalewała go fala emocji, fala nowych doznań. I gdy
się im poddawał, nagle poczuł, jak coś w nim zaskakuje. Nie
potrafił tego nazwać ani opisać. Ale wystraszył się. Nie chciał
dziwnych, nieoczekiwanych zmian w swoim życiu.

Po chwili poczuł w głowie pustkę. Przestał myśleć, zastanawiać
się i przeniósł się w inny świat. Był na skraju obłądzenia, na skraju
szaleństwa. Jeszcze moment i poszybował daleko w
przestworza, zabierając z sobą Holly.

- Możesz oddychać? - spytał, leżąc na niej. - Zaraz się z ciebie
stoczę, ale na razie nie mam siły się ruszyć.

Roześmiewszy się, pogładziła go po plecach. 1

Oddycham. Nie staczaj się.

- W porządku. Dobranoc.

- O nie! - Klepnęła go w pośladek.
- Co? - Uniósł głowę i wyszczerzył w uśmiechu zęby.
- Wygodnie ci?

- Mmm, super. - Okręcił wokół palca jej rudy kosmyk. Holly westchnęła cicho i poruszyła się, zmieniając nieco pozycję. Wciąż go w sobie czuła.

- Tak jest jeszcze lepiej - zamruczał.

- Wiem.

Leżała zdyszana, lecz spełniona. Dawno z nikim nie dzieliła łóżka. Prawdę mówiąc, od czasu Jeffa z nikim się nie spotykała. Jeff wyrządził jej tak wielką krzywdę, tyle przez niego łez wylała, że straciła ochotę do wszelkich kontaktów męsko-damskich.

Ale Parker jest inny. Tak bardzo różni się od Jeffa, że gotowa była zaryzykować zbliżenie. Oczywiście zbliżenie fizyczne to nie to samo co zbliżenie psychiczne. Jeszcze z sobą walczyła, jednak coraz silniej ją kusiło, by uczynić następny krok.

Chciała, a zarazem się bała.

Marzyła o tym, żeby być nowoczesną, wyzwoloną kobietą. Kobietą, która umie oddzielić przyjemność fizyczną od uczucia. Wiedziała, że gdyby traktowała seks' tak jak mężczyźni - jako miły przerywnik, urozmaicenie - byłoby jej w życiu znacznie łatwiej.

Ale czy zdoła? Czy jej to wyjdzie?

Ze względu na Parkera zamierzała się postarać. Cieszyć się z jego bliskości, lecz nie angażować uczuciowo. Oby się udało.

- No dobra, staczam się. - Pocałowała ją w szyję.

- Na pewno tego chcesz?

- Nie - przyznał z uśmiechem, po chwili jednak zsunął się z niej i położył obok.

Wydała z siebie jęk zawodu, po czym przeciągnęła się

zmysłowo i obróciła na bok, twarzą do Parkera.

- Zimno mi bez mojego kocyka. Sięgnąwszy po róg kołdry, przykrył Holly.

- To ci musi wystarczyć do mojego powrotu - rzekł. Kąciki ust mu drgały.

- Wychodzisz?

- Do łazienki. A potem do kuchni. Zrobiłem się. potwornie głodny. Masz coś do jedzenia?

Wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Owszem, w lodówce. Składniki na kanapkę.

- Świetnie. - Cmoknął ją w nos, po czym wstał z łóżka. - O, psiakość ...

- Co się stało?

Oparła się na łokciu. Kołdra zsunęła się jej z piersi.

- Kiedy kupiłaś te prezerwatywy? - spytał dziwnie napiętym głosem.

- Bo co?

Serce zabiło jej mocniej. Z całej siły starała się zachować spokój.

Obejrzał się przez ramię. Nawet w przyćmionym świetle widziała w jego oczach wyraz niedowierzania.

- Bo nie wytrzymała ...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Spoglądał na nagą postać wyciągniętą na miękkiej, staroświeckiej narzucie. Uczucie radości i spełnienia, które przepełniało go jeszcze przed chwilą, znikło. Pozostała po nim pustka.

Boże, ależ jest idiotą! Czy to możliwe, że aż tak dał się oszukać?

- Nie wytrzymała? Jak to?

- Zwyczajnie.

Obróciwszy się na pięcie, pomaszerował do łazienki. Zapalił światło, zużytą prezerwatywę wrzucił do sedesu, po czym stanął w otwartych drzwiach, z ręką zaciśniętą na drewnianej framudze

..

U siłował opanować chaos w głowie, zatrzymać gonitwę myśli, zastanowić się spokojnie nad tym, co się przed chwilą wydarzyło. Wbrew temu, co mu się wydawało i na co liczył, RoBy okazała taka sama jak Frannie. Obie dążą do upatrzonogo celu i nie przejmują się tym, kogo po drodze zniszczą lub zdeptają.

Utkwił spojrzenie w kobiecie leżącej na łóżku. W ustach mu zaschło. Nie był pewien, co czuje. Wściekłość? Pożądanie?

Usiadła na brzegu materaca, ciągnąc za narzutę, którą najwyraźniej chciała się przykryć.

- Pękła? O Jezu ...

- No właśnie: o Jezu.

Potrząsnęła głową. Potargane włosy wpadły jej do oczu.

Zirytowana, odgarnęła je za uszy.

- Cholera jasna! Jak to możliwe? Termin ważności prezerwatyw zwykle bywa długi.

- Od dawna je masz? - spytał Parker. Skrzywiła się.

- Od jak dawna? - Nie dawał za wygraną.

- Prawie trzy lata.

- Trzy lata?

- Mówisz takim tonem, jakby to było sto lat - mruknęła gniewnie. - Naprawdę nie miałam powodu co miesiąc zaopatrywać się w nowe prezerwatywy.

Sprawiała wrażenie równie przejętej i zdenerwowanej jak on. Po

chwili poderwała się z łóżka i owinęła narzutą. Drżącą ręką ponownie odgarnęła z twarzy włosy.

- Te, które leżą w szafce, zostawił mój niedoszły narzeczony. Jakoś nigdy ich nie wyrzuciłam, bo ... - Urwała. - Dlaczego się tłumaczę? Dlaczego cię przepraszam?

- Dziwne - warknął. - Ale przeprosin nie słyszałem.

- I nie usłyszysz - odwarknęła.

- Wspaniale.

- Jeszcze parę minut temu byłeś zadowolony. Nie narzekałeś - wytknęła mu.

To prawda. Nie narzekał. I nie myślał. Teraz zaczął. A myśli, które snuły mu się po głowie, wprawiały go w podły nastrój.

- To było wtedy - stwierdził. - Sytuacja się zmieniła.

Wypuściła z sykiem powietrze.

- Chryste! Powiedz mi, że to się nie dzieje naprawdę.

- Niestety, dzieje.

Z niesmakiem potrząsnął głową, po czym podszedł do łóżka i chwycił leżące na podłodze spodnie. Ale ze mnie dureń, powtarzał w duchu. Powinien być mądrzejszy i przewidzieć konsekwencje. Dlaczego dał się omotać? Drogo przyjdzie mu zapłacić za chwilę słabości. Wszystko z powodu niej, Holly Carlyle.

Nie, nieprawda, poprawił się w myślach. To jest wyłącznie jego wina. Popęłił błąd; pozwolił, by rządziły nim hormony. Nagle coś go tknęło. Holly nie wyglądała na przerażoną. Dlaczego?

- Jesteś niesamowita.

- Rozumiem, że nie mówisz tego jako komplement?
- Dobrze rozumiesz.
- Nie pojmuję, dlaczego się tak wściekasz. - Kopnęła jeden z jego butów, który leżał na jej drodze. - To ja powinnam być przerażona.

- To samo przyszło mi do głowy. Ale nie jesteś, prawda? - Wciągnął spodnie, zgarnął z podłogi skarpetki. Ubierał się, nie przerywając mówienia. - Masz rację. Powinnaś być przerażona, a nie widzę cienia strachu na twojej twarzy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Nawet nie widzę wyrazu zdziwienia. Ciekawe dlaczego?

Uniosła dumnie brodę.

- Mylisz się. Jestem bardzo zdziwiona wieloma rzeczami. A najbardziej tym, jak szybko facet może się przeobrazić z czułego kochanka w durnego palanta.

Postąpiła krok do przodu niechcący przydeptując narzutę. Przeklinając pod nosem, wyswobodziła nogę.

- Jeśli próbujesz mnie rozzłościć, znakomicie ci to wychodzi.

Ale świetna z niej aktorka, pomyślał. Miał nadzieję, że okaże się inna. Że znalazł piękną, zdolną, godną zaufania i bezinteresowną kobietę. Taką, która będzie podzielać jego zamiłowania muzyczne i której mógłby zwierzyć się ze swoich najskrytszych pragnień.

Psiakość! Dlaczego tak szybko zapomniał o nauczce, jaką dała mu Frannie?

- Właśnie w tym tkwi problem, Holly. Powinnaś być równie wściekła jak ja. Równie przerażona. A nie jesteś .

Wsunął stopy w buty, włożył koszulę. Nie zapinając jej, podszedł do Holly i wbił palce w jej ramiona. Utkwiła swoje szare oczy w jego twarzy. Nie odzywała się.

- Może dlatego nie jesteś, bo wiedziałaś, co się stanie. Że prezerwatywa pęknie. Może na to liczyłaś. Może specjalnie wszystko tak zaaranżowałaś.

Wytrzeszczyła oczy. - Oszalałeś? Prychnął pogardliwie.

- Nie, nie oszalałem. Po prostu jestem wściekły jak cholera.

Wyszarpnęła mu się. Jej szare oczy przypominały dwie burzowe chmury grożące piorunami.

- Chciałeś mnie rozzłościć? No to rozzłościłeś, draniu! - Cofnęła się o krok; w ostatniej chwili złapała równowagę. Włosy znów wpadały jej do oczu. Odgarnęła je z furją. - Po co miałabym niszczyć prezerwatywę? I narażać się na jakieś choroby?

- Po co? - Patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Może rzeczywiście tak było; może wcześniej nie dostrzegał ukrytej pod maską kobiety. - Podejrzewam, że odr.obiłaś lekcje i wiesz, że jestem zdrowy. Postanowiłaś zajść w ciążę i uznałaś, że idealnie nadaję się na ojca.

- Co?

Pokręcił głową.

- Powinnaś lepiej nad tym popracować. Twoje święte oburzenie wciąż pozostawia dużo do życzenia.

- Drań! - burknęła pod nosem.

Zaczęło go gryźć sumienie, ale zignorował je. Miał w sobie zbyt wiele gniewu.

- No, pierwsze oznaki złości .. Efektowne, chociaż trochę spóźnione.

- Jak możesz tak mówić?

Unikał patrzenia Holly w oczy, ponieważ bał się, że dojrzy w nich ból. Ból, który on jej zadał. Wiedział, że wtedy ogarnie go wstyd i zapomni o tym, dlaczego się na nią wścieka. Nie mógł sobie na to pozwolić; nie zamierzał znów cierpieć z powodu czyjegoś sprytu i zachłanności.

- Nieźle to sobie wykombinowałaś - oznajmił, zdeterminowany podtrzymać gniew, jaki w nim płonął. Wsunął ręce do kieszeni. Nie znalazłszy kluczy, rozejrzał się nerwowo po pokoju. Zobaczył je na podłodze przy nodze łóżka. Zgarnął je, po czym zlustrował Holly hardym wzrokiem. - Naprawdę doskonała z ciebie aktorka. Mało brakowało, a bym uwierzył, że ...

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie obrażasz? - spytała spokojnym głosem, choć widać było, że trzęsie się ze zdenerwowania i z trudem powściąga emocje.

- Zdaję sobie sprawę z bardzo wielu rzeczy.

- Chyba jednak nie. - Uniosła brzeg kołdry, by się o nią nie potknąć, i postąpiła krok do przodu. Wyglądała jak rozczochrana bogini, która za moment ciśnie w grzesznika gromem. - Chyba jednak nie - powtórzyła. - Nie wiem, czy wiesz, ale żadna z metod antykoncepcji nie jest w stu procentach skuteczna.

- Zgadza się, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć pękniętej prezerwatywy.

Jej usta wyduły się w pogardliwym grymasie.

- I doszedłeś do wniosku, że ja to zaaranżowałam? Brawo, brawo. Co za inteligencja! Odkryłeś moje podstępne zamiary. - Zbliżyła palec do brody. Gdyby miała wąsy, pewnie by je zakręciła. - Obmyślałam to całymi latami. Odkąd poprzedni skurwiel złamał mi serce. Zostały mi po nim te gumki; zamiast je wyrzucić, czekałam na odpowiedni moment. Na taką okazję jak dziś, aby je umiejętnie wykorzystać.

- Przestań, Holly. To nie jest śmieszne ..

- Słusznie. To bardzo poważna sprawa. Nie sądzisz, że należą mi się oklaski? Słowa uznania? Wiesz, ile się namęczyłam, żeby mój plan zakończył się sukcesem? Codziennie każde opakowanie wsadzałam do kuchenki mikrofalowej na dwadzieścia sekund. - Podniosła rękę, by jej nie przerywał. - Nie dłużej, boby się stopiło. Dwadzieścia sekund wystarcza, aby zmieniła się struktura cząsteczkowa gumy. To są drobne zmiany, ale codziennie po kawałeczku, i dochodzi się do stanu idealnego. I wtedy o pęknięcie nietrudno.

Otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu zabrać głosu.

- Nie, poczekaj, zaraz dojdę do końca. No więc miesiącami knułam, czekałam, modliłam się. Mogłam wcześniej zastawić sidła. Ale nie chciałam złapać byle jakiego bogacza. To musiałeś być ty. Nikt inny, tylko ty.

Znów usiłował jej przerwać. Bezskutecznie.

- No i cię uwiodłam. Codziennie wpadałam do twojego biura, siadałam i gapiłam się w ciebie ... - Nagle urwała. - Nie, nie, zaraz. To nie ja wpadałam do ciebie, tylko ty do mnie. I nie ja się gapiłam, ale ty.

Zmarszczył czoło. Faktycznie jest tak, jak mówiła. Czuł się coraz bardziej niezręcznie.

- Holly ...

Ale ona jeszcze nie skończyła.

- Kiedy wreszcie nadszedł ten długo wyczekiwany moment, postarałam się, żebyś wybrał najcieńszą prezerwatywę. Nie mogłam zdać się na los, bo co by było, gdybyś wybrał inną, która by nie pękła? Potem należało cię tylko zmusić do ,seksu. Gdybyś nie chciał się ze mną kochać, gotowa byłam przyłożyć ci broń dó skroni. No ale na szczęście obyło się bez tego.

Wpadłeś prosto w moje sidła.

- Bardzo śmieszne - warknął Parker.

- No co? Twoja wersja jest lepsza? - spytała gniewnie. - Bardziej logiczna? A niby dlaczego?

Bronił się przed wyrzutami sumienia. Nie chciał się usprawiedliwiać ani analizować, które z nich ma rację. Wolał, by wszystko zostało tak jak jest. Żeby mógł dalej sobie wmawiać, że kolejna kobieta go oszukała, zawiodła jego zaufanie. Wiedział, że musi wyjść, zostać sam ze swoimi myślami, nie patrzeć na te ziejące furia piękne oczy ...

- Mam tego dosyć. Wychodzę.

- Właśnie zamierzałam cię o to poprosić.

Unosząc narzutę, minęła go i energicznym krokiem skierowała się korytarzykiem do salonu. Parker ruszył za nią.

- Jeszcze jedno. Jeśli dzisiejszy incydent zakończy się ciążą, możesz być pewien, Parker, że niczego od ciebie nie będę się domagała.

- Akurat.

Obróciła się na pięcie i popatrzyła mu w oczy. Dygotała z wściekłości, a jednocześnie przepełniał ją ogromny żal. Tak cudownie się wszystko zaczęło. Nie rozumiała, co się stało, dlaczego teraz z sobą walczą.

Tego wieczoru miała wrażenie, że łączy ich coś więcej niż seks. Że są sobie bliscy psychicznie, emocjonalnie. Cóż, znów się pomyliła.

- Wiedz, że sprawiłeś mi ogromny ból- oznajmiła chłodno. - Tym większy, że w twoich słowach nie ma żdźbła prawdy. Któregoś dnia to zrozumiesz. Zrozumiesz też, jakim byłeś dupkiem. Wtedy będziesz chciał mnie przeprosić, ale ... - otworzyła szeroko drzwi - na przeprosiny będzie za późno.

Milczał. Wydawało się jej, że zamierza coś powiedzieć, lecz najwyraźniej zmienił zdanie, bo po chwili odwrócił się i opuścił jej mieszkanie. Stojąc w progu, słyszała stukot kroków na schodach, a potem trzask zamykanych drzwi.

Wzdychając ciężko, cofnęła się w głąb mieszkania, przekręciła klucz w zamku i oparła się plecami o solidne drewniane drzwi. Łzy napłynęły jej do -oczu. Zacisnęła powieki. Zastanawiała się, jak ona to robi. Dlaczego zawsze wybiera mężczyzn, przez których płacze? Którzy ranią ją do bólu? Dlaczego się przed tym nie broni? Dlaczego raz po raz powtarza stare błędy?

Przyłożyła rękę do brzucha. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Nagle otworzyła oczy i wbiła je w sufit. Pęknięta prezerwatywa ... Czyba nie zaszła w ciążę?

Nie, na pewno nie.

Nie może tak być, żeby wszystko się przeciw niej sprzysięgło.

- Opuścił znajdujący się w Garden District dom panny Carlyle o godzinie ... - prywatny detektyw zajrzał do notatek - trzeciej czterdzieści trzy nad ranem i pojechał prosto do siebie. Kilka

godzin później udał się do swojego biura w firmie Jamesów.

Frannie odchyliła się na fotelu w stylu Ludwika XIV i zmrużywszy oczy, przyjrzała się siedzącemu naprzeciw niej starszemu mężczyźnie. Antoine Martin pracował niegdyś w policji nowo orle ańskiej. Cztery lata temu, po przejściu na emeryturę, założył prywatne biuro detektywistyczne, które polecili Frannie jej przyjaciółka Justine, a także kilka innych osób. Facet cieszył się opinią człowieka dyskretnego, dokładnego, który szybko osiąga wyniki.

Oczywiście wiadomości, które dla niej zdobył, nie wprawiły Frannie w wyśmienity humor. Ale i tak była mu wdzięczna. Potrzebuje jak najwięcej informacji o swoim mężu, jeśli zamierza pozostać jego żoną.

Uznała, że rozwód jest wykluczony.

- Doskonale. - Uśmiechnęła się do detektywa, który nie spuszczał z niej swoich niebieskich oczu. - Chciałabym, żeby pan śledził teraz rudą.

- To znaczy pannę Cadyle?

- Tak. - Machnęła lekceważąco ręką, jakby nie interesowało jej nazwisko kobiety, u której Parker spędził noc. - Proszę ją obserwować, a potem zdać mi relację, dokąd chodzi, z kim się spotyka, co porabia, kiedy nie występuje. Chciałabym wiedzieć o niej wszystko, poznać jej przeszłość, teraźniejszość i plany na przyszłość.

- Rozumiem. - Mężczyzna wstał, schował telefon do kieszeni marynarki i skierował się do drzwi. - Za kilka dni otrzyma pani dokładny raport.

- Bardzo dobrze. - Skinąwszy na pożegnanie głową, podniosła do ust filiżankę z porcelany miśnieńskiej i wypła maleńki

ły czek herbaty.

- Trzeba było trzymać się od niego z daleka oznajmiła Shana, przyglądając się uważnie swojej młodej przyjaciółce.

- Trzeba było. Wiem. - Holly sięgnęła po świeżo usmażony gorący placek kukurydziany, ugryzła kawałek i wzniosła oczy do nieba. - Pycha! Shano, jesteś najlepszą kucharką pod słońcem.

- Mówisz tak za każdym razem, kiedy chcesz zmienić temat.

- To prawda. - Holly zajęła swoje stałe miejsce przy stole w kuchni Rayesów. - Czy ty musisz być aż tak spostrzegawcza?

- Muszę. - Shana postawiła na stole kopiasty półmisek placków i usiadła naprzeciwko Holly. - Wystarczy, że na ciebie spojrzę, i już wiem, że coś jest nie tak.

Holly wbiła wzrok w blat stołu. Chcąc opóźnić rozmowę na temat Parkera, chwyciła kolejny placek i zaczęła go skubać. Wcale nie kłamała. Placuszki kukurydziane w wykonaniu Shany były rewelacyjne.

- Czasami masz zbyt dobrą intuicję, wiesz?

- No cóż .. : - Starsza kobieta skrzyżowała ręce na piersi.

Posiadała wprost bezbrzeżną cierpliwość. W ciągu ostatnich kilku lat Holly miała niejedną okazję, by się o tym przekonać.

Shana potrafiła przeczekać każdego. Prędzej czy później nawet największy mruk czy introwertyk zaczynał opowiadać jej o swoim życiu.

Po prostu minęła się z powołaniem. Powinna była zostać policjantką; nierozwiązane zagadki kryminalne przestałyby istnieć. Swoją cierpliwością i świdrującym spojrzeniem umiałyby zmusić do zeznań najbardziej zatwardziały przestępców.

- Spałaś z nim?

- Tak, chociaż samego spania było raczej niewiele - przyznała smętnie Holly.
- A dziś uważasz, że popełniłaś błąd.
- I to jaki! - Odchyliwszy się na krześle; wsadziła do ust resztkę placka.
- Nie jesteś pierwszą kobietą, która popełnia błąd, idąc do łóżka z przystojnym mężczyzną.
- Wiem.
- Ale pamiętaj, Parker to nie Jeffrey.

Mimo że znały się tyle lat, przenikliwość starszej kobiety ciągle Holly zdumiewała.

- Shano, twoja intuicja czasem mnie poraża. Żona Tommy'ego odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się wesoło, swoim niskim gardłowym śmiechem otulając Holly niczym ciepłym kocem. Holly poczuła, jak spływa na nią spokój. Z kuchnią, w której siedziały, wiązało się tyle wspomnień. Było to miejsce rodzinnych spotkań. Tu się śmiała do rozpuku i tu wylewała wiadra łez ..

Zawsze w tych spotkaniach uczestniczyła Shana; ona była najważniejszym świadkiem zarówno chwil radosnych, jak i smutnych.

- Nie ma się czemu dziwić, skarbie. Matka zwykle wie, kiedy jej dziecko cierpi. Albo kiedy ktoś wyrządza mu przykrość. Mimo tego, co się wczoraj wydarzyło, Holly poczuła się lepiej.
- Wiem, że Parker to nie Jeff - rzekła cicho. - Ale strasznie się wczoraj pokłóciłyśmy ... to znaczy, już po wszystkim. Stało się coś, czego żadne z nas nie przewidziało. No i Parker się na mnie zezłościł. Kiedy zaczął krzyczeć, ja się na niego wściekłam. A potem wyszedł.

- Rozumiem. Więc myślisz, że to kolejny palant, taki jak Jeff? Że cię uwiódł, wykorzystał i porzucił?
- Nie! - Holly zadumała się. - Przyznaję, tak myślałam wczoraj. Ale dziś już wiem, że to nieprawda.
- To dobrze. Instynkt na ogół nas nie zawodzi. Warto się nim kierować.
- Mój jest diabła wart. Do samego końca wierzyłam, że Jeff mnie kocha.
- Bo miałaś na oczach klapki. Marzyłaś o miłości, czekałaś na księcia z bajki ...
- A teraz?
- Teraz nie szukałaś miłości, a jednak ją znalazłaś. Holly wytrzeszczyła oczy. - O czym ty mówisz?
- O miłości. Że się zakochałaś.
- Nonsens!

Poderwała się z krzesła jak oparzona. Serce waliło jej jak młotem, krew pulsowała w żyłach. Przyłożyła rękę do brzucha, jakby chciała uspokoić rozedrgane nerwy.

Oczywiście ręka na brzuchu wcale jej nie uspokoiła. Przeciwnie, skojarzyła się Holly z inną ręką, która gładziła ją tam wczorajszej nocy.

Zaczęła chodzić. Obcasy stukwały rytmicznie o kuchenne linoleum, kiedy energicznym krokiem maszerowała do zlewu, wykonywała obrót, wracała do stołu. Chodzenie pomagało. Z walącym sercem, z głową nabitą myślami, krążyła tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce. Shana obserwowała ją w milczeniu. Czekala, aż Holly uporządkuje myśli i sarna znajdzie odpowiedzi na trapiące ją pytania.

Wreszcie Holly stanęła. Oparła się ciężko o blat, jakby nie miała

siły utrzymać ciała w piome.

- Nie chcę go kochać - powiedziała w końcu płaskim, bezbarwnym głosem.

- Rozumiem.

- Mówię poważnie, Shano. Jest bogaty i potwornie irytujący. Wczoraj wściekł się na mnie z powodu czegoś, co nie było moją winą. Żadne argumenty do niego nie trafiały. Powiedział kilka bardzo nieprzyjemnych rzeczy.

- A ty się nie broniłaś, po prostu stałaś jak niemowa, przyjmując na siebie ciosy?

- No nie. - Holly uśmiechnęła się pod nosem. - Też się wściekłam. Ale, Shano, oskarżenia, które rzucał... to było takie nielogiczne. Twierdził, że próbuję zastawić na niego pułapkę ...

- Skrzywiła się. - Zupełnie jakby był obiektem pożądania wszystkich kobiet w Nowym Orleanie.

- A próbowałaś? To znaczy, zastawić pułapkę?

- Oczywiście, że nie!

- Więc dlaczego słowa, które wypowiedział w złości, tak bardzo bierzesz sobie do serca? Dlaczego pozwalasz, żeby one przyćmiły ci prawdziwy obraz człowieka?

- Bo ten człowiek zachował się jak idiota! - Dudniła palcami o kuchenny blat.

- Zgadza się. Ale jeśli szukasz kogoś, kto nigdy nie popełnia błędów, to obawiam się, że długo będziesz samotna.

- Może wolę być samotna.

- Sarna w to nie wierzysz - stwierdziła Shana.

- Byłoby mi łatwiej. - Na moment Holly zamilkła. - Boże, myślałam, że on jest inny.

Skrzyżowała ręce na piersi, jakby usiłowała osłonić się przed bólem. Wciąż widziała Parkera patrzącego na nią z oskarżeniem w oczach. Wciąż słyszała jego zagniewany głos i pełne jadu

słowa, jakie kierował pod jej adresem.

Skrzywdził ją. Chociaż nie chciała się do tego przyznać, swoim zachowaniem sprawił jej potworny ból.

- Myślałaś, że jest inny, ale gdzieś z tyłu głowy porównywałaś go do mężczyzn, z którymi się wcześniej spotykałaś.

- Chyba tak.

- Może on robił to sarno.

- Nie sądzę, żeby spotykał się z mężczyznami.

- Dowcipy się ciebie trzymają ...

Holly utkwiała spojrzenie w ciemnych oczach przyjaciółki.

- Jesteś po jego stronie.

- Nieprawda. - Shana wstała od stołu, podeszła do młodszej kobiety i przytuliła ją mocno. - Jestem po twojej. Jak zawsze. Po prostu chcę ci uzmysłwić, że twoje uczucia są bardziej skomplikowane, niż sądzisz. Złość, która cię dławi, wypływa również z dawnych doświadczeń. Z krzywdy, jaką Jeff ci wyrządził.

- Jeff to przeszłość.

- Niezupełnie. - Shana zacisnęła dłonie na policzkach Holly. -

Owszem, znikł z twojego życia, już go nie kochasz, ale odcisnął na tobie bolesne piętno. Sprawił, że w sobie zwątpiłaś. Że do wszystkich zaczęłaś odnosić się podejrzliwie, doszukiwać się w ich zachowaniu ukrytych pobudek.

- Może faktycznie ...

- Jeśli innych mężczyzn będziesz porównywać z Jeffem, to znaczy, że się od niego nie uwolniłaś. Że pozwalasz, aby ci dyktował, jak masz żyć i co czuć.

Wzdychając ciężko, Holly oparła głowę na ramieniu

przyjaciółki.

- Nienawidzę, kiedy masz rację.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

We wtorek rano Parker wciąż czuł się tak, jakby balansował nad przepaścią.

Od sobotniej nocy, kiedy pó kłótni z Holly opuścił jej dom, nie był w stanie normalnie funkcjonować. Na samo wspomnienie słów, które wtedy padły, robiło mu się słabo. Żałował, że nie ugryzł się w język. Wiele by dał, by móc cofnąć czas, by tamten wieczór miał inne zakończenie.

Rzucił się w wir pracy. Cały poniedziałek od rana do późnego popołudnia spędził w rodzinnej firmie, a wieczorem doglądał spraw z klubie. Kiedy zmęczony wrócił do domu i położył się spać, przyśniła mu się Holly.

We wtorek znów siedział w gabinecie, przekładając papiery Z kąta w kąt. Wpatrywał się w wydrukowany tekst, ale widział jedynie czarne, niewyraźne smugi na białym tle. Do diabła, jak ma się skupić na czymkolwiek, kiedy stale widzi przed oczami" twarz Holly, twarz, na której maluje się wyraz zdumienia, bólu, złości?

Gdyby mógł, sprząłby się po pysku.

Odłożył na bok dokumenty, odchylił się w fotelu i przestał udawać, że pracuje. Cholera jasna! Źle postąpił tamtego wieczoru. Zachował się jak

dureń. Owszem, prezerwatywa pękła, ale przecież Holly tego

nie zaplanowała. Rozum mu mówił, że Holly nie jest wredną, podstępą intrygantką, jak Frannie. Ale serce nie do końca chciało w to wierzyć.

Winien był Holly przeprosiny, jednakże bał się z nią spotkać. Bał się dlatego, że nadal jej pragnął. Swoją drogą po tym wszystkim, co powiedział tamtej nocy, podejrzewał, że ona nie zgodzi się na żadne spotkanie. I wcale jej się nie dziwił.

W stał z fotela i wyjrzał przez okno na bezkresny błękit wody ciągnący się aż po horyzont. W oddali na niebie gromadziły się ciemne chmury burzowe; skojarzyły mu się z wojskiem, które zwiera szeregi przed przystąpieniem do ataku. Wzburzone fale waliły w kadłuby statków płynących do portu. Zbiera się na sztorm, pomyślał Parker.

W nim samym też kipiały różne emocje. Od dziesięciu lat był mężem kobiety, która kłamała jak z nut. Nauczył się do wszystkiego podchodzić z nieufnością. Niełatwo jest zmienić swoje przyzwyczajenia.

Zmienić przyzwyczajenia? Nie był pewien, czy to mądry krok. Chyba ma prawo być ostrożny? Dmuchać na zimne? Chronić swoje zranione serce? - Jakież ponure myśli chodzą ci po głowie? Parker odwrócił się zaskoczony, po czym uśmiechnął się do ojca. Kemper James, niski mężczyzna z okazałym brzuchem i przyjaznym uśmiechem, wszedł do pokoju, trzymając ręce w kieszeniach.

- Zgadłeś.

- Chodzi o Frannie? - Potrząsnąwszy smutno głową, starszy pan usiadł w jednym z foteli naprzeciw biurka i westchnął głośno. -

To był błąd, Parker. Twoja matka i ja nie powinniśmy byli nalegać, żebyś poślubił tę kobietę. Oboje bardzo żałujemy, że zmusiliśmy cię do tego kroku.

Starając się powściągnąć emocje, które w nim buzowały, Parker zajął z powrotem miejsce przy biurku.

- Nie zdawaliście sobie sprawy, tato, że tak się wszystko potoczy. Poza tym niesłusznie chcesz wziąć całą winę na siebie. W końcu mogłem się nie zgodzić.

- Ale tego byś nie zrobił. Wiedziałem, że nie odmówisz. - Zmarszczył czoło. - Na swoją obronę mam tylko jedno: szczerze wierzyłem, że wszystko się dobrze ułoży. Że i ty, i Frannie będziecie szczęśliwi. Popatrz na mnie i twoją matkę: nam się udało.

- Wiem. - Parker rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Tak, popełniliśmy duży błąd.

- Teraz to już nie ma znaczenia.

- Ależ ma, synu, ma. Matka bardzo się o ciebie martwi.

Twierdzi, że chodzisz smutny, a ona nie wie, jak ci pomóc.

- Powiedz jej, żeby się mną nie przejmowała.

- Równie dobrze mógłbym kazać gwiazdom, żeby przestały świecić.

- No tak. - Parker odchylił się w fotelu, wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. - Nie mówię, że mi było z Frannie łatwo. Ale teraz wszystko się zmienia. Powoli, stopniowo. Jest dobrze, tato. A kiedy uzyskam rozwód, będzie świetnie.

- Mam nadzieję.

Parker też miał taką nadzieję. Mimo że w rozmowie z ojcem starał się brzmieć przekonująco, wcale nie był pewien, czy

rozwód z Frannie rozwiąże wszystkie jego problemy. Jeszcze nie tak dawno temu sądził, że w dniu rozvodu stanie się nowym, szczęśliwym człowiekiem. Teraz wątpił, czy bez Holly będzie potrafił cieszyć się życiem.

Psiakość!

- Jak twój klub? - spytał starszy pan, wyrywając syna z zadumy.
- Ludzie walą drzwiami i oknami. - Na samą myśl o klubie Parker uśmiechnął się z rozmarzeniem. ~ Powinniście z mamą wpaść i posłuchać dobrej muzyki.

Kemper James pokiwał głową. - Byliśmy na otwarciu.

- Tak? - Słowa ojca zaskoczyły Parkera. - Nie widziałem was.
- Nic dziwnego. Nie mogłeś oderwać oczu od tej rudowłosej wokalistki, Holly Carlyle. Przyszliśmy mniej więcej w połowie jej występu. Ale nie podchodziliśmy do ciebie, bo nie chcieliśmy ci przeszkadzać.

- Cieszę się, że wpadliście, tato. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- A ta dziewczyna ... Ona jest naprawdę dobra.

- Jest fantastyczna.

- Dlaczego mówisz to tak ponurym tonem?

- Och, to skomplikowane - odparł Parker.

Jako wokalistka jazzowa Holly rzeczywiście nie miała sobie równych, dlatego ją pochwalił, a że ponurym tonem ...

- Ciekawe.

Parker czuł na sobie świdrujące spojrzenie ojca, ale nie chciał zwierzać mu się ze swych problemów. Najpierw musi uporać się z różnymi sprawami. Z samym sobą.

- Błagam, tato, nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- A wyciągam?

Parker zaśmiał się pod nosem. - Boże, co za uparciuch!

- Chłopcze, nie każ się prosić. Powiedz swojemu staruszkowi, co się dzieje.

- Jeszcze nie teraz, tato. - Parker wstał z fotela. - Najpierw muszę przemyśleć kilka spraw, uporządkować bałagan, jaki mam w głowie.

- W porządku. Rozumiem. Ale ... - Starszy pan wymierzył w syna palec wskazujący. - Ale jak już sobie wszystko w niej poukładasz, wtedy porozmawiamy, tak?

- Obiecuję.

- Dobra, trzymam cię za słowo. - Kemper James oparł ręce na kolanach i z cichym jękiem dźwignął się na nogi. - Wracam do roboty. Niedługo mam spotkanie z nowym dystrybutorem i ...

- Tato, poczekaj. - Parker podjął decyzję. Od dawna do niej dojrzywał i nagle uświadomił sobie, że nadeszła odpowiednia chwila, że nie ma sensu dłużej czekać. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Co takiego?

Wziął głęboki oddech.

- Chcę zrezygnować z pracy w firmie.

- Słucham? - Ojciec popatrzył na niego zdumiony.

Wiedział, że nie powinien tak zaskakiwać staruszkę, bez żadnego ostrzeżenia mówić o odejściu z firmy, ale ulga, jaką poczuł, uzmysłowiła mu, że zbyt długo się wstrzymywał, że znacznie wcześniej należało odbyć tę rozmowę. Kochał to miasto; chciał w nim żyć i pracować. Ale musiał podążać własną drogą, a nie, jak dotychczas, śladami wytyczonymi przez przodków. Tym bardziej że handel kawą nigdy go tak naprawdę nie pociągał.

- Już długo się noszę z tym zamiarem, tato. - Rozejrzał się po gabinecie. - Nie nadaję się do tej pracy.

- Dlaczego tak mówisz? Przecież świetnie sobie radzisz.

- Dzięki, ale ... Po prostu praca w rodzinnej firmie nigdy nie sprawiała mi satysfakcji.

- Chodzi o Frannie, prawda?

- Częściowo. Jeśli odejdę, będzie to z korzyścią dla wszystkich.

- Nie bardzo rozumiem.

Popołudniowe słońce wysunęło się zza chmur, zalewając gabinet złocistym światłem. I właśnie w tym świetle Parker po raz pierwszy spostrzegł, że ojciec się starzeje. Zaczesane do tyłu siwe włosy stawały się coraz rzadsze, a zmarszczki w kącikach oczu i ust coraz głębsze.

Przyglądając się staruszkowi, poczuł ucisk w sercu. Starał się nie myśleć o tym, że kiedyś rodzice umrą i zostanie sam. Czas płynął nieubłaganie. W dodatku piekielnie szybko. Zanim się człowiek obejrzy, mija kolejny rok. Dlatego nie wolno odkładać na później decyzji, do których się dojrzało. Życie jest zbyt krótkie, aby wykonywać rzeczy bezsensowne lub takie, do których się nie ma przekonania.

Parker obszedł biurko i objął ojca za ramię.

- Tato, Frannie się nie podda. Będzie próbowała zagarnąć wszystko, co tylko się da. Dobrze o tym wiesz.

Kemper James mruknął coś pod nosem.

- Znajdzie sposób, aby nas maksymalnie wycisnąć. Tak długo, póki będę częścią rodzinnej firmy, ona będzie walczyć o udział w zyskach.

- Prawnicy sobie z nią poradzą.

- Pewnie tak. Ale to się będzie ciągnąć miesiącami. - Na

moment zamilkł, po czym zdjął rękę z ramienia ojca. -
Pomijając wszystko inne, tato, po prostu chcę odejść. Chcę
uzyskać rozwód i uwolnić się od Frannie. Chcę zostawić za sobą
przeszłość i rozpocząć nowe życie. To dla mnie bardzo ważne.

Przez minutę czy dwie starszy pan przyglądał się bez słowa
synowi. Wreszcie pokiwał głową.

- Czyli na twoją decyzję złożyła się nie tylko pazerność
Frannie?

- Nie tylko, tato.

Kemper James ponownie skinął głową.

- Przyznam ci się, że nie cieszy mnie to, co postanowiłeś, ale
chyba od początku miałem świadomość, że twoja siostra
znacznie bardziej interesuje się sprawami firmy niż ty.

- To prawda. - Parker roześmiał się głośno. - Miranda broniłaby
się rękami i nogami, gdyby ktoś próbował ją stąd wyrzucić.

- Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału swoimi pomysłami.
Codziennie ma jakieś nowe plany dotyczące rozwoju firmy,
rozszerzenia asortymentu ... - Starszy pan westchnął i udając
zniecierpliwionego, wznosił oczy do nieba, ale widać było, że
jest dumny z córki.

- Miranda uwielbia tę pracę, tato. A ja nie.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent.

- Wiesz, chłopcze, nawet nie jestem zdziwiony twoją decyzją.

Rozczarowany tak, ale nie zdziwiony. - Kemper poklepał syna
po plecach. - No dobra - dodał znacznie pogodniejszym tonem.

-Później się zajmujemy robotą papierkową, a teraz zmykaj stąd.

W klubie na pewno czeka cię sporo pracy.

Holly stała z tyłu sali, starając się spowolnić oddech. Miała na
sobie obcisłą czarną suknię, która idealnie podkreślała jej

zgrabną figurę. W jej uszach połyskiwały długie srebrne kolczyki, a dekolt zdobił wiszący na srebrnym łańcuszku kryształowy wisiorek w kształcie łezki.

Dużo czasu spędziła przed lustrem. Zależało jej na tym, by swoim wyglądem olśnić wszystkich, zwłaszcza Parkera.

Chciała, żeby na jej widok padł trupem. A przynajmniej by zaniemówił z wrażenia. Dla własnego dobra. Bo jeśli dziś wieczorem znów zacznie wygadywać bzdury, że zastawiła na niego pułapkę, to ... wtedy za siebie nie ręczy.

Na samo wspomnienie ostatniej rozmowy zaczęła dygotać ze zdenerwowania. Aby się uspokoić, wzięła głęboki oddech, jeden, drugi, trzeci. Boże, była wtedy taka wściekła. Nie mieściło się jej w głowie, że człowiek, z którym przed chwilą się kochała, mógł ją tak strasznie zranić. Z tej wściekłości i żalu nie potrafiła jasno myśleć.

Przez kilka dni się nie widzieli; chyba obojgu im to dobrze zrobiło. Ale dziś przyszła do klubu. Wiedziała, że nie może dłużej unikać Parkera.

Shana miała rację. Trzeba uważać, aby zachowanie jednego mężczyzny nie wpłynęło na nasz osąd całego rodzaju męskiego. Ból po odejściu Jeffa już dawno minął. W nocy z soboty na niedzielę czuła wyłącznie złość na Parkera.

W ciągu ostatnich paru dni sporo myślała. Zastanawiała się, czy na słowa, które wypowiedział Parker, nie miały przypadkiem wpływu doświadczenia z jego przeszłości. Małżeństwo z Frannie na pewno nie należało do łatwych i przyjemnych. Jeżeli mężczyzna przyzwyczajony jest do tego, że żona go bez przerwy okłamuje, to przypuszczalnie spodziewa się, że wszystkie kobiety kłamią.

Holly potarła punkt na czole między brwiami.

Głowa pękała jej z bólu.

Salę wypełniały ciche dźwięki jazzu oraz przytłumiony szmer rozmów. Niebieskawe światło reflektorów skierowane na scenę oddzielało muzyków od gości przy stolikach. Wzdychając ciężko, Holly oparła się plecami o chłodną ścianę. Przeniknął ją ziąb.

Ale na widok kolejnego wykonawcy zrobiło się jej gorąco, albowiem na scenę wszedł Parker z saksofonem altowym w ręku. Obrócił się w stronę muzyków, posłał im uśmiech, po czym przyłożył instrument do ust i zaczął grać. Wiązka niebieskawego światła padała prosto na niego, dookoła zaś panował gęsty mrok.

Holly poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Stała bez ruchu, wpatrzona w scenę. Blask reflektorów podkreślał czerń włosów Parkera. Skupiony na graniu, zamknął oczy. W tym momencie na Holly spłynął dziwny spokój.

Wie, co ma zrobić.

Zaczęła nucić w myślach. Czekwała, aż muzyka ją przepelni, nada ciału odpowiedni rytm. Kiedy to się stało i poczuła, że piosenka wypływa z jej serca, zaczęła śpiewać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Jej głos wznosił się i opadał, towarzysząc dźwiękom saksofonu. Siedzący przy stolikach ludzie obracali głowy, szukając wzrokiem ukrytej w ciemności wokalistki.

Kołysząc zmysłowo biodrami, Holly ruszyła w kierunku sceny. Witają ją oklaski, ale ona ich nie słyszała, oraz przyjazne uśmiechy, których nie widziała. Szła przed siebie, zapatrzona w saksofonistę.

W Parkera.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale nie zwracała na nie uwagi. Nogi miała jak z waty, ale na szczęście niosła ją muzyka.

Nie przerywając grania, bacznie się jej przyglądał, gdy wolno zbliżała się ku scenie. Podziwiała go: ani na moment nie stracił

koncentracji. Czuła na sobie nie tylko świdrujące spojrzenie Parkera, ale również bijący od niego żar. Nie wiedziała jedynie, czego ten żar jest wyrazem: gniewu czy pożądania.

W tym momencie było jej wszystko jedno. Nie potrzebowała mikrofonu - jej silny głos docierał do najdalszych zakamarków klubu. Przeciskając się między stolikami, gładziła lśniące blaty i od czasu do czasu uśmiechała się, bardziej do własnych myśli niż do zasłuchanych gości. Kiedy wreszcie dotarła na scenę i stanęła koło Parkera, poczuła, że tu, przy tym mężczyźnie, jest jej miejsce.

Razem dokończyli utwór, po czym przeszli płynnie do następnego. Siedzący z boku muzycy niemal stawali na głowie, by dotrzymać im tempa. Byli młodzi, mało doświadczeni. Przypomniała sobie, co Parker mówił: że głównie zamierza zapraszać lokalnych wykonawców; że chce im dać szansę, by zaprezentowali swoje zdolności i zachwycili słuchaczy.

W połowie kolejnego utworu Holly pochyliła się w stronę Parkera, tak by jej głos zlewał się z dźwiękiem saksofonu. W końcu zaległa cisza, którą po chwili przerwał huragan braw. Przez dobrą minutę stali na scenie w blasku światła, słuchając oklasków, lecz widząc tylko siebie.

- Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę - powiedział Parker, wchodząc za ladę po dwie butelki zimnej wody.

Jedną podał Holly, drugą podniósł do ust.

- Nie? Dlaczego? Przecież zaproponowałeś mi pracę. Trzy wieczory w tygodniu, prawda?

- Zgadza się.

- No i wtorek to jeden z tych dni, kiedy nie występuję w Marchandzie.

- Poniedziałek też był jednym z tych dni. A także niedziela. A

jednak nie przyszedł do Groty .

Skinąwszy głową, wypila łyk wody, po czym odstawiła butelkę.

- To prawda - przyznała. - Potrzebowałam kilku dni, żeby ochłonąć. Bo wcześniej miałam ochotę rozkwasić ci nos.

Oparł łokcie o ladę.

- Wcale ci się nie dziwię.

- No proszę. - Uśmiechnęła się drwiąco.

Westchnął.

- Słuchaj, tamtego wieczoru ... powiedziałem kilka takich rzeczy

...

- Powiedziałeś bardzo wiele rzeczy.

- Nie zamierzasz mi tego ułatwić?

- A uważasz, że powinnam?

- Nie - przyznał. - Masz rację. Holly ... zachowałem się jak ostatni kretyn. Strasznie mi wstyd. Nie powinienem był mówić tego wszystkiego.

Za jej plecami rozbrzmiewały rozmowy i śmiech. Powietrze wypełniał intensywny zapach kawy oraz obtaczanych w cieście i smażonych na głębokim tłuszczu owoców i warzyw. Zespół muzyczny akurat miał przerwę, ale do klubu muzyka wpływała prosto z ulicy.

- Hm ...- Holly zmarszczyła z namysłem czoło. - Trudno to uznać za przeprosiny ...

Faktycznie, nie były to przeprosiny, lecz prawdę rzekłszy, nie liczyła na nie. Nawet nie liczyła na to, że zdoła spokojnie porozmawiać z Parkerem. Sądziła, że przyjdzie, zaśpiewa, a potem że Parker urządzi jej awanturę o to, iż ośmieliła się w klubie pojawić.

Może byłoby prościej, gdyby nie przyszła, gdyby pozwoliła, aby czas zatarł niemiłe wspomnienia. Ale nigdy nie należała do

osób, które idą na łatwiznę.

- Holly ... - Wyciągnął do niej rękę, po czym zreflektowawszy się, zacisnął pięści. Podejrzewał, że po bólu, jaki jej sprawił, nie będzie zadowolona z jego dotyku. - Nie mogę cię przeprosić za to, co pomyślałem. Ale żałuję, że wypowiedziałem swoje myśli na głos.

Innymi słowy, dziś nadal myśli tak samo jak w sobotę. Że wszystko zaaranżowała, że chce wrobić go w ojcostwo. Zrobiło jej się ciężko na sercu, ale nie zamierzała zdradzać Parkerowi swoich uczuć. Postanowiła, że odtąd będzie go traktować chłodno i obojętnie, jak znajomego z pracy. I że w przyszłości musi się bardziej chronić, być bardziej nieufna.

- Cieszę się, że tu przyszedłeś - oznajmił dziwnym tonem, jakby mówienie sprawiało mu wysiłek.

- Dlaczego? Dlaczego cieszy cię moja obecność, skoro wciąż wierzysz w te wszystkie bzdury? - Bo ... bo mi ciebie brakowało.

- No proszę. - Mimo bólu w sercu uśmiechnęła się pod nosem.

- Nie spodziewałem się, że spotkam kogoś takiego jak ty.

Barmanowi, który chciał podejść, posłał ostrzegawcze spojrzenie. Młodzieniec pośpiesznie oddalił się na drugi koniec baru.

- Nie szukałem kobiety - ciągnął po chwili z posępną miną. - Chciałem uwolnić się od Frannie i naprawdę nie interesował mnie żaden kolejny związek.

- Zgoda, Parker. Ale dlaczego uważasz, że mnie interesował? Że upatrzyłam sobie ciebie i zarzuciłam sieci?

Zmarszczył czoło.

- Wcale tak nie uważam.

- Jak to nie? - Zniżyła głos, żeby nikt przypadkiem nie podsłuchał ich rozmowy. - Jasno dałeś mi to do zrozumienia. Uważasz, że zastawiłam na ciebie sidła, że gromadziłam w domu stare prezerwatywy w nadziei, że kiedyś uda mi zwabić cię do mojego mieszkania i zmusić, abyś się ze mną kochał.

W jego oczach pojawił się wyraz zawstydzenia. - Możesz przestać się bać, Parker. - Poklepała go protekcyjnie po rękę, po czym podniosła do ust butelkę z wodą. - Niczego od ciebie nie chcę. Nie interesuje mnie twój majątek, twoja pozycja społeczna ani twoje nazwisko. Jedyne, na czym mi zależy, to praca, którą mi zaproponowałeś.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego chcesz u mnie pracować, skoro wciąż jesteś na mnie taka wściekła?

- To nie twój interes - odparła z zaciętą miną. Widziała, że Parker ledwo nad sobą panuje. - To co? Czy twoja oferta jest nadal aktualna?

- Tak.

- To dobrze. - Przełknęła ślinę, po czym odchrząknęła. - A więc przychodzę trzy razy w tygodniu. W niedziele, poniedziałki i wtorki. Śpiewam. Staram się przyciągnąć do klubu klientów, a ty mi w każdy wtorek wypisujesz czek. Jesteś moim szefem, ja pracującą w klubie wokalistką. To wszystko. Odtąd nasze kontakty będą ograniczone wyłącznie do sfery zawodowej.

Zgoda?

- Zgoda.

- No to świetnie. - Wręczyła mu swoją butelkę wody, przetarła ręce o sukienkę, wygładziła materiał na biodrach, następnie odrzuciła w tył włosy. - Skoro to uzgodniliśmy, pójdę sprawdzić, czy chłopcy są gotowi.

- W porządku.

Zeskoczywszy ze stołka, popatrzyła na Parkera. Jego niebieskie oczy lśniły groźnie, usta miał gniewnie zaciśnięte. Poczowała złośliwą satysfakcję. Może nie najlepiej to o niej świadczy, ale nigdy nie twierdziła, że jest aniołem.

W dodatku ma w zanadru jeszcze kilka spraw, które postanowiła mu wygarnąć.

- Pomyliłeś się - oznajmiła, potrząsając głową. W srebrnych kolczykach, które sięgały niemal ramion, zamigotały refleksy światła. - Wszystko, co o mnie powiedziałeś, jest nieprawdą.

Stanął w lekkim rozkroku, jakby dla zachowania równowagi, i skrzyżował ręce na piersi.

- Na pocieszenie zdradzę ci, że bardzo chciałbym odkryć, że się pomyliłem.

Ogarnęła ją złość. Najwyraźniej oszukiwała się, myśląc, że Parker już nie może sprawić jej przykrości.

- Kiepskie to pocieszenie - mruknęła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W sobotę od rana chodził spięty. Liczył na to, że w ciągu dnia czy dwóch wzburzone emocje opadną, lecz tak się nie stało.

Nie rozumiał, dlaczego stale rozmyśla o Holly. Dlaczego

przejmuje się kłótnią, do jakiej między nimi doszło.

Cholera jasna, powinien być pijany ze szczęścia. Udało mu się doprowadzić do otwarcia klubu, o jakim marzył od dzieciństwa. Pożegnał się z rodzinną firmą; musi tylko wdroić swego następcę. A według prawników naj dalej w ciągu dwóch miesięcy otrzyma rozwód z Frannie. .

Więc dlaczego, do diaska, nie promienieje szczęściem?

Zaparkował samochód przy krawężniku, zgasił silnik i wbił wzrok w drzwi prowadzące do mieszkania Holly.

- Psiakrew - mruknął pod nosem. - Do czego to doszło, żebym wysiadywał pod jej domem?

Kilka razy próbował się do niej dodzwonić. Wczorajszego wieczoru wybrał się nawet do Hotelu Marchand, by z nią porozmawiać. Ale nie chciała się z nim widzieć. Może zdołałby ją jakoś przekonać, lecz nie udało mu się ubłagać Tornrny'ego Hayesa, aby go do niej dopuścił.

Po prostu uparła się; była zdeterminowana trzymać go na dystans. Jej decyzja powinna go cieszyć.

A jednak wcale tak nie było.

Wszystko go drażniło. Nie miał pojęcia, co mu może sprawić radość albo chociaż przynieść ulgę.

Jedno wiedział na pewno: że nie jest szczęśliwy, że ;z.nalazł się na równi pochyłej. Brakowało mu Holly. Tęsknił do niej; pragnął ją widzieć, dotykać jej, czuć na sobie jej spojrzenie. Prawie w ogóle nie sypiał. Całymi nocami rozpamiętywał ten jeden wieczór, kiedy odwiózł ją do domu, a ona zaprosiła go na górę.

- Musimy porozmawiać - oznajmił stanowczo, wpatrując się w okna na piętrze narożnego domu. - Musimy sobie wszystko do

końca wyjaśnić, oczyścić atmosferę, bo inaczej zwariuję. Przeszkadzało mu, że Holly najwyraźniej ze wszystkim sobie poradziła, że może normalnie funkcjonować.

Nagle serce przestało mu bić: zobaczył, jak otwierają się drzwi frontowe. Była piękna, gdy stała na scenie w blasku reflektorów, ale w promieniach słońca, które podkreślały jej gładką mleczną cerę i ognistą rudość włosów, dosłownie zapierała dech.

Przez moment, szeroko uśmiechnięta, spoglądała na bezchmurne niebo. Potem rozejrzała się wokoło. Zauważywszy Parkera w zaparkowanym nieopodal samochodzie, skrzywiła się z niezadowolaniem.

- Niech to diabli! - warknął.

Oczywiście nie liczył na to, że jego widok ją ucieszy.

Po chwili jednak przyszła mu do głowy inna myśl: jeśli Holly tak żywo reaguje na jego obecność, to może wcale jej nie przeszło? Może wcale nie jest jej obojętny? Mała szansa, by naprawdę tak było, ale ... Wysiadł z samochodu, obszedł go i ruszył jej naprzeciw.

- Czego chcesz, Parker? - Zerknęła na zegarek, po czym obejrzała się przez ramię.

- Czekasz na kogoś? - spytał rozdrażniony, czując, jak narasta w nim złość'.

- Na taksówkę - odparła. - Spóźnia się.

- Na taksówkę. - Wsunął ręce do kieszeni dzinsów.

- Dokąd się wybierasz? -

Nie twój interes.

- Nie denerwuj się. Po prostu zadałem niewinne pytanie.

- W porządku. Jadę obejrzeć dom. Zadowolony?

- Przeprowadzasz się?

- Może. - Wzdychając z niecierpliwością, ponownie sprawdziła, czy taksówka nie nadjeżdża.

- Holly, musimy porozmawiać.
- Parker, taki ładny jest dziś dzień. Pracuję dopiero wieczorem, więc na razie chciałabym się odprężyć, nacieszyć życiem.
- Doskonały pomysł. Moglibyśmy razem gdzieś wyskoczyć ...
- Powiedziałam, że chcę się odprężyć. Przy tobie to nie wchodzi w grę.

Przyłożył rękę do serca.

- Umiesz sprawić ból. Odgarnęła z twarzy włosy.
- Nie staram się ci dopiec, po prostu ...
- ... usiłujesz się mnie pozbyć.
- Owszem.
- A ja od paru dni usiłuję się do ciebie dodzwonić.
- Wiem.
- Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? Czego się boisz? - Z satysfakcją dojrzał błysk gniewu w jej oczach.
- Niczego.
- Udowodnij to.

- Na miłość boską, Parker! Ile ty masz lat? Dwanaście?

Uśmiechnął się. Wiele nie osiągnął, ale przynajmniej rozmawiali. Nie o sprawach, które leżały mu na sercu, ale lepsze to niż nic.

- No dobrze.- Westchnęła. - Słucham. Tylko się streszczaj. Bo jak przyjedzie taksówka, to wsiadam i znikam.

Popatrzył w prawo, potem w lewo. Ulica była pusta.

- Ani śladu. O której po nią dzwoniłaś?

- Dwadzieścia minut temu. - Sięgnęła do czarnej skórzanej torby po telefon komórkowy. - Zamówię kolejną.

Parker zacisnął szybko rękę na jej dłoni, nie przejmując się błyskiem gniewu w jej oczach.

- Nie. Zawiozę cię. Dokądkolwiek chcesz jechać.
- Parker...

- Po drodze porozmawiamy. Przynajmniej mi nie uciekniesz.

- Przecież nie uciekam.

- Ale nie odbierałaś moich telefonów. Nie zgadzałaś się na spotkanie ... No, chodź. Chętnie cię podrzucę. Po co masz czekać na kolejną taksówkę?

Przez chwilę milczała, przytupując nerwowo butem.

- Dobrze - oznajmiła w końcu. - Pojadę z tobą, a taksówkę zamówię na powrót.

- Świetnie.

Poprowadził ją do swojego samochodu. Oczywiście zamierzał jej pozwolić zamawiać żadnej taksówki. Przecież może na nią poczekać, nigdzie mu się nie spieszy.

Ale o tym pogadają później.

Luc uśmiechem powitał gościa, który wysiadł z windy i ruszył w stronę wyjścia. Poranne promienie słońca lśniły na drewnianej posadzce, w powietrzu unosił się cichy szmer rozmów. Przy kontuarze, za którym mieściła się recepcja, stała spora grupka ludzi, którzy przyjechali na odbywający się w mieście kongres. Hotel tętnił życiem.

Dźwięk telefonu wyrwał Luca z zadumy. - Hotel Marchand, czym mogę służyć?

- Szybko coś wykombinuj, bo inaczej gorzko tego pożałujesz.

W tym momencie dobry nastrój prysł i Luc poczuł się tak, jakby potężne macki zacisnęły się wokół jego szyi. Uśmiech zastygł mu na twarzy. Czym prędzej obrócił się tyłem do lady, by goście nie słyszeli, co mówi.

- Richard? - spytał ściszym głosem. - Umawialiśmy się, że nie będziesz tu do mnie dzwonił.

Zerknął przez ramię. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Richard

Corbin od tygodnia nie dawał znaku życia. W tym czasie Luc niemal uwierzył, że bracia Corbinowie zrezygnowali ze swojego szatańskiego pomysłu przejęcia Hotelu Marchand.

Powinien był wiedzieć, że Richard i Daniel tak łatwo się nie poddadzą.

- Słuchaj, ważniaku - mruknął niski gruby głos na drugim końcu linii. - Czas ucieka, karnawał zbliża się ku końcowi. A Anne Marchand wciąż jest właścicielką hotelu.

- Robię, co mogę - bąknął Luc. - Słowo honoru.

Kolejne słowa Richarda sprawiły, że serce podeszło Lucowi do gardła.

- Tylko nie myśl, że się wykręcisz, bo na pewno ci się nie uda. Tkwisz w tym, koleś, po uszy. Radzę ci nie zapominać.

Luc stał bez ruchu. Nie wiedział, co począć, jak wybrnąć z sytuacji. Miał pustkę w głowie.

- Lepiej wykombinuj, jak zmusić tę sukę, Anne Marchand, do sprzedania hotelu. Jak nie, to sami przystąpimy do działania, a wtedy ktoś może poważnie ucierpieć.

Jeszcze długo po tym, jak Richard się rozłączył i w telefonie rozległ się sygnał ciągły, Luc ścisnął słuchawkę przy uchu. Wreszcie ostrożnie odłożył ją na widełki. Serce dudniło mu głośno, w ustach poczuł suchość.

- Więc dokąd zmierzamy?

Dobre pytanie. Holly zastanawiała się nad tym od wielu dni. A dokładniej od chwili, gdy po raz pierwszy zamieniła z Parkerem słowo. Tamtego popołudnia, kiedy zjawił się w barze i usiadł samotnie przy stoliku, powinna była postawić na swoim. Przecież wiedziała, że nic dobrego nie może wyniknąć ze spotkania dwóch osób pochodzących z dwóch tak różnych środowisk.

Niestety, posłuchała Tommy'ego i podeszła do - stolika na końcu sali. Od tamtej pory myślała o Parkerze bez przerwy. Walczyła z sobą, starała się skupić na innych sprawach. Za dnia nawet jej się udawało, ale w nocy była bezbronna. Nie miała żadnego wpływu na to, co się dzieje w jej głowie. Kiedy kładła się spać, myśli natychmiast podążały własnym torem. Każdej nocy Parker nawiedzał ją w snach. A gdy budziła się rano sama w łóżku, miała ochotę płakać.

- Hej tam!

Odwróciła się. Na twarzy Parkera dojrzała cień uśmiechu. . .

- Może mi zdradzisz, dokąd jedziemy? Ponownie skierowała wzrok przed siebie.

O wiele łatwiej było patrzeć na idących chodnikiem obcych ludzi, na drzewa, samochody i czarną wstęgę drogi niż w niebieskie oczy Parkera.

- Na Annunciation. Niedaleko parku Burke.

- Hm ...

- Co znaczy twoje "hm"?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Po prostu tam mieszkam.

Wspaniale! Tylko tego jej potrzeba. Nagle poderwała się na siedzeniu.

- Jeśli sądzisz, że znów coś knuję ... że znów obmyślam jakiś nikczemny plan, to się grubo mylisz! Nie wiedziałam, że mieszkasz w pobliżu ...

- Uspokój się, przecież ja nic nie mówię. - Uniósł znad kierownicy jedną rękę, jakby chciał się obronić przed jej atakiem. - To "hm" oznaczało: co za zbieg okoliczności. Nic więcej. Słowo honoru.

- W porządku.

- No dobra. A można spytać, po co tam jedziemy?

Żeby rzucić okiem na coś, co może okazać się częścią jej przyszłości. Od znajomych swoich przyjaciół dowiedziała się, że na Annunciation przy parku stoi stary dom, który wkrótce będzie wystawiony na sprzedaż. Podobno jest w opłakanym stanie i wymaga dużego remontu, ale dzięki temu można go będzie nabyć sporo taniej niż inne domy w okolicy. Przyjaciele zdobyli dla niej klucz, żeby mogła wejść do środka i wszystko sobie dokładnie obejrzeć.

Przez kilka dni nie mogła uwierzyć we własne szczęście. No i słusznie. Bo tak się pechowo złożyło, że Parker mieszka nieopodal.

Trudno. Nie miała najmniejszego zamiaru zmieniać przez niego swoich plap-ów.

- Żeby obejrzeć dom - odpowiedziała. - Pamiętaj, że robisz za taksówkarza.

- I mam się nie wtrącać? Jasne. Położyła ręce na kolanach, splotła palce.

- .Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać. Więc rozmawiaj.

Wysłucha, co ma jej do powiedzenia, a potem o wszystkim zapomni. Nie pozwoli, aby kiedykolwiek więcej ją skrzywdził. Nie da mu nad sobą władzy, gdyż zwyczajnie w świecie nie dopuści go do swojego serca.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Bębniąc palcami o kierownicę, zaczął mówić:

- Stęskniłem się za tobą, Hólly.

Przełknęła ślinę. Psiakość, to nie fair! Nie chce wiedzieć, że Parker za nią tęskni. Przestraszyła się. Bo skoro tęskni, to może

darzy ją głębszym uczuciem? Jeśli zacznie o tym myśleć, to zwariuje.

- Przecież widziałeś mnie wczoraj. W barze hotelowym.
- Stałem bardzo daleko.

Może daleko, ale go zauważyła. Wyczuła jego obecność. I śpiewała dla niego; całe serce wkładała w słowa piosenki. Ciekawa była, czy zdawał sobie z tego sprawę. Pewnie nie. Westchnęła głośno.

- Parker, czego ty właściwie ode mnie chcesz?
- Nie wiem - szepnął.

Zapaliło się zielone światło. Wcisnął nogą pedał gazu, po czym skręcił w lewo w Washington Avenue.

Holly wyjrzała przez szybę - właśnie mijali cmentarz Lafayette. Huragan Katrina połamał wiele drzew, ale grobowce, te milczące stróże przeszłości, stały nieuszkodzone. Odruchowo pochyliła głowę, jakby składając zmarłym hołd.

- Po prawej widać mój dom - oznajmił Parker, kiedy przecinali ulicę Chestnut

Boże, za blisko, pomyślała. Stanowczo za blisko. Nawet gdyby zdołała zapożyczyć się w banku i kupić tę starą, wymagającą remontu chałupę, nawet gdyby zdołała ją pięknie odnowić, a potem zamieszkać w niej ze swoimi wychowankami, to ... to Parker byłby tuż za rogiem.

Czy mogłaby mieszkać obok niego, a zarazem o nim nie myśleć, wyrzucić go z serca oraz głowy? -. Przepraszam - powiedział cicho. - Za tamten wieczór. Za to, co mówiłem. Za to, co myślałem.

Odwróciwszy się, popatrzyła na jego profil. Starła się przypomnieć sobie wszystko, te ohydne oskarżenia, jakie rzucał pod jej adresem, a także wypowiedane w gniewie nikczemne słowa. Gdyby tak jak tamtego wieczoru poczuła narastającą wściekłość, może byłaby bezpieczna. Może wściekłość by ją zaślepiła, może nie pozwoliłaby jej dojrzeć prawdy.

Że kocha Parkera.

Wstrzymała oddech. Psiakrew, naprawdę go kocha! Nie potrafiła temu zaprzeczyć. Uwielbiała jego uśmiech, jego entuzjazm, jego grę na saksofonie. Uwielbiała przebywać w jego towarzystwie, a nawet - o dziwo - uwielbiała się z nim kłócić. Wcale nie chciała się do tego przyznawać, ta wiedza nie była jej do niczego potrzebna, ale zdawała sobie sprawę, że ignorowanie uczuć lub zaprzeczanie im nie ma sensu.

Bo one nie znikną.

Kocha Parkera Jamesa, ale nie może go mieć. Nigdy nie będą razem.

Po prostu musi pogodzić się z tym faktem i żyć dalej.

- Dziękuję - rzekła. - Przyjmuję twoje przeprosiny.

- Wiele myślałem o tamtej nocy, Holly.

- Ja również.

- Muszę to wiedzieć ... Jesteś w ciąży?

Wpatrywała się w niego bez słowa. W końcu nie wytrzymała.

- A więc o to chodzi? Dlatego zależało ci na rozmowie w cztery oczy? Dlatego do mnie wydzwaniałeś?

- Nie. - Zacisnął mocniej ręce na kierownicy. - Także z tego powodu, ale nie tylko. Na miłość boską, Holly, chyba mam prawo wiedzieć, czy tamtego wieczoru zaszłaś ze mną w ciążę?

- Nie zaszłam. W każdym razie jeszcze nic mi o tym nie wiadomo.

- A kiedy będzie wiadomo?

- Za kilka dni. - Nie odrywała od niego wzroku. - Ale nie obawiaj się. Nawet jeżeli okaże się, że jestem, możesz spać spokojnie.

- To znaczy?

- To znaczy, że sama zajmę się dzieckiem. Już ci mówiłam, Parker, niczego od ciebie nie oczekuję. Niczego, rozumiesz? -

Wskazała przed siebie ręką. - Dojechaliśmy do Annunciation. Skręć w prawo.

- Holly, jeżeli urodzisz dziecko, oboje będziemy je wychowywać.

- Przestań, Parker - mruknęła. - Nie potrzebuję litości. Sama sobie poradzę. Moje dziecko obejdzie się bez faceta, który jest ojcem wyłącznie z poczucia obowiązku. O, to tutaj! Zatrzymaj się.

Stanął przy krawężniku i obejrzał się w kierunku, który wskazała.

Nie zauważyła zdziwionego spojrzenia Parkera. Wpatrywała się w starą zniszczoną chałupę, a oczami wyobraźni widziała piękną okazałą willę.

Dom był olbrzymi, pomalowany jasnorożową farbą, która płatami obłaziła. Miał dwie kondygnacje, cztery kominy, kilka balkonów z poręczami z kutego żelaza i czarne od brudu okna. Dookoła rosły krzaki, trawy i chwasty, tak wielkie i gęste, że śmiało mogłaby się w nich skryć wroga armia, drzewa zaś wyglądały jak pogrążeni w rozmowie posepni, przygarbieni starcy.

- To miejsce jest po prostu ... - zaczęła Holly.

- ... jest po prostu ... - zawtórował Parker.

- Cudowne.

- Ohydne.

- Co ty tam wiesz!

Otworzywszy drzwi, wysiadła pośpiesznie z samochodu. Parker dogonił ją na środku ulicy. Ujął Holly za łokieć; nie puścił, kiedy usiłowała się oswobodzić.

- Ojej, zobacz! - Przestała się wyrywać. - Jaki wspaniały taras! Okrąża cały dom.

- Pewnie tylko dzięki niemu ta rudera jeszcze się nie zawaliła.

- I ogród ... jaki duży! A te drzewa ...

- Wyglądają tak, jakby zaraz miały się przewrócić.

- Cztery kominy ... - ciągnęła rozmarzonym głosem Holly, nie słysząc uwag Parkera.

Zmrużywszy oczy, zobaczyła dzieci bawiące się wśród kwiatów.

- Zatkane gniazdami ptaków i wiewiórek.

- Od frontu wykusz ...

- Z pękniętą szybą w' oknie.

Wyciągnęła z torebki stare zaśniedziałe kółko z kluczami.

- Wchodzę.

- Czyś ty oszalała?

Holly przystanąła, szarpnęła łokciem, by się uwolnić, i obróciła twarzą do Parkera.

- Co ty tu jeszcze robisz? - spytała. - Podwiozłeś mnie, przeprosiłeś ... A teraz wracaj do swoich zajęć.

Zmarszczył czoło.

- Mam cię samą tu zostawić? Chyba nie.

- Nie potrzebuję twojej pomocy i nie życzę sobie, żebyś mi się

...

- ... plątał pod nogami. Wiem. Ale ten dom stanowi śmiertelną pułapkę. Nie pozwolę ci się samej po nim szwendać.

- Nie stanowi żadnej pułapki! - warknęła Holly.

Powiodła spojrzeniem po brzydkich murach.

Miejsce to po prostu potrzebuje kogoś, kto by o nie zadbał i je

pokochał. Potrzebuje mieszkańców, którzy wypełniliby pokoje rozmową, zabawą, śmiechem.

Miała wrażenie, że dom do niej woła, że prosi ją, by uratowała go od ciszy i pustki.

Zamierzała to uczynić.

- Chcę go kupić.

Energicznym krokiem ruszyła po ścieżce z popękanych płytek chodnikowych i stukając obcasami, wbiegła po drewnianych schodkach na taras.

Przekręciwszy klucz w zamku, pchnęła drzwi i po chwili weszła do pogrążonego w cieniu, chłodnego wnętrza.

- Holly!

Obejrzała się przez ramię. Radość z powodu znalezienia tego wspaniałego miejsca przyćmiła świadomość, że nigdy nie będzie dzieliła życia z Parkerem. Nigdy nie będą siedzieli koło siebie w dużym salonie i słuchali tupotu dzieGięcycyli nóg na schodach.

Nigdy ...

Zaraz, zaraz. Przecież kiedy powstała jej w głowie myśl o stworzeniu domu dla grupki dzieci z sierocińca, nie знаła Parkera. To, że dziś go zna, niczego nie zmienia. Prawda?

- Nie miej takiej przerażonej miny, Parker. Nie zwariowałam. Chcę tu zamieszkać.

- Po co ci ta rudera? Po pierwsze, jest ogromna, a po drugie, wygląda tak, jakby lada chwila miała się zawalić.

- Wszystko można wyremontować.

Holly skierowała się do pustego salonu. Przejechała ręką po złuszczającej się farbie na ścianie i uśmiechnęła się zachwycona, jakby patrzyła na obraz Gauguina.

- Ten dom potrzebuje miłości.

- Dlaczego akurat twojej? Dlaczego akurat ten dom? Dlaczego akurat teraz?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Krążąc za Holly po pokojach na parterze, Parker słuchał jej podnieconego głosu. Z przejęciem opowiadała o swoich planach stworzenia prawdziwego domu dzieciom, dla których byłaby przybraną matką.

- Dzieciaki powinny mieszkać w ciepłym, przytulnym domu, a nie w sierocińcu - oznajmiła, wodząc tęsknie wzrokiem po brudnych ścianach, porysowanych podłogach, wybitych szybach.

Wiedział, że Holly nie widzi brzydoty i zaniedbań, lecz to, jak dom będzie wyglądał po remoncie.

- Większość czasu spędziłam w sierocińcu ... - kontynuowała po chwili neutralnym tonem, ale z jej oczu wycierał ból, którego nie potrafiła ukryć. - Nigdy nie czułam, że ktoś mnie kocha, że komuś na mnie zależy. To była taka poczekalnia, miejsce, w którym się mieszka do osiągnięcia pewnego wieku. Jak tylko go osiągnęłam, natychmiast stamtąd zviałam. Uznałam, że zarobię na swoje utrzymanie, a potem wyjdę za mąż, założę rodzinę.

- Holly ... Potrząsnęła głową.

- Nie, Parker. Nie szukam litości. Jestem dorosła i już dawno wyleczyłam się z tamtych ponurych doświadczeń.

Chciał się sprzeciwić, lecz na szczęście ugryzł się w język.

- Ale w sierocińcach nadal żyją dzieci. Czekają, marzą, mają nadzieję, że ktoś je zechce, pokocha, że w końcu staną się dla kogoś ważne.

Mówiła cicho, lecz w jej głosie pobrzmiwała taka stanowczość, takie 'zdecydowanie, że Parker nie miał cienia wątpliwości, iż prędzej czy później Holly znajdzie sposób, by odmienić los choćby paru sierot.

Zwiedzając dom, tylko jednym uchem słuchał paplaniny Holly. Zamiast tego rozmyślał o tym, co mu zdradziła o swoim dzieciństwie. Odkąd skończyła szesnaście lat, radziła sobie sama. Na pewno nie było jej łatwo, ale nie załamywała się, nie poddawała przeciwnościom losu. Zbudowała dla siebie życie, z którego mogła być dumna. Teraz chciała podzielić się nim z tymi, którym brakuje jej siły i uporu. Podziwiał ją za to. Podziwiał za wszystko.

Przypomniawszy sobie, co jej nagadał tamtego wieczoru, znów poczuł się jak skończony idiota. Jak mógł insynuować, że Holly chce go złapać na dziecko, żeby zapewnić sobie lekkie i przyjemne życie?

Usta Holly się nie zamykały. Nie zważając na kroki, które dudniły głośno po pustym domu, opowiadała o swoich planach i marzeniach, opowiadała z takim entuzjazmem, że powoli dom zaczął się zmieniać, zaludniać. I nagle Parker ujrzał go w nowym świetle.

Zobaczył to, co ona. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby, a promienie słońca lśniły na czystej, wypastowanej posadzce. Kiedy skierował wzrok na okna, nie widział lepiących się od brudu szyb, lecz zadbane, starannie przystrzyżony trawnik oraz zawieszoną na gałęzi drzewa dziecięcą huśtawkę.

Holly ma rację: gruntowny remont mógłby zamienić ohydną ruderę w wygodną, przytulną chałupę.

Holly ruszyła na górę, czule gładząc ręką lepką od brudu poręcz.

- Boże, to miejsce jest idealne. A raczej będzie idealne, jak się je odnowi - oznajmiła stanowczym tonem, jakby chciała przekonać o tym zarówno siebie, jak i Parkera. - W tak dużym domu bez trudu zmieści się sześcioro dzieciaków. Może nawet więcej.

- Pracujesz do późna. Kto się będzie nimi wieczorami zajmował?

. - Zatrudnię opiekunkę. Może jakąś miłą staruszkę, która nie ma własnego kąta.

- Ten dom wymaga naprawdę solidnego remontu.

- Wiem. - Zmarszczyła czoło. - Mimo to uważam, że miejsce jest...

- Idealne? - dokończył za nią.

Jej promienny uśmiech zapał mu dech.

- Szybko się uczysz - powiedziała i nagle krzyknęła przerażona, bo zmurszały drewniany stopień pękł pod jej ciężarem.

Prawa noga wpadła w dziurę aż po kolano. Holly straciła równowagę; zaczęła wymachiwać rękami, bezskutecznie usiłując się czegoś przytrzymać. Parker błyskawicznie pokonał dwa stopnie, jakie ich dzieliły, i złapał ją wpół, zanim zdążyła wyrzucić sobie krzywdę.

Z całej siły tulił ją do piersi. Serce biło mu niespokojnie.

- Jezu, nic ci nie jest?

- Trochę boli . -przyznała, próbując się uwolnić.

- Poczekaj, nie szarp - polecił.

W sunął rękę w otwór i obmacał nogę, delikatnie sprawdzając, czy nie jest złamana.

- Chyba wszystko w porządku, ale wyjmuj ją bardzo powoli.

- Dobrze.

Posłuchała go. Wyciągnęła nogę i nagle jęknęła.

- Co? Aż tak boli?

- Nie, ale zobacz ... - odparła płaczącym tonem i wskazując na gołą stopę, poruszyła palcami. - To były nowe buty, w dodatku kosztowały majątek ...

- Na miłość boską - mruknął Parker, starając się nie okazać strachu, jaki przeżył.

Nie puszczając Holly, schylił się i ponownie wsunął rękę do otworu. Po chwili wydobył składający się z dwóch lub trzech cienkich paseczków sandałek na wysokim obcasie.

- Dziękuję.

Przytrzymując się Parkera, Holly włożyła but, po czym oparła nogę o podłogę. Syknąwszy z bólu, natychmiast ją z powrotem uniosła.

- A jednak boli?

- Niestety.

- Dzięki Bogu, że sobie karku nie skrzyłaś.

- Urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą.

Otoczył ją ramieniem. Kiedy próbowała się oswobodzić, przytulił ją mocniej.

- Nie wrywaj się. Nie puszcze cię samej na dół.

- Na dół? Ale wcale nie mam zamiaru iść na dół. - Podjęła kolejną bezskuteczną próbę oswobodzenia się. - Chcę zobaczyć resztę domu.

- To zbyt ryzykowne - zaprotestował Parker, kierując się w stronę frontowych drzwi. - Co będzie, jak ta reszta zwali ci się na głowę?

- Nie wygłupiaj się.

- Nic z tego, Holly.

Na samą myśl o tym, co by się mogło wydarzyć, gdyby przyjechała tu taksówką i sama udała się na zwiedzanie rudery, zrobiło mu się słabo. Mogłaby godzinami tkwić uwięziona na tych zmurszałych schodach. Mogłoby minąć kilka dni, zanim

ktoś by ją odnalazł. Objął ją tak mocno, że aż zapiszczała.

- Przepraszam. - Rozluźnił, nieco uścisk. - Ale dziś już niczego nie będziesz zwiedzać.

- A odkąd to za mnie decydujesz?

- Od dziś. Od tej chwili. Po prostu pogódź się z tym.

- Może się zdziwisz, Parker, ale nigdy nie lubiłam facetów w typie Tarzana.

- Zapamiętam. - Nacisnął klamkę i wyprowadził Holly na taras.

- Masz klucz?

Zamknęła drzwi, mamrocząc coś gniewnie pod nosem. Parker, który wolał nie słuchać jej przeklinania, odszedł kilka kroków na bok. Kiedy schowała klucz z powrotem do torebki, wziął ją na rękę i zaniósł do samochodu.

- Dzwonię po taksówkę. Tak się umawialiśmy, pamiętasz?

- Jedziesz ze mną.

- W porządku. Odwieź mnie do domu.

- Zamierzam. Do mojego domu.

Nie posiadając się z oburzenia, przez całą drogę wpatrywała się gniewnie w Parkera. Nie chciała jego pomocy. No dobrze, tak się akurat złożyło, że dziś jej potrzebuje. Ale w duchu buntowała się przeciwko niej. Oczywiście rozmowa z Parkerem niczego by nie dała. Równie dobrze można by prosić drzewo, aby łaskawie przesunęło się z jednego końca trawnika na drugi.

Zamiast się więc spierać, zrezygnowana zacisnęła usta.

Nie odezwała się nawet wtedy, gdy Parker zatrzymał samochód przed ładnym, niedużym domem

otoczonym sporym, zadbanym ogrodem. Ktoś mógłby powiedzieć, że zachowuje się jak obrażone dziecko. Może. Ale milczenie stanowiło jej jedyną broń.

Parker obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i zgarnął ją w ramiona, zanim zdążyła wysiąść.

- Potrafię chodzić o własnych siłach.

- Nadwerżyłaś nogę. Oczyszcimy ją i dokładnie obejrzymy.

Może trzeba będzie pojechać na ostry dyżur.

- Do szpitala? - Przycisnąwszy rękę do szerokiej klatki piersiowej Parkera, starała się od niego odsunąć jak najdalej. W głębi duszy jednak marzyła o tym, by się w niego wtulić. Zachowywał się władczo i apodyktycznie. Ku swemu przerażeniu - i wbrew temu, co mówiła o Tarzanie - odkryła, że bardzo jej się to podoba. W jego silnych ramionach czuła się mała, krucha i bezpieczna. - Zwariowałeś? Nie potrzebuję żadnego szpitala.

- Może nie. Zaraz się przekonamy.

Ścieżką, wzdłuż której rosły barwne kwiaty, doszedł do schodków, wszedł po nich na taras i po chwili otworzył drzwi. Wniósł Holly do środka. Przez moment poczuła się jak panna młoda, która w ramionach męża przekracza próg domu. Przestań, zganiała się w duchu. W nocy nie miała wpływu na swoje myśli, ale w ciągu dnia mogła się sprzeciwiać, gdy podążały w niewłaściwym kierunku.

- Ładnie tu - powiedziała, rozglądając się po holu.

Kątem oka dojrzała kawałek salonu i po chwili znalazła się w przestronnej łazience dla gości. Dom, przynajmniej ta część, którą zdołała zobaczyć, urządzone był w surowym męskim stylu. Beżowe ściany, brązowe kanapy i fotele, gdzieś obraz lub grafika .. Najwyraźniej Parker nie lubił nadmiaru mebli ani dekoracji.

- Dziękuję. - Posadziwszy Holly na zielonym granitowym blacie, pochylił się i delikatnie ujął ranną stopę.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Starła się nie myśleć o dłoniach Parkera, o jego palcach ostrożnie uciskających kostkę. Nie było to wcale łatwe.

- I co, panie doktorze? - spytała, siląc się na lekki, żartobliwy ton. - Będę żyła?

- Na kostce, po zewnętrznej stronie, pojawia się wielki siniak - oznajmił cicho, przesuwając palcami po jej skórze. - Możesz ruszać nogą?

- Oczywiście, że tak. .. Auu!

Przyjrzał się Holly badawczo.

- Na szczęście jej nie złamałaś. Chyba jedynie zwichnęłaś.

- Wspaniale. Tylko tego mi potrzeba. Pięknie będę wyglądała na scenie: z laską i nogą owiniętą jakimś gustownym bandażem.

- Owszem, pięknie. - Opuszkami palców przeciągnął po jej łydce, dotarł do kolana, potem wrócił na dół.

Dotyk był delikatny niczym leciutkie tchnienie wiatru. Miała wrażenie, że każda komórka jej ciała wyje, błagając o więcej. O to, by nie zabierał ręki. Tak bardzo chciała go czuć. Wzięła głęboki oddech, jeden, drugi, po czym z trudem przełknęła ślinę. Bała się, że głos ją zdradzi, że będzie drżał...

- Parker. ..

- Hollychciałbym, żebyś wiedziała, jak wiele dla mnie znaczysz

...

Każde słowo wypowiadał z ogromnym wysiłkiem, jakby bał się

jej reakcji.

Poczuła potworny ucisk w sercu i niemal jęknęła z bólu. Wiele dla niego znaczy? A więc darzy ją sympatią.

Też coś! - pomyślała. Sympatią można darzyć ciocię, wujka, przyjaciela. Sympatia nic nie kosztuje. Człowiek niczym nie ryzykuje.

Może ktoś inny ucieszyłby się, słysząc 'wiele dla mnie znaczysz', ale nie Holly. Już raz to przeżyła; była w związku, w którym uczucia i oczekiwania obu stron za bardzo się różniły. Nie chciała powtórki tego doświadczenia.

. Jeffowi też na niej zależało, dopóki mu nie wyjawiała, że pragnie czegoś więcej. A teraz Parker spoglądając w oczy i mówi mniej więcej to samo. Że wiele dla niego znaczy. Dostała jedną nauczkę od życia. Nie zamierzała patrzeć, jak kolejny facet odchodzi i zostawia ją na lodzie.

- Parker. ..

- Brakowało mi ciebie - rzekł, nie dopuszczając jej do słowa. - Brakowało mi twoich oczu, twojego uśmiechu. Bez przerwy o tobie myślę. Nie tylko myślę, śnię o tobie. Sam nie wiem, czy to dobrze, czy źle. - Niecierpliwym gestem przeczesał ręką włosy.

- Po prostu chciałem, żebyś to wiedziała.

- Co? Że darzysz mnie sympatią?

- Tak.

- Boże, Parker. ..

Dlaczego znów musiało się jej to przydarzyć? Dlaczego nie była bardziej ostrożna? Trzy lata temu została skrzywdzona przez mężczyznę i przyplącała to nerwowym załamaniem. Czy niczego się nie nauczyła? Czy musiała wpakować się w identyczne kłopoty?

Najgorsze w tym wszystkim było to, że opuściła gardę. Że zakochała się. Osoba boleśnie doświadczona powinna stale mieć

się na baczności. Czy nie mogła ograniczyć się do .zwykłego pożądanego? Do seksu? Dlaczego pozwoliła, by zafascynowanie erotyczne przerodziło się w uczucie, w miłość?

Żal ścisnął ją za serce. Parker darzy ją sympatią, zależy mu na niej, chociaż ... Przyznał, że śni o niej, ale mówiąc to, wcale nie wyglądał na szczęśliwego.

Potrząsając głową, powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do niego:

- Nie mogę. Dłużej tego nie zniosę.

- Czego? - spytał, puszczając jej nogę.

- Tego. - Wykonała ręką nieokreślony ruch. Patrzyła Parkerowi prosto w oczy. Wiedziała, że przez wiele lat będzie widziała ich błękit w swoich snach. Miały kolor i głębię górskiego stawu.

Kiedy tak siedziała na granitowym blacie, wpatrzona w poważną twarz mężczyzny, o którym nie przestawała myśleć, ponownie uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. I zrozumiała, że każdy dzień bez niego będzie dla niej torturą.

- Nie mogę, Parker. Widzieć cię, pragnąć cię i walczyć ze sobą. Po prostu nie mogę, nie dam rady. To za bardzo boli. - Przyłożyła rękę do serca. -:- Jeśli zostanę, to mnie zniszczy.

Postąpił krok do tyłu. Tak mocno zaciskał zęby, że aż mu szczęka drgała.

- Holly, przysięgam, nie chcę sprawić ci bólu.

Po prostu staram się być szczery. Nie chcę cię oszukiwać.

- Wiem. Naprawdę.

Zsunęła się z szafki i oparła ciężar ciała na zdrowej nodze. Pewnie łatwiej byłoby jej prowadzić rozmowę na siedząco, ale chciała czuć grunt pod nogami.

Parker odruchowo wyciągnął rękę, by ją przytrzymać, lecz dała mu znak, aby się nie zbliżał. Bała się, że jeśli teraz jej dotknie, to mu ulegnie. - Nie, proszę, nie ruszaj mnie. Bo nie będę' w stanie jasno myśleć. Gorzej: bo nie chciała myśleć.

- Holly...

- Pozwól mi mówić. Dobrze?

Schował ręce do kieszeni spodni, po czym skinął głową. Czekał. Sprawiał wrażenie zagubionego. I zatroskanego.

Hollywzięła głęboki oddech. W powietrzu unosił się sosnowy zapach płynu do podłóg. Wiedziała, że odtąd zapach sosny zawsze będzie jej się kojarzył z tą rozmową. Szkoda, pomyślała. Wolalaby, żeby kojarzył się z czymś weselszym.

Otworzyła usta. Miała nadzieję, że zdoła przełożyć na słowa swoje myśli i uczucia.

- Twierdzisz, że wiele dla ciebie znaczę ... - zaczęła.

- Bo znaczysz.

- To za mało, Parker. To mi nie wystarczy.

Ciemny kosmyk opadł mu na czoło. Korciło ją, by wyciągnąć rękę i odgarnąć go na miejsce.

- Nie wiem, czy potrafię ofiarować ci cokolwiek więcej - oznajmił cicho, wpatrując się w nią intensywnie.

Z jego oczu wyzierał smutek, żal. Miała ochotę się rozplakać. Parker nie próbuje jej zwodzić; uczciwie przyznał, że nie może jej dać tego, czego ona pragnie. Jeżeli dalej będzie się z nim spotykać, licząc na to, że mu się odmieni, że kiedyś ją pokocha, sarna sobie wyrządzi krzywdę. Będzie cierpieć bardziej niż po rozstaniu z Jeffem.

Trzy lata temu wydawało jej się, że nie istnieje większy ból od tego, który ją wtedy trawił. Ale myliła się. Dzisiejszy ból był bez porównania silniejszy ... może dlatego, że uczucie, jakim darzyła Parkera, jest bez porównania silniejsze.

Poczuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Jakby nagle przejrzała na oczy. Dłużej nie zamierzała chować głowy w piasek.

- Nie wiesz, czy potrafisz ofiarować mi cokolwiek więcej, a ja wiem, że to, co jest, mnie nie zadowala - rzekła, wzruszając lekko ramionami. - Widzisz, Parker, ty też dla mnie wiele znaczysz. Ale ja nie tylko darzę cię sympatią, ja cię kocham. Zaczął się cofać, jeden krok, drugi, aż doszedł do ściany. Obserwując go, Hollypomyślała sobie, że gdyby znajdowali się w pokoju, a nie w łazience, pewnie odwróciłby się i rzucił pędem ku drzwiom.

Poczuła dojmujący ból w sercu, ale- zacisnęła usta. Postanowiła, że nie pokaże, jak bliska jest łez.

- Ja ...

- Nie musisz nic mówić. - Przylepiła sobie do twarzy uśmiech. Wymuszony, trochę żalony. I nie pozwoliła mu zgasnąć. - Nie mów, że ci przykro. Że szkoda, że nie może być inaczej. Słowa niczego

· ..
me zmlęną.

- Psiakość, Holly- rzekł z napięciem. - Nie planowałem tego. Nie chciałem, żeby tak się sprawy potoczyły.

- Ja też nie, Parker. Ale trudno, stało się. To mój problem, nie twój, i sama sobie z nim poradzę. Nie musisz mnie trzymać za rączkę i pocieszać. I nie musisz się o mnie troszczyć. Naprawdę. Boże, daj mi siły, pomyślała. Spraw, żeby ten koszmarne ból z każdym dniem stawał się coraz mniejszy. Spraw, żebym

odzyskała równowagę psychiczną i była taka jak niecały miesiąc temu, zanim Parker pojawił się w moim życiu.

- A teraz zamówię taksówkę i pojedę do domu. Zniknę ci z oczu. Tak będzie najlepiej: oboje wrócimy do swoich spraw i zapomnimy o sobie.

- Ja o tobie nigdy nie zapomnę - rzekł zmienionym głosem. - Nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie.

Wykrzywiła wargi w uśmiechu.

- No widzisz? I po co mówisz takie rzeczy? One i tak niczego nie zmienią.

- Holly...

- Proszę cię - przerwała mu, chcąc zachować tę resztkę godności, jaka jej jeszcze pozostała, i jak najszybciej opuścić dom Parkera. - Jeżeli faktycznie darzysz mnie sympatią, to pozwól mi wezwać taksówkę i wrócić do siebie.

Wpatrywał się w nią tak badawczo, jakby usiłował przeniknąć jej myśli i duszę. Wciąż wyzierał z nich smutek. Hollyporuszyła się niespokojnie. Wiedziała, że musi jak najprędzej znaleźć się we własnych czterech ścianach, bo inaczej wybuchnie płaczem i obojgu im narobi wstydu.

- Odwiozę cię.

- Lepiej nie.

- Odwiozę - powtórzył, nie zdradzając swoich uczuć.

Zrozumiała, że nie ma sensu się sprzeciwiać, bo i tak nie zdoła pokonać oślego uporu Parkera. Zresztą czy to' ważne, jakim środkiem lokomocji dotrze do domu?

- Dobrze - oznajmiła.

Może chciał zachować się jak dżentelmen? Może jest mu to do czegoś potrzebne? W porządku, ona nie zamierza walczyć. Po prostu chce uciec z tego domu, uciec od niebieskich oczu, które tak wiele zdawały się obiecywać.

Przez kilka następnych dni Parker trzymał się z daleka od Hotelu Marchand. Całymi dniami przesiadywał w swoim gabinecie na zapleczu klubu i pochłonięty pracą starał się zapomnieć o Holly.

"Kocham cię". ..

Cisnął długopis na spis inwentarza, ódchylił się w fotelu i wbił wzrok w sufit.

"Kocham cię".

Słowa Holly dźwięczały mu w uszach. Przypomniał sobie jej szare oczy, które pociemniały z bólu, kiedy on, Parker, nie potrafił powiedzieć tego, co ona tak bardzo pragnęła usłyszeć.

"Kocham cię".

- O Chryste! - jęknął.

Chciał wierzyć, że miłość, prawdziwa miłość, może zdarzyć się w tak krótkim czasie. Chciał wierzyć, że Holly mówi prawdę. Że go nie okłamuje. Że widzi w nim mężczyznę, o jakim marzyła całe życie, mężczyznę, z którym mogłaby się ze\$tarzeć. Ale czy mógł w to uwierzyć? Po tym, co przeżył z Frannie?

- Nie - powiedział na głos, bo nie potrafił wytrzymać tej przeraźliwej ciszy, jaka go otaczała. - Nie mogę. Boję się. Nie chcę ryzykować.

Wzdychając ciężko, wyprostował się na fotelu i ponownie sięgnął po długopis. Musi maksymalnie skupić się na pracy. Może w końcu uda mu się nie myśleć o Holly.

Skorzystała z faktu, że ma zwichniętą nogę, i wzięła kilka dni wolnego. Tommy o nic nie pytał; zaakceptował to, co mu powiedziała przez telefon. Ale ona знаła prawdę: może występować ze zwichniętą nogą, tylko po prostu nie chce. Wolą się ukryć, nie ryzykować spotkania z Parkerem. Przy-najmniej przez jakiś czas.

Zwłaszcza teraz.

- Bóg ma dziwne poczucie humoru - szepnęła, spoglądając na plastikowy patyczek, który trzymała w palcach.

Znak plusa był wyraźnie widoczny.

Położyła patyczek na krawędzi umywalki, obok trzech innych wskazujących identyczny wynik.

- No i jestem w ciąży ...

Na miłość boską, co ma teraz począć? Czy powinna zawiadomić Parkera? Chyba ma prawo wiedzieć, że zostanie ojcem? A może informacja o dziecku jeszcze bardziej wszystko pogmatwa? Przecież dał jej jasno do zrozumienia, że nigdy nie będą razem. Skoro nie chce jej w swoim życiu, po co miałby chcieć jej dziecko?

Miała wrażenie, że bicie serca wypełnia całą łazienkę. Dziecko. Za dziewięć miesięcy urodzi córkę lub syna. Będzie miała własną rodzinę. Kogoś, kogo pokocha bez pamięci. I kto odwzajemni jej miłość.

Razem będą snuć plany na przyszłość. Będą mieszkać w cudownym starym domu. Będą przyjmować pod swój dach inne dzieci. Będą wieść szczęśliwe życie, o jakim zawsze marzyła.

Wpatrując się w lustro, zobaczyła w swoich oczach radość i niepokój. To śmieszne, ale tyle czasu modliła się o to, by nie być w ciąży, że nie pomyślała o tym, jak bardzo informacja o ciąży może ją ucieszyć.

Przytknęła dłonie do brzucha. Przez chwilę trzymała je tam, jakby chciała chronić kruszynę, którą wraz z Parkerem powołała do życia. Będzie dobrze, powtarzała w myślach. Damy sobie radę. Zobaczysz, moje maleństwo, poradzimy sobie.

Wciągnęła głęboko powietrze. Powoli na jej ustach wykwitł uśmiech. Może ojciec dziecka się nie ucieszy, może nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego, ale to nie szkodzi. Ona, Holly,

będzie najlepszą matką na świecie.

Z zadumy wyrwał ją ostry dzwonek do drzwi.

MIŁOSNY BLUES

Ku własnemu zdumieniu poczuła iskierkę nadziei. Może to Parker? Może poszedł po rozum do głowy, może zrozumiał, że jej miłość jest cudownym darem, a nie pułapką?

Wrzuciwszy testy ciążowe do kosza na śmieci, spojrzała w lustro, przeczesала ręką włosy, po czym ruszyła pośpiesznie do drzwi.

Na widok stojącej w progu osoby dosłownie zaniemówiła. . .

- No proszę. Kogo widzę? - zamruczała cicho Frannie LeBourdais.

Minęła zaskoczoną Hollyi jakby nigdy nic, skierowała się do salonu.

- Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiały.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Torebkę z krokodylej skóry oraz duży brązowy skoroszyt rzuciła na niski stolik, na którym leżały stosy kolorowych pism, po czym rozejrzała się z zaciekawieniem. Duża kanapa obita tkaniną w kwiecisty wzór, mnóstwo tandetnych bibelotów, okno z widokiem na zaniedbany ogród ...

To niezbyt imponujące wnętrze ogromnie poprawiło Frannie humor.

- Co pani tu robi? - zapytała Bony.

- Ależ Bony ... Nie obrazisz się, że będę do ciebie mówić po imieniu, prawda?: - Żona Parkera usiadła na skraju kanapy. -

Bądź co bądź znamy się od dawna.

Bony, lekko utykając, przeszła na środek pokoju.

- Słucham?

Frannie machnęła lekceważąco ręką.

- Proponuję, żebyśmy były z sobą szczerze i niczego nie owijały w bawełnę. W końcu sprawa dotyczy nas obu. - Na moment zamilkła. - Doskonale cię pamiętam. Śpiewałaś na moim weselu.

- Owszem.

- Widziałyśmy się również w dzień poprzedzający wesele ...

Frannie wszystko sobie przypomniała, kiedy otrzymała raport sporządzony przez prywatnego detektywa. Na samo wspomnienie tamtego incydentu ogarnęła ją niepohamowana wściekłość. Kochały się z Justine w ogrodzie, kiedy nagle zza kępy krzaków wyłoniła się ta nikomu nieznana, żalosna piosenkareczka. Frannie poderwała się jak oparzona. Przestraszyła się, że ta dziwka wszystko wygada Parkerowi, i małżeństwo, na którym tak bardzo jej zależało, nie dojdzie do skutku. .

No i proszę, dziesięć lat później spotyka tę samą zdzirę! Zagrożenie wraca. Bo jeżeli Bolly Carlyle wyjawi Parkerowi, na czym kiedyś przyłapała jego żonę, Frannie na sto procent nie zdoła uratować małżeństwa.

Dość tego! Nie zamierza dłużej żyć w strachu i niepewności. Pozbędzie się tej zdziry i odzyska Parkera.

- To było bardzo dawno temu - rzekła Bolly.

- Istotnie. - Frannie podniosła się z kanapy. Nie podobało jej się, że musi zadzierać głowę.

- I znów się spotykamy.

- Właśnie tego nie rozumiem. Czego ode mnie chcesz?

- Już mówię. - Wysunął skoroszyt spod swojej torebki,

Frannie przyglądała się rywalce spod oka. - Otóż przychodzę z wiadomością od Parkera.

- Od Parkera?

- Tak, od mojego męża. - Zamilkła. Nawet nie przypuszczała, że tak dobrze będzie się bawić. Uśmiechając się ironicznie, po chwili dodała: - Pamiętasz go? To ten facet, z którym sypiasz.

Holly poczuła bolesny ucisk w piersi. Nie odezwała się.

- Parker nie chce się z tobą więcej widzieć.

- On cię tu przysłał?

- Oczywiście - skłamała Frannie. - Chyba nie sądzisz, że sam zawracałby sobie głowę takimi duperelami?

- Nie wierzę ci.

- A mnie się wydaje, że wierzysz. - Podała rywalce skoroszyt, podeszła do okna, po czym obróciła się do niej twarzą. - W głębi duszy wiesz, że Parker nie traktował poważnie waszej znajomości. Że byłaś dla niego ... maskotką, zabawką. Widzisz, Parker i ja ... mamy z sobą pewien układ. Nasze małżeństwo różni się od innych. Każdemu z nas wolno zawierać znajomości, przyjaźnie, wolno romansować na boku, ale nigdy nie zapominamy o tym, z kim braliśmy ślub.

- Hm, to dziwne. - Holly zacisnęła rękę na skoroszytcie, ale nie zajrzała do środka. Zachwiała się lekko, jakby zakręciło się jej w głowie. - Jeśli wasze małżeństwo jest tak trwałe, jak mówisz, to dlaczego prasa rozpisuje się o waszym zbliżającym się rozwodzie?

- Och, nie żartuj! Kto by tam wierzył tym gryziopiórkom? - Frannie sprawdziła czy z paznokci nie odpryskuje jej lakier. - Przyznaję, że po naszej ostatniej sprzeczce Parker trochę się zdenerwował i poleciał do prawnika, ale lada dzień wyjaśnimy

sobie te nasze nieporozumienia.

- Rozumiem.

- A jeśli chodzi o moje preferencje seksualne, to Parker doskonale wie, że wolę kobiety - dodała Frannie, zadowolona ze swojego kłamstwa. Po pierwsze, skąd Holly miałaby wiedzieć, że to nieprawda? Po drugie, jeżeli będzie myślała, że Parker zna prawdę, uzna, że nie ma sensu opowiadać mu o incydencie, który widziała przed dziesięcioma laty. - W każdym razie kazał ci przekazać, żebyś dała mu święty spokój i nie próbowała na siłę ciągnąć waszego romansu.

- A dlaczego Parker się tobą wyręcza?

- Och, Holly, Holly ... - Frannie pokiwała z politowaniem głową.

- Jaki mężczyzna chciałby wysłuchiwać pretensji rozżalonej kochanki?

Holly przyznała jej w duchu rację. Pewnie żaden. Przypomniła sobie napięcie malujące się na twarzy Parkera, kiedy powiedziała mu, że go kocha. Wyglądał tak, jakby miał ochotę zapaść się pod ziemię, a przynajmniej znaleźć się jak najdalej od niej, Holly. Na samą myśl o tym przeniknął ją dojmujący ból.

Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby usłyszał o dziecku? Czy byłby wystraszony? Smutny? A może by się ucieszył? Niestety, ona tego nigdy się nie dowie.

- A to ... co to jest? - spytała, unosząc skoroszyt. Na szczęście ręka jej nie drżała.

- Zobacz.

Przerzucając wsunięte do środka strony, Holly poczuła, jak przenika ją straszliwy chłód. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby dokładnie prześledzić jej przeszłość, a wszystkie błędy i grzechy, jakie miała na sumieniu, przedstawić do oceny Frannie

LeBourdais.

Czy tylko do oceny Frannie? A może Parker też czytał ten szczegółowy raport? Może siedzieli obok siebie na kanapie, śmiejąc się do rozpuku, że ktoś taki jak HollyCarlyle wyznaje Parkerowi miłość?

Bolesny ucisk w sercu sprawił, że ledwo oddychała. Czy to była odpowiedź Parkera na jej słowa o miłości? Czy wrócił do domu, chwilę podumał nad tym, co usłyszał, a następnie przysłał do niej żonę, by ta ją przegoniła na cztery wiatry? Czy tak nisko ją, Holly, cenił? Czy nic dla niego nie znaczyła ich wspólna noc?

- Czy Parker to zlecił? Czy to on kazał sporządzić ten raport?

- Nie, to mój pomysł - odparła Frannie.

- Twój?

- Oczywiście. - Frannie wygładziła elegancką bluzkę i roześmiawszy się ironicznie, podniosła ze stolika torebkę. -

Powinnaś wiedzieć, że uczynię wszystko, żeby chronić swoje małżeństwo. Żeby zatrzymać przy sobie faceta, który należy do mnie. Na razie Parker wciąż myśli o tobie z sympatią, ale to się zmieni. Widzisz, on jeszcze nie czytał tych papierów.

Na Hollys płynęła ulga. Przynajmniej Parker jest niewinny. Nie poniżył się do tego, by gmerać w jej przeszłości - w przeszłości, która jego przecież nie dotyczy.

- Jeżeli jednak podejmiesz najmniejszą próbę zbliżenia się do mojego' męża - kontynuowała Frannie - możesz być pewna, że dostanie ode mnie kopię raportu.

- Zaraz, zaraz ... Skoro, jak twierdzisz, Parker nie chce mieć ze mną więcej do czynienia, to czym się martwisz?

- Źle mnie zrozumiałaś. Wcale się nie martwię. - Frannie wykrzywiła wargi w uśmiechu. - Te papiery to ... to moje zabezpieczenie na przyszłość. Na wypadek gdyby Parkerowi się odmieniło. Jeśli dowiem się, że się widujecie, nie omieszkam

przekazać mu tych informacji. Przypilnuję, żeby się dowiedział, kim naprawdę jesteś: żalosną, pazerną oportunistką, która za wszelką cenę pragnie zdobyć dla siebie lepszą pozycję społeczną.

~ Parker ci nie uwierzy.

- Myślę, że uwierzy. - Frannie ponownie obdzieliła ją cierpkim uśmiechem. - Ale to nie wszystko. Jeżeli nie będziesz się trzymać z daleka od mojego męża, przekażę te dokumenty odpowiednim instytucjom.

Holly wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Widzę, że się rozumiemy - ciągnęła Frannie. - Władze stanu Luizjana na pewno nie dopuszczą, żeby kobieta o tak podejrzaną reputację została matką zastępczą.

- Informacje na temat wykroczeń popełnianych przez osoby nieletnie są tajne - powiedziała cicho Holly. - Jak. .. - Nagle urwała. - Skąd wiesz o moich planach?

- Wynajęłam świetnego detektywa. Bardzo skrupulatnego. A on odkrył, że uczęszczałaś na specjalne kursy dla rodziców. No i złożyłaś już dokumenty... - Na moment Frannie zamilkła. - Mogę sprawić, aby twoje marzenia nigdy się nie ziściły.

Faktycznie, Frannie mogłaby to zrobić. Gdyby spełniła groźbę i w odpowiednim urzędzie przedstawiła dokumenty opisujące młodzieńcze wybryki Holly...

- Szantażujesz mnie?

- Szantaż to takie brzydkie słowo. - Frannie skrzywiła się z niesmakiem. - Brzydkie, ale precyzyjnie oddające moje intencje:

- Dlaczego to robisz? - spytała Holly, nienawidząc nuty

desperacji, którą słyszała w swoim głosie.

- Naprawdę jesteś aż tak nieinteligentna? - Żona Parkera pokręciła zde gustowana głową. Mniejsza o to. Wydawało mi się, że dość jasno wyraziłam swoje stanowisko, ale dla pewności powtórzę, co mówiłam. Otóż jesteś dla mnie zerem. Mniej niż zerem. Jeżeli jednak zaczniesz mi się stawiać, podejmę odpowiednie kroki, żeby cię zniszczyć.

- Strasznie się przejmujesz kimś, kogo uważasz za mniej niż zero.

Frannie zmierzyła ją ironicznym spojrzeniem.

- Jestem, pewna, że Parker chętnie zapozna się z tym raportem. To fascynująca lektura. Kradzieże, pobyt w zakładzie dla rriieletnich, że nie wspomnę o aresztowaniu za obnażanie się w miejscu publicznym ... Z takim życiorysem nie bardzo cię widzę w roli matki zastępczej.

Holly poczuła, jak smutek i rozgoryczenie ustępują miejsca złości. Nie zamierzała pozwolić, by ktoś taki jak Frannie bezkarnie wywlekał różne zdarzenia z jej przeszłości i obrażał ją w jej własnym domu. Dotąd milczała, bo była za bardzo wszystkim oszołomiona, ale teraz basta! Dłużej nie będzie tego tolerować.

- Byłam dzieckiem - oznajmiła gniewnie. Nie miałam co do ust włożyć. I ukradłam bochenek chleba.

- Ojej, obrazek jak z powieści Dickensa.

- A co do obnażania się ... - Holly uderzyła dłonią w skoroszyt. - Podczas parady w Mardi Gras podniosłam bluzkę i pokazałam piersi. Tego dnia w Nowym Orleanie robi to tysiące kobiet. To

niewinna zabawa.

- Ty naprawdę w to wierzysz? Że to niewinna zabawa? No to ci współczuję. - Frannie westchnęła, po czym wsunęła swój egzemplarz raportu pod pachę. - Przystępujesz do walki całkiem nieuzbrojona. Masz nieciekawą przeszłość. A terażniejszość ... hm, też można by się do niej przyczepić. Kim jesteś? Piosenkarką o wątpliwych standardach moralnych, która sypiając z cudzym mężem, próbuje wspiąć się na szczyt drabiny społecznej. Jakoś nie sędzę, żeby zwykłej dziwce udało się wkraść w łaski rodziny Jamesów.

Wpatrując się w swoją opanowaną, elegancką rywalkę, Holly poczerwieniała z oburzenia. Nic dziwnego, że Parker wzdraga się na sarn dźwięk słowa "miłość". Ona, Holly, miała ochotę wyrzucić Frannie z domu po zaledwie dziesięciu minutach, a Parker męczy się z nią od dziesięciu lat. Co za wredna baba! Po trupach dąży do celu. Gotowa jest zniszczyć wszystko, by postawić na swoim.

Przez nią Holly nie tylko straci Parkera, ale nie zdoła również zrealizować swoich marzeń o rodzinie zastępczej.

Zaciskając ręce na skoroszybie, napotkała lodowate spojrzenie Frannie. Wiedziała, że nic nie jest w stanie poruszyć tej kobiety, żadne groźby, żadne prośby. Nic. Mimo to postanowiła oddać cios.

- Sądziysz, że w wyższych sferach ludzie wolą lesbijki od dziwek?

Frannie zamrugała nerwowo, po chwili jednak ponownie przybrała kamienny wyraz twarzy.

- Połamiesz sobie pazurki, a i tak nic nie wskórasz.
Holly zazgrzytała zębami.

- Wyjdź - rzekła chłodno. - Przekazałaś wszystko, co miałaś do przekazania. A teraz wyjdź.

- Chwileczkę. Jest jeszcze coś, co musimy sobie wyjaśnić.

- My? Wyjaśnić sobie? Nie wiem, o czym mówisz.

- O twoich marzeniach. - Głos Frannie przyjął podejrzenie kojące brzmienie.

Holly natychmiast wzmogła czujność.

- Nie rozumiem.

- Wiem, czego pragniesz, Holly. Chcesz kupić tę ohydłą rudę na Annunciation i urządzić w niej dom dla bandy upośledzonych społecznie bachorów.

- Co cię to obchodzi?

- Mogłabym ci pomóc.

- Oczekując w zamian ... ?

- Drobnej przysługi.

- Jakiej? - spytała Holly, zła na siebie.

Po jaką cholere w ogóle prowadzi tę rozmowę? Co nią kieruje? Chorobliwa ciekawość? Pomyślała sobie, że pewnie tak się czuje człowiek paktujący z diabłem.

- Trzymaj się z dala od Parkera. Nawet jeśli będzie cię błagał, żebyś do niego wróciła. Pomóż mi odzyskać uczucia męża. Jeżeli to zrobisz, kupię ten don i w prezencie ci go ofiaruję.

Holly nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Była pewna, że śni. W jednej sekundzie Frannie LeBourdais grozi, że ją zniszczy, a w następnej usiłuje ją przekupić.

W tym momencie zrozumiała, jak ogromna desperacja kryje się pod chłodnym opanowaniem Frannie. Może Frannie mówiła prawdę o Parkerze, a może nie. Nie ma to jednak większego znaczenia. Po prostu jej wizyta uzmysłowiła Holly jedną ważną rzecz, a mianowicie, że dzieli ją od Parkera przepaść. Że równie dobrze mogliby mieszkać na dwóch różnych planetach.

Parker pozwolił, by Frannie przekreśliła jego szanse na związek z inną kobietą, która darzyłaby go autentyczną miłością. W przeciwieństwie do niego ona, Holly, nie zamierza pozwolić odebrać sobie marzeń.

Wstąpiła w nią nowa siła, siła i odwaga, by wygarnąć Frannie, co myśli o jej ofercie.

- Wynoś się stąd! Zabieraj te swoje papiery i wynoś się z mojego domu i mojego życia. Nie dam się przekupić. I nie dam się zastraszyć. Możesz robić, co chcesz z "informacjami", jakie o mnie zebrałaś. Nie wstydzę się tego, kim byłam, ani tego, kim jestem. I guzik mnie obchodzi, co komu powiesz na mój temat.

- Naprawdę jesteś głupia, wiesz?

- Wyjdź, proszę. Nie interesują mnie twoje gierki.

Oczy Frannie pociemniały ze złości.

- Nie zdołasz mnie skrzywdzić - oświadczyła Holly, Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. - Z materiałem zdobytym przez swojego detektywa możesz zrobić, co ci się żywnie spodoba. Jeśli o mnie chodzi, po prostu nie istniejesz. A teraz żegnam, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Patrząc na stojącą przy kanapie kobietę, widziała, jak kipi w niej krew. Więc jednak chłodna, opanowana Frannie LeBourdais nie

jest tak niewzruszona, za jaką próbuje uchodzić.

Energicznym krokiem Frannie skierowała się ku drzwiom. Zanim wyszła na zewnątrz, pogardliwym wzrokiem zmierzyła Holly od stóp do głów.

- Byłaś nikiem, pyłkiem kurzu, teraz nawet tym nie jesteś. Chciałam ci pomóc, ale niektórzy ludzie po prostu nie potrafią docenić czyjegoś dobrego serca.

Holly zacisnęła palce mocniej na drzwiach.

- Żegnam.

Fukając gniewnie, Frannie opuściła mieszkanie.

Holly nie zatrzasnęła drzwi - zamknęła je cicho, przekręciła zamek, po czym oparła się o nie plecami i powoli osunęła się na podłogę. Podciągnawszy kolana pod brodę, otoczyła je ramionami, przytknęła do nich czoło i rozplakała się.

Z żalu nad Parkerem. Z żalu nad sobą.

Z żalu nad dzieckiem, które będzie wychowywało się bez ojca.

Parkera dręczyły sny.

Mimo że oczy miał zamknięte, widział nad sobą Holly która leciutko przesuwiała palce po jego nagim torsie. Wyglądała identycznie jak tamtej nocy. Włosy miała rozpuszczone, oczy lśniące, usta rozchylone w uśmiechu, który był zarówno zmysłowy, jak i niewinny.

Rozpaczliwie jej pragnął. I chociaż wiedział, że śni, z całej siły starał się pozostać w tym błogim półśnie, by trzymać Holly w ramionach.

- Holly... - Wypowiedziane szeptem imię zabrzmiało niczym błagalne westchnienie.

Usta, które przywierały do jego ust, były miękkie, żarliwe. Wciągnął w nozdrza jej zapach ... nie, Hollypachnie inaczej. Nie tak ihte~sywnie; ten zapach niemal go odurzał.

Parker zamrugał powiekami. Ku swemu zdumieniu ujrzał nad sobą Frannie. Siedziała na nim okrakiem, naga, z rękami na jego ramionach, z zadowolonym uśmiechem na twarzy.

Zamrugał kilka razy," próbując się skupić, oprzytomnieć. Jeszcze przez chwilę walczył ze snem, usiłując wydostać się z bajkowego świata i wrócić do prawdziwego. Kiedy mu się to udało, zepchnął z siebie Frannie i jak oparzony wyskoczył z pościeli.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - Patrzył na nią tak, jakby po raz pierwszy w życiu widział ją na oczy. - Jak się tu dostałaś? Po co przyszłaś?

- Jesteś człowiekiem o niezmiennych przyzwyczajeniach, mój drogi - odparła jego żona. - Wciąż trzymasz zapasowy klucz w donicy z kwiatami po prawej stronie tarasu. - Lekko naburmuszona, wyciągnęła się w ponętnej pozie na łóżku i zaczęła gładzić dłońmi swoje zgrabne, jędrne ciało. - Poza tym myślałam, że ucieszy cię mój widok.

- Czego chcesz, Frannie? - spytał gniewnym tonem.

Włożył leżący na skraju łóżka szlafrok, a następnie chwycił róg cienkiej kołdry i zakrył nią swą żonę.

Dawniej na widok jej zmysłowej nagości zalałaby go fala pożądania. Dziś czuł jedynie złość, niesmak, obrzydzenie. O

niczym bardziej nie marzył, niż żeby wziąć prysznic, zmyć z siebie jej dotyk. Najpierw jednak musi pozbyć się jej ze swojego domu.

Przyciskając kołdrę do piersi, Frannie usiadła na łóżku i odgarnęła z twarzy włosy.

. - Był taki czas, kiedy wcale niespieszno ci było opuścić łóżko.

- Moja pamięć nie sięga tak daleko wstecz. Co knujesz, Frannie?

Co cię, do licha, tu przywiodło?

- W porządku! - zirytowała się.

Odrzuciła na bok kołdrę i wstała, po czym wolnym krokiem podeszła do stojącego w rogu pokoju krzesła, na którym zostawiła swoje ubranie.

Konieczność muszę zmienić zamki, przemknęło Parkerowi przez myśl.

- Czyli jedyną kobietą, której obecnie pragniesz, jest ta ruda zdzira, tak?

Ruda zdzira? Wezbrała w nim złość.

- Co ty o niej wiesz, Frannie? - spytał, stając w obronie Holly. -

Ona ...

Roześmiała się, nie dając mu dokończyć. Był to zimny, złośliwy śmiech.

- Co ja o niej wiem? Założę się, że znacznie więcej niż ty.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to mów i do widzenia.

Zapinając guziki jedwabnej bluzki, obróciła się na pięcie.

- Och, mam ci wiele do powiedzenia. - Wciągnęła spódnicę. -

Chcesz się ze mną rozwieść? Rzucić mnie dla tej nędznej wywłoki? Proszę bardzo! Tylko najpierw, mój drogi, zamień się w słuch.

Mówiła, wypluwając z siebie fakty, daty, miejsca. Usta jej się nie zamykały. Z lubością opowiadała o wszystkim, co wynajęty przez nią detektyw zdołał znaleźć na temat Holly Carlyle.

Parker słuchał.

Czy miał pretensje do Holly? Czy gniewał się, że tak wiele przed nim ukryła? Nie, bo przecież prawie wcale nie rozmawiali o przeszłości, ani jej, ani jego. Znał zaledwie garść szczegółów z jej dzieciństwa, ale to mu wystarczyło, by zrozumieć jedno: że jako dziecko Holly nieustannie toczyła walkę o przetrwanie.

Jednakże nogi się pod nim ugięły, kiedy pod koniec wywodu Frannie oddała decydujący strzał.

- A wiesz, co w tym wszystkim jest naj śmieszniejsze, Parker? - Chwyciwszy torebkę, ruszyła w stronę drzwi. - Pragnęłam cię odzyskać. Chciałam ratować nasze małżeństwo, więc zaproponowałam rudej pieniądze, żeby zostawiła cię w spokoju. Obiecałam, że jeśli się od ciebie odczepi, to kupię jej tę paskudną rudere, na której tak bardzo jej zależy. - Frannie posłała mężowi triumfalny uśmiech. - I wyobraź sobie, kochanie, że ta zdzira się zgodziła.

Parker miał wrażenie, jakby cały jego świat zatrzęsł się w posadach.

- Tak, tak. - Frannie pokiwała głową, nie kryjąc satysfakcji. - Twoja przyjaciółeczka dała się przekupić. Długo się nie wahała; rzuciła się na czek, zanim jeszcze skończyłam mówić. - Na moment się zamyśliła. - Więc jeśli chciałeś rozwieść się ze mną, żeby z nią ułożyć sobie życie, to masz pecha, misiu. Ona dokonała wyboru. Zamiast ciebie wybrała tę ohydną starą rudere, którą planuje zapełnić gromadą jakichś bachorów. No i jak się z tym czujesz, co?

Parker odprowadził Frannie wzrokiem do drzwi, ale właściwie to nic nie widział. Stał jak otępiały. Miał pustkę w głowie. Na niczym nie mógł się skupić.

Czuł jedynie obezwładniający strach - strach przed tym, że to,

czego się najbardziej obawiał, może okazać się prawdą. Psiakrew!

Powoli do strachu dołączyła wściekłość i rozpacz. Był bliski załamania. Ratowało go tylko jedno: świadomość, że Frannie uwielbia kłamać. Musiał jednak zadać sobie bolesne pytanie i uzyskać na nie odpowiedź: czy Hollykocha jego samego, czy jego pieniądze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Minęło kilka dni; rozmowa z Frannie wciąż nie dawała Parkerowi spokoju. Zadręczał się, przypominając sobie jej fragmenty.

Jakim prawem powątpiewał w szczerłość uczuć Holly?

To on chciał się wycofać. Kiedy powiedziała mu, że go kocha, to on schował pod siebie ogon. To on się wystraszył; uciekł od ryzyka, od niebezpieczeństwa.

Dlaczego tak bardzo cierpi? Jeśli Hollygo nie kocha, jeśli jest zainteresowana wyłącznie forszą, a chyba tak, skoro przyjęła ofertę Frannie, to powinien się cieszyć.

Siedząc w samochodzie przed starym, zniszczonym domem, który zwiedzał razem z Hollymniej więcej przed tygodniem, wpatrywał się tępo w tabliczkę "Sprzedane" wiszącą na bramie.

Wczoraj się jeszcze łudził. Miał nadzieję, że Frannie go okłamała. Ale dziś dowód kłuł go w oczy. Dom już nie był na sprzedaż, został sprzedany. Hollydokonała wyboru. Miłość,

jakim go darzyła, okazała się równie fałszywa jak obietnice, które kiedyś Frannie mu składała.

Uderzając ręką o kierownicę, powtarzał w myślach, że dobrze się stało. Powinien się cieszyć, skakać z radości, że wyszedł z tego wszystkiego bez _ szwanku. Ale to nie była prawda. Cierpiał. Nawet bardziej niż wtedy, kiedy rozpadło się jego małżeństwo.

Zacisnął zęby. Ciemne okulary skrywały rozpacz i gniew w jego oczach. Wiedział, że musi porozmawiać z Holly, inaczej nigdy nie odzyska równowagi psychicznej.

- Cholera jasna! Chcę, żeby patrząc mi w oczy, przyznała, że wszystko było kłamstwem.

Wrzuciwszy pierwszy bieg, nacisnął nogą pedał gazu i włączył się w ruch. Był piątek; w piątki Holly śpiewała w Hotelu Marchand. W porządku, poczeka kilka godzin. Ale podczas półgodzinnej przerwy w występie zaciągnie ją do garderoby. Nikt i nic go nie powstrzyma.

Zbyt długo czekał. Dziś muszą odbyć poważną rozmowę.

- Kwiatuszku, dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem w głosie Tommy, odprowadzając Holly do garderoby. - Na pewno dasz radę wystąpić po przerwie?

- Nic mi nie jest. Słowo. - Uśmiechnęła się, by rozproszyc obawy przyjaciela. - Po prostu kiepsko ostatnio sypiam. Chcę chwilę odpocząć, a potem mogę szaleć do rana.

- Nie bardzo mi się to podoba.
- Wiem.

Tommy z Shaną wpadli w popłoch, kiedy kilka dni temu powiedziała im o swojej ciąży. Ale kiedy minął pierwszy szok, postanowili się o nią zatroszczyć. Jeszcze ani razu się na nich nie zawiodła. Wiedziała, że w każdej sytuacji może być pewna ich lojalności i poparcia.

- Nie przepadam za Parkerem Jamesem oznajmił Tommy, nie spuszczać z Holly wzroku. - Uważam, że popełniłaś duży błąd, zadając się z tego rodzaju człowiekiem.

- Tego rodzaju? - spytała Holly, siadając w fotelu.
- Wiesz, o co mi chodzi. Facet jest bogaty. Pochodzi z zamożnego domu. Tacy ludzie inaczej postrzegają rzeczywistość. Mają zupełnie inny punkt widzenia.

- Parker taki nie jest - zaproponowała Holly, chociaż nie do końca była o tym przekonana.

Może się myliła? Może Parker jest taki, jak mówi Tommy? Odsunął się od niej, kiedy wyznała mu miłość. Potem przysłał swoją żonę, kobietę, z którą się rozwodzi, aby ją zaszantażowała, a jeśli to nic nie da, przekupiła. Jaki mężczyzna by tak postąpił?

Na pewno nie ten, którego znała, a przynajmniej sądziła, że zna.
- Tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia - powiedział cicho Tommy. - Chodzi mi jedynie o to, że każdy facet, bez względu na to, czy jest bogatym dupkiem, czy nędzarzem, ma prawo wie-

dzieć, że zostanie ojcem.

- Tommy ...

- Mówię poważnie, kwiatuszku. Dowiadując się o dziecku, mężczyźni różnie reagują. - Pochyliwszy się, ujął brodę Hollyw palce i popatrzył jej w oczy. - Może Parker wpadnie w panikę, a może nic nie zrobi. Może wiadomość go w ogóle nie poruszy. Jeśli tak, to jest jeszcze bardziej żalonym idiotą, niż sądziłem. Hollywestchnęła ciężko.

- Tak czy inaczej ... - Tommy nie dawał za wygraną - facet ma prawo wiedzieć. A ty masz obowiązek go poinformować.

- Przemyślę to. Obiecuję.

Pokiwał głową i wyprostował się.

- Dobrze. O nic więcej nie mogę cię prosić. - Skierował się ku drzwiom. - Odpocznij sobie. A ja każę Leowi przysłać ci herbatę.

Pięć minut później Hollysiedziała, pijąc herbatę i zastanawiając się nad słowami Tommy'ego.

Może faktycznie powinna spotkać się z Parkerem. Choćby po to, by podziękować mu za dziecko, które zdążyła już pokochać całym sercem.

Potem może zapomnieć o tym, co było, i zacząć myśleć o tym, co ją czeka.

Ponownie zbliżyła filiżankę do ust i wypła łyk. Odkąd dowiedziała się, że jest w ciąży, dokuczały jej mdłości - nie tylko poranne; cały dzień się z nimi zmagala. Po prostu organizm nieustannie ją informował, że jej życie się zmienia. Że nic już nie będzie takie jak dawniej.

Przepełniała ją bezmierna radość.

To niesamowite, że dziecko niewiele większe od ziarenka grochu może w tak istotny sposób wpłynąć na nasze postrzeganie świata. Ni stąd, ni zowąd niebo ma bardziej niebieski odcień, przyszłość wydaje się promienna, a teraźniejszość niesie z sobą różne możliwości.

Hollywestchnęła cicho, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze toaletki.

- Nie martw się, maleństwo - szepnęła, gładząc się po brzuchu. - Zobaczysz, będzie dobrze. Damy sobie radę. Będę cię kochać tak mocno, że nawet nie odczujesz braku ojca.

Przełknąwszy łzy, które podeszły jej do gardła, odstawiła filiżankę, po czym poprawiła włosy i sprawdziła makijaż. Do końca przerwy zostało jej piętnaście minut.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, z góry założyła, że to Tommy.

- Wejdz! - zawołała.

Nagle ujrzała w lustrze Parkera, a tuż za nim Tommy'ego, który spoglądał na nią z niepokojem w oczach. Po chwili drzwi się zamknęły.

Parker. Zastanawiała się, jak to możliwe, by z jednej strony cieszyć się z jego obecności, a z drugiej mieć ochotę dać mu w zęby.

- Parker? Co tu robisz?
- Musimy porozmawiać.
- Musimy? Nie sędę. - Obróciła się na fotelu . i popatrzyła mu prosto w twarz. - Wydaje mi się, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy.

- Chcę to usłyszeć od ciebie - rzekł przez zaciśnięte zęby.

- Tylko dlatego, że ty coś chcesz, nie znaczy, że ...

- Holly, do jasnej cholery ...

- Nie przeklinaj, z łaski swojej! - warknęła, podrywając się z fotela. Gwałtowny ruch sprawił, że zakręciło się jej w głowie. - Nie rozumiem cię, Parker. Mogłeś mi sam powiedzieć, że nie chcesz mieć ze mną do czynienia. Przecież nie jestem ślepa. Kiedy wyznałam, że cię kocham ... Myślisz, że nie widziałam przerażenia w twoich oczach?

- A po jaką cholere to mówiłaś?

- Też się nad tym zastanawiam - odparowała.

- Wystarczy zaskarbić sobie zaufanie drugiej osoby, prawda? - spytał ironicznie.

- Co? - Znów miała ochotę dać mu w zęby. - Ty mi mówisz o zaufaniu?

- Przecież zdobyłaś wszystko, czego pragnęłaś. Więc dlaczego się wściekasz?

- Naprawdę tego nie rozumiesz? - Nie posiadała się z oburzenia.

- O czym ty, do licha, mówisz?

- O twoim tupecie! - Przeszła trzy kroki, bo na więcej powierzchnia garderoby nie pozwalała, zawróciła i stanęła na wprost Parkera. - Jakim prawem wysyłasz do mnie do domu swoją żonę?

- Co?

Ściągnął brwi. Na jego twarzy odmalował się wyraz zmieszania. Brawo, pomyślała Holly; za takie aktorstwo dostaje się nagrody. Wyglądał na autentycznie zdumionego. Gdyby nie znała prawdy, może uwierzyłaby, że Parker o niczym nie ma pojęcia. Ale wizyta Frannie przecież jej się nie przyśniła.

- Twoja żona wyńajęła detektywa. Zapłaciła obcemu człowiekowi za to, żeby grzebał w mojej przeszłości. Żeby grzebał tak długo, aż się doszuka brudów.

Przymknęła na moment oczy. Nie mogła znieść myśli, że Frannie o wszystkim opowiedziała Parkerowi.

- Dobrze się bawiliście, czytając o moim aresztowaniu? Czuliście się lepsi, prawda? Coś ci zdradzę, Parker. Nie wstydzę się swojej przeszłości i nie zamierzam się z niej nikomu tłumaczyć. Ani tobie, ani twoim bogatym przyjaciółom.

- Nikt ci nie każe. - Chwycił Hollyza przegub dłoni. - Nie obchodzi mnie goły biust podczas Mardi Gras, tym bardziej nie obchodzi mnie kradzież chleba. Interesuje mnie terażniejszość, nie przeszłość. To, że dałaś się kupić. Że wybrałaś forszę zamiast mnie.

- Forszę? Jaką forszę?

- Frannie o wszystkim mi opowiedziała. - Puścił jej rękę i potrząsnął głową. - O tym, jak zaproponowała, że kupi ci tamten stary dom, jeżeli odczepisz się ode mnie. I o tym, jak ochoczo się na to przystałaś.

- Oszalałaś?

Co tu się, do licha, dzieje? Nic z tego nie rozumiała.

- Bynajmniej - odparł Parker. - Naj śmieszniejsze jest to, że nie uwierzyłem Frannie. Byłem pewien, że mnie okłamuje. Ale dziś

przejeżdżałem koło tego domu. Na bramie wisi tabliczka "Sprzedane".

- Nic dziwnego. Kupiłam ten dom.

- Skoro tak bardzo potrzebowałaś pieniędzy, najzwyczajniej w świecie mogłaś mnie o nie poprosić. Nie musiałaś chodzić ze mną do łóżka i udawać zakochanej. A tym bardziej nie musiałaś robić interesów z moją żoną.

Spojrzenie miał równie lodowate jak Frannie, głos identycznie ostry i nieprzyjemny.

- Boże, ja zaraz zwariuję! - Holly powoli traciła cierpliwość. - Przecież mówiłam ci, że niczego od ciebie nie chcę. Ani pieniędzy, ani nic.

- Ale gotowa byłaś przyjąć je od Frannie?

- Od tej kobiety nie przyjąłabym szklanki wody, nawet gdybym usychała z pragnienia!

Obróciwszy się, zaczęła szukać czegoś w stosie rzeczy na fotelu. Wreszcie znalazła torebkę. Otworzyła ją i po chwili wyciągnęła ze środka książeczkę czekową.

- Masz. - Podała ją Parkerowi. - Przekonaj się na własne oczy. Wczoraj wypisałam czek. Wpłaciłam pieniądze na specjalny rachunek depozytowy.

Przez dobrą minutę Parker wpatrywał się w czarne cyfry na białym tle. Wreszcie podniósł wzrok.

- Nie rozumiem - mruknął.

- Spójrz, ile mi zostało na koncie. Wydałam na ten dom wszystkie swoje oszczędności. Myślisz, że byłam z tobą z powodu twoich pieniędzy? Że dałabym się przekupić twojej żonie? Że wzięłabym od niej łapówkę?

Zdegustowana pokręciła głową, po czym schowała książeczkę z powrotem do torebki.

- Coś ci powiem, Parker - kontynuowała lodowatym tonem. - Do wszystkiego doszłam w życiu sama. Dzięki pracy. Nie mam zwyczaju się prostytuować. Od dziesięciu lat haruję jak wół, odkładając do banku każdy zarobiony grosz. Wczoraj wpłaciłam pierwszą ratę. Ledwo mi starczyło pieniędzy, ale starczyło. I to były moje pieniądze, nie twoje i nie twojej żony. - Nagle uszła z niej wola walki. - Potrzebowałam ciebie, nie twojej forsy - dokończyła cicho.

Przez moment Parker milczał.

- Mówisz prawdę ... - oznajmił wreszcie. - Nie oszukujesz mnie.

Uśmiechnęła się smutno. - W końcu uwierzyłeś?

- Boże. - Przeczesał ręką włosy. - Ale ze mnie idiota.

- Nie przeczę.

Wsunął ręce do kieszeni. Stał zgarbiony, ze zwieszoną głową; wyglądał jak zbity pies.

- Uciekałem od ciebie, Holly- przyznał cicho. - Ilekroć próbowałaś się do mnie zbliżyć, emocjonalnie, nie fizycznie, wycofywałem się. Zamykałem się w swojej skorupie. Mówiłem sobie, że nie mogę się angażować uczuciowo. Okropnie się bałem.

- Wiem - szepnęła. - Ale nie rozumiem dlaczego.

- Dlatego, że jestem idiotą - powiedział smętnie. - Moje małżeństwo z Frannie od początku było nieudane. Nawzajem się unieszczęśliwialiśmy. Nie chciałem wchodzić w kolejny związek. Człowiek zaangażowany uczuciowo jest narażony na rozczarowanie i cierpienie. Zbyt długo z tym żyłem, żeby ...

- Och, Parker. - Wzdychając ciężko, Holly przyłożyła rękę do jego piersi. Pomyślała sobie, że czas najwyższy wyznać Parkerowi, co widziała tamtego dnia przed dziesięciu laty. - Wiesz - zaczęła niepewnie - często się zastanawiałam, czy nie powinnam była powiedzieć ci o czymś, zanim się z Frannie ożeniłeś. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

- O czym? - Zmarszczył czoło. Bony wzięła głęboki oddech.

- W przeddzień waszego ślubu przyjechałam do rezydencji, w której miały się odbyć uroczystości weselne. Chciałam zostawić muzykom nuty i ... - Wzruszyła ramionami. - Mniejsza o to. W każdym razie zobaczyłam coś, czego nie powinnam była widzieć.

- To znaczy?

- Frannie kochającą się na ogrodowym stole.

Parker zamrugał oczami.

- W przeddzień ślubu moja przyszła żona mnie zdradzała? - Roześmiał się gorzko. - To wiele tłumaczy, prawda? - Pokręcił ze zdumieniem głową. - Kim był ten facet?

- Właśnie o to chodzi, Parker. To nie był facet. To była kobieta. Frannie kochała się ze swoją druhną. Z Justine DuBois.

- Z Justine?

Spodziewała się ujrzeć znacznie większe zdziwienie na jego twarzy.

- Nie podejrzewałem ... A powinienem być. Te parodniowe wyjazdy na zakupy, te ciągnące się godzinami rozmowy telefoniczne, te czułe powitania ...

- Parker, nie obwiniaj się. Chciałeś ratować wasz związek - przypomniała mu Holly. - Staraleś się. Ale trafiłeś na kobietę, która nie potrafiła cię kochać tak, jak na to zasługiwałeś.

- Dlaczego wyszła za mnie za mąż? - spytał sam siebie. - Dla

pieniędzy? Dla prestiżu?

- Nie mam pojęcia - odparła Holly. - Przypuszczam, że nawet ona tego nie wie.

- Boże, czuję się jak ostatni kretyn. - Po jego wargach przemknął zakłopotany uśmiech.

- Powinnam ci była o wszystkim powiedzieć ...

- Teraz nie ma to już znaczenia. Zresztą pewnie bym ci nie uwierzył. W owym czasie byłem przekonany, że stworzymy z Frannie udany związek. - Wyciągnął ręce z kieszeni i objął nimi twarz Holly. - Dziś jestem innym człowiekiem. Po raz pierwszy w życiu wszystko widzę ostrzej, wyraźniej]. ..

Tak bardzo pragnął, by mu uwierzyła. Niczego już nie ukrywał. Miał jedynie nadzieję, że nie jest za późno. Że z powodu własnej głupoty i lęków nie stracił szansy na szczęście.

- Przepraszam, Holly- kontynuował cicho. - Okazałem się tchórzem. Bałem się uczuć, jakie we mnie wzbudzasz. Bałem się ryzyka.

Przycisnęła dłonie do jego rąk. W jej szarych oczach lśniły łzy, ale nie spływały po policzkach. - Parker, ja też się bałam. Nie chciałam się w tobie zakochać, bo nie wierzyłam, że kiedykolwiek mogłoby ci na mnie zależeć.

- Boże, Holly...

- Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, wszystko zrozumiałam.

Tamtego dnia zobaczyłeś, że w twoim świecie nie ma dla mnie miejsca. Że zawsze byłabym tam obca. - Mówiła szybko, nie dopuszczając go do głosu. - Jestem nikim. Według nowo-orleańskich standardów ty jesteś królem, a ja żebrakiem. - Na jej ustach zadrżał uśmiech. - Mnie osobiście stan żebraczy w niczym nie przeszkadza. Ale oczywiście mężczyzna twojego pokroju potrzebuje kobiety z odpowiednim rodowodem.

- Dobrana z nas para, Holly. Dwoje idiotów.

- Słucham?

Zgarnął ją w ramiona i przytulił tak mocno, że omal nie połamiał jej żeber, następnie przywarł ustami do jej ust. .

- Nie rozumiesz? - spytał, unosząc głowę. Gdybym chciał kogoś z rodowodem, kupiłbym sobie psa. A ja chcę ciebie. W głębi duszy od początku wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Że jesteś kobietą, na którą czekałem całe życie. Po prostu bałem się to powiedzieć.

- Parker...

- Kocham cię, Holly. Kocham na śmierć i życie. Kocham do szaleństwa. Kocham tak bardzo, że codziennie do końca życia zamierzam ci to udowadniać.

Przełknęła ślinę. - Ale ...

- Proszę cię o rękę, Bony. Wyjdź za mnie. Jak tylko uzyskam rozwód, chcę zacząć nowe życie. Z tobą.

Otworzyła usta, zamknęła je, ponownie otworzyła i ponownie zamknęła, ale nie powiedziała ani jednego słowa. Parker roześmiał się wesoło.

- Zaniemówiłaś? Dlaczego?

Potrząsnęła głową; po chwili odzyskała głos.

- Kocham cię, Parker. Przysięgam.

- Wierzę.

- Ale ...

- Żadnych ale.

- To ważne, Parker. Chcę, żebyś się dobrze zastanowił, zanim mi odpowiesz.

- Dobrze - odparł z powagą, nie wypuszczając jej z objęć.

- Nawet jeśli za ciebie wyjdę, wciąż będę chciała mieszkać w tym starym domu, który kupiłam. Będę chciała przyjąć pod swój dach kilkoro dzieci i stworzyć im rodzinę zastępczą. Z tego

marzenia nie zrezygnuję ..

- Nie musisz. - Oczami wyobraźni zobaczył tętniący życiem dom pełen roześmianych twarzączek. - Jak tylko wszystkie dokumenty zostaną podpisane, wynajmiemy ekipę remontową. A nazajutrz po ślubie zgłosimy się do odpowiednich urzędów jako potencjalni rodzice zastępczy. Weźmiemy tyle dzieciaków, ile nam przyznają. Ale muszę cię ostrzec: jedno, a może nawet dwójkę własnych też tym chciał. .

Twarz Holly się rozpromieniła. Patrząc na nią, Parker miał wrażenie, jakby wspiął się na najwyższy szczyt i z góry podziwiał zapierający dech w piersi widok.

- Powiedz "tak" - poprosił cicho. - Powiedz, że zostaniesz moją żoną.

- Nigdy nie będę wytworną, elegancką damą, jaką może powinna być twoja żona. - Objęła go mocno za szyję. - Ale przysięgam, że będę cię kochać do grobowej deski.

- Holly, tylko tego pragnę. Ciebie i twojej miłości.

Odchyliwszy głowę, popatrzyła na niego w uśmiechem.

- I tamtego starego domu.

- I domu - zgodził się.

- I psa.

- Psa? - Uśmiechnął się szeroko. - W porządku. Niech będzie pies.

- I dzieciaków z domu dziecka.

- I dzieciaków z domu dziecka. - Cmoknął Holly w czoło.

- I maleństwo, które na razie przypomina ziarenko grochu.

- I maleństwo ...

Parker urwał i lekko otworzył usta. W oczach Holly malował się cały wachlarz emocji: miłość, durna, radość. -

- Jesteś w ciąży?

- Tak. - Ująwszy jego dłoń, przyłożyła ją do swojego brzucha. -
To jest nasze dziecko.

Z trudem przełknął ślinę. Uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, by zaprzepaścił wszystko: swoją szansę na wspaniałą przyszłość. Gdyby uniósł się honorem i nie przyszedł do Hotelu Marchand, straciłby Holly. Gdyby stracił Holly, straciłby również swoje dziecko. I być może nigdy by się o tym nie dowiedział. Przeszył go dreszcz.

Spoglądając w szare oczy tak pełne miłości, zrozumiał, że wygrał los na loterii.

Był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Za drzwiami rozległy się dźwięki pianina. Holly nadstawiła uszu. Tak, Tommy sygnalizuje, że pora wracać na scenę.

- Przepraszam, Parker. Głupio mi cię porzucać, zwłaszcza w takim momencie, ale muszę ...

- Leć, nie przejmuj się. - Pocałował ją w usta. - Jesteś artystką, Holly. Piosenkarką. Nigdy nie będę próbował cię zmienić. W takiej kobiecie się zakochałem i z taką pragnę dzielić życie. Idź, olśnij wszystkich, a potem udamy się do domu. Razem.

Podszedł do drzwi, otworzył je i stanął z boku, by przepuścić Hollyprzodem. Kiedy go mijała, dodał szeptem:

- Ale jutro do garderoby w Grocie każę wstawić duże łóżko. Na te przerwy między występami...

- Duże? Nie ... - zamruczała cicho. - Jak najwęższe.

Holly ma rację. Pokiwał z uśmiechem głową, po czym odprowadził ją wzrokiem na środek jasno oświetlonej sceny. Przez godzinę będzie śpiewała dla zasłuchanej publiczności, ale resztę życia spędzi z nim.

2008-06-10

em1

